DALEJ WOJOWAĆ CZY NEGOCJOWAĆ?

Kim są i co doradzają ukraińscy realiści

Marek Jurek o happeningu Grzegorza Brauna

TYGODNIK LISICKIEGO

NR 2/560 8–14 STYCZNIA 2024

CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

DO RZECZY

JANUSZ KORWIN-MIKKE O GLOBALGATE, CZYLI JAK NAS OGRABIONO PRZY OKAZJI COVID-19

Ile biznes zarabia na modzie na transseksualizm

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

Nakład: 50 000 egzemplarzy

Kto wygra to starcie?

SENSACYJNA, OPARTA NA FAKTACH

KULISY GŁOŚNYCH SPRAW I ARESZTOWAŃ

WSTRZĄSAJĄCE RELACJE

ROZMOWY Z EKSPERTAMI I LUDŹMI Z WYMIARU SPRAWIEDLIWOŚCI

PONAD 500 NAZWISK I FIRM

AUTORAMI SĄ DOŚWIADCZENI DZIENNIKARZE ŚLEDCZY

Bezprawne areszty, popisowe zatrzymania, stawianie zarzutów bez pokrycia w dowodach. Tasiemcowe rozprawy sądowe, prawdziwe historie o twardym zetknięciu się z więziennymi realiami.

Bohaterami tej książki są ludzie sukcesu, rozpoznawalni biznesmeni z pierwszych stron gazet, jedni z najbogatszych Polaków, którzy w jednej chwili znaleźli się w środowisku zupełnie dla siebie obcym, znanym im dotąd jedynie z filmów kryminalnych.

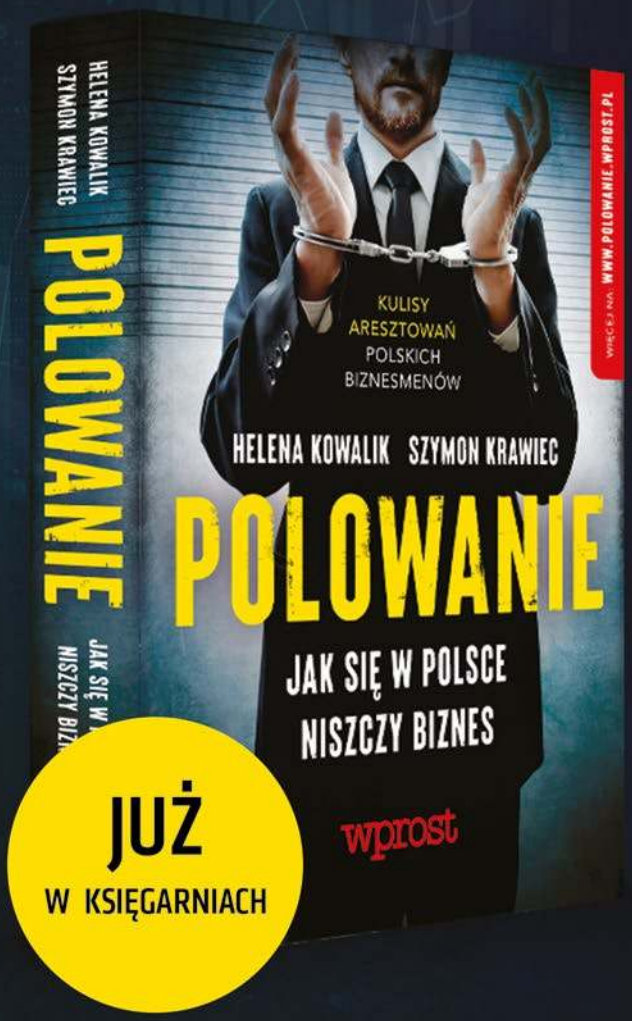

JUŻ W KSIĘGARNIACH

Zamawiając książkę wraz z PDF na stronie

KSIAZKA.WPROST.PL

Otrzymasz gratis praktyczny poradnik stworzony w oparciu o porady adwokatów i osobiste relacje osób zatrzymanych.
W przypadku chęci zakupu większej liczby książek, prosimy o kontakt +48 539 953 631 , +48 508 040 664

PARTNERZY:

Polska Rada Biznesu · ZPP · WEI · Fundacja Court Watch Polska · Fundacja Pomyśl o przyszłości · Comparic.pl · My Company Polska · Towarzystwa Biznesowe · BRIEF

eprasa.pl 2267720789

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Mobilizacja patriotów

To, że rządząca koalicja będzie próbowała odbić publiczne media, które znajdowały się pod kontrolą PiS, zaskoczeniem nie było. Jednak sposób, w jaki to zrobiła – z jaskrawym pogwałceniem reguł prawa, wbrew przepisom i paragrafom albo, jak to wielu mówi, na rympał – już tak. Zrobili to przecież ci sami politycy, którzy przez osiem lat nieustannie mówili o potrzebie przywrócenia praworządności. Tymczasem cała operacja została przeprowadzona praktycznie przy użyciu siły.

Minister kultury uznał, że jest w prawie, i powołał nowe zarządy, które to do walki skierowały ochroniarzy. Inny nowy minister zapewnił ochronę policji, a jeszcze inny, nawet specjalnie się z tym nie ukrywając, ogłosił, że w ramach przywracania porządku konstytucyjnego trzeba szukać rozwiązań prawnych, do których, łamiąc prawo, można się odwołać. A więc gwałt w biały dzień. Działania Donalda Tuska i kierowanej przez niego większości sejmowej do złudzenia przypominały przejęcie władzy w republice bananowej. Mógł to zrobić tylko dlatego, że korzystał i korzysta nadal z parasola ochronnego, którym otoczyły go liberalne, europejskie elity. Gdyby podobną operację przeprowadził PiS, Komisja Europejska zażądałaby wydalenia Polski z Unii. Ale skoro to zrobił unijczyk Tusk i skoro za tym stoją „nasi", to można przymknąć oczy i uznać, że wicie, rozumicie, inaczej się nie dało.

Cele rządzących są jasne. Po pierwsze, trzeba było odebrać PiS dostęp do mediów publicznych, a więc stłumić krytykę działań nowych „proeuropejskich" władz, po drugie, co ma wymiar symboliczny, pokazać determinację i siłę „demokratów". Atakując frontalnie media, w szczególności TVP, Tusk zaspokoił pragnienie zemsty znaczącej części swojego elektoratu. Przy tym niewiele ryzykował.

Wbrew bowiem wezwaniom polityków PiS nie zanosi się na to, żeby w obronie mediów publicznych stanęli masowo wyborcy. Opowieści o drugim stanie wojennym i porównania Tuska do Jaruzelskiego są może efektowne, ale trafiają jedynie do najbardziej zagorzałych. Podobnie tylko oni, a więc najbardziej twarda część elektoratu PiS, mogą się pasjonować osobliwymi figurami retorycznymi, w których to Tusek rymuje się z rusek (a na dodatek jeszcze z Sieg Heil). Jednak okupując budynki telewizji, radia czy Polskiej Agencji Prasowej, to do tej grupy zdaje się odwoływać Jarosław Kaczyński. Dlaczego prezes się na to zdecydował? Jaki cel chciał osiągnąć, organizując taką formę sprzeciwu? Czy faktycznie, jak twierdzi wielu komentatorów, prezes wierzy, że uda się wywołać masowy opór społeczny i, kto wie, doprowadzić do może nawet nowych wyborów?

Trudno mi w to uwierzyć. Gdyby w jakiś tajemniczy sposób do takiej dogrywki wyborczej doszło, PiS, jestem pewien, przegrałby starcie bardziej niż ostatnio. Być może zatem chodzi o ustanowienie, jak mówią inni, nowego mitu, do którego będzie się można odwoływać w przyszłości? Nie da się tego wykluczyć. Tylko że takie podejście: zbierzemy wszystkie siły i będziemy protestować, ile wlezie, aż świat nas usłyszy, jest wielce kosztowne. Po nieudanym proteście pozostanie poczucie rozgoryczenia.

Wydaje się zatem, że odwołanie się do ulicy i obrona instytucji medialnych własnymi ciałami posłów może mieć inny cel. Otóż gwałtowna polaryzacja, która to prowadzi do starcia sił patriotycznych ze zdradzieckimi i propolskich z obcymi, praktycznie uniemożliwia rozliczenia. Nie ma na to czasu. W czasie wojny trzeba walczyć, a nie deliberować. Nie można siać defetyzmu i zastanawiać się nad prostym skądinąd pytaniem: Co pozostało po ośmiu latach rządów PiS? Jakie instytucje w sferze medialnej i kulturalnej udało się PiS zbudować? Nie widzę takich – wszystko, co autentyczne, powstało jeszcze, zanim prawica doszła do władzy w 2015 r.

Po ośmiu latach PiS nie tylko nie przygotował się na porażkę, lecz także, gorzej, nie pozostawił po sobie żadnej trwałej i nowej instytucji czy to medialnej, kulturalnej czy naukowej. Gorzej, że wydrenował i osłabił retoryczną wartość wielkich słów, których używał bez oporów i ograniczeń często dla własnych, partyjnych interesów. Dlatego, sądzę, prawdziwym motywem, który popycha polityków PiS do tak stanowczych form protestu, jest nie tylko oburzenie skalą łamania prawa przez koalicję, lecz także ucieczka przed prostym pytaniem: Co takiego przez osiem lat potrafili zbudować i co takiego pozostawić po sobie, co się teraz ostanie? Jest to pytanie tym bardziej istotne, że przecież, jak słyszę, Polsce grożą anihilacja i zabór. Więc jak się do tego przygotował PiS?

Oczywiście odpowiedź jest prosta: nie przygotował się. I właśnie dlatego, żeby nie trzeba było na nie odpowiadać, należy się mobilizować, mobilizować i jeszcze raz mobilizować. A nic lepiej nie służy mobilizacji niż duch wojny. ©℗

eprasa.pl 2267720789

TEMAT TYGODNIA

14 PIOTR SEMKA
TUSKOREWOLUCJA, CZYLI STAJEMY WOBEC CZEGOŚ ZUPEŁNIE NOWEGO
Demokracja bezalternatywna

17 ŁUKASZ WARZECHA
STARCIE PLEMION

20 ROZMOWA Z PROF. ANTONIM DUDKIEM
OSTATNIA BITWA O TVP

23 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
WOJNA O CZAPKOWANIE

KRAJ

26 ZUZANNA DĄBROWSKA
MINISTER PUŁKOWNIK
Człowiek Tuska do zadań specjalnych

29 KRYSTIAN KRATIUK
LEWACKIE ZASTĘPY TUSKA

32 LECH MAŻEWSKI
LIBERALIZM W NATARCIU

36 ŁUKASZ ZBORALSKI
DEMOGRAFIA W RĘKACH DZIECI

KULTURA

38 KAZIMIERZ NOWOSIELSKI
IGNACEGO CZWARTOSA PAMIĘĆ I TOŻSAMOŚĆ
Utracony projekt

40 PIOTR GOCIEK
PROFESOR OPUSZCZA SCENĘ

NIE PRZEGAP

42 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

48 MAREK JUREK
BRAUN, MICHNIK I INNI, KTÓRYM „SIĘ ZDAJE"
Religia a państwo

50 JANUSZ KORWIN-MIKKE
GLOBALGATE

53 PAWEŁ CHMIELEWSKI
BŁOGOSŁAWIENIE GRZECHU

HISTORIA

56 LESZEK ŻEBROWSKI
KTO KRADŁ, TEN MA
Finansowanie komunizmu w Polsce

60 ROZMOWA Z PRZEMYSŁAWEM SŁOWIŃSKIM
FAUNA POD BRONIĄ

ŚWIAT

64 JAN BOGATKO
NIEMCY OFIARĄ NAZIZMU
Fałszowanie historii za Odrą

68 MACIEJ PIECZYŃSKI
UKRAIŃSCY REALIŚCI

EKONOMIA

72 JAKUB WOZINSKI
TRANSBIZNES
Ideologia i pieniądze

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (12), ŻEBROWSKI, KOPER (63), PRZYBYLSKI (67), GABRYEL, WARZECHA (75), KOMUDA (77), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (80), ROSZKOWSKI (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 2267720789

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Jakub Porzycki/NurPhoto/Getty Images**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
POLSKA WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond: tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829 Nakład: 50 000 egzemplarzy
NAKŁAD KONTROLOWANY
PRZEZNACZONY DO DYSTRYBUCJI PŁATNEJ

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

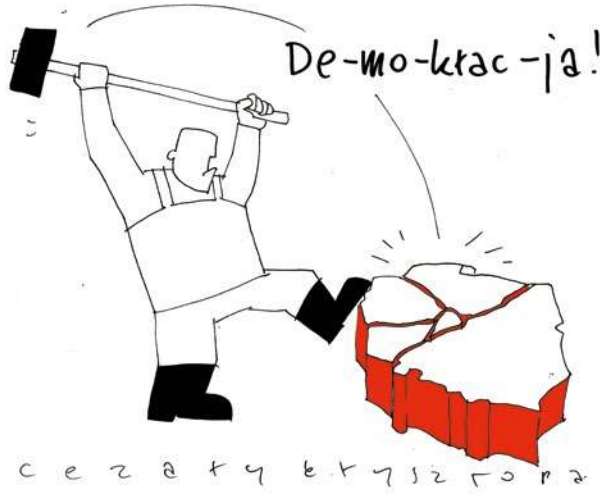

Przypadek?

Cóż za niebywała koincydencja zdarzeń. Czysty przypadek, oczywiście. Wzmożenie medialne, polityczne i farm trolli przeciw szefowi NBP prof. Adamowi Glapińskiemu, rozliczne artykuły o jego odwołaniu, pociągnięciu do ewentualnych, wyimaginowanych konsekwencji itp. W tym samym czasie afera z błędnym wyświetlaniem kursu złotego do euro, która wprowadziła niemały zamęt. Następnie agencje ratingowe dają zielone światło. Money.pl pisze: „Ważny głos w temacie Trybunału Stanu zabrała ostatnio jedna z największych agencji ratingowych S&P Global Ratings. Jej zdaniem zawieszenie szefa NBP nie wywoła automatycznej obniżki ratingu". Robi to w artykule zatytułowanym: „Nad szefem NBP zbierają się czarne chmury. »Zaczynamy«".

Czysty przypadek. Oczywiście.

Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

Nasza niepodległość

Szanowni Państwo,
mam 77 lat, uczestniczyłem aktywnie w życiu gospodarczym naszego kraju, w różnych opcjach, na różnych stanowiskach, nie należałem do żadnej partii ani związku zawodowego, byłem bezpośrednim świadkiem stanu wojennego, ale teraz wpadłem w panikę, ponieważ nastąpił właśnie zamach stanu, w wyuzdanym barbarzyńskim stylu, na rzecz pozbawienia RP niepodległości na rzecz UE. Proszę zauważyć, te prostackie pucze zaczynają się od przejęcia ośrodków komunikacji, zneutralizowania krajowego sądownictwa na rzecz mocodawcy; ubezwłasnowolnienie prezydenta – odebranie prawa łaski, oficjalne pomruki o skróceniu kadencji, postawienie przed Trybunał Stanu i zapowiedź stanowienia anarchii na podstawie uchwał sejmowych; wyprowadzenie siłowe prezesa NBP, rozwiązanie służb bezpieczeństwa narodowego, przemiany w wojsku nie wiadomo kogo broniącego, ochrona granic i przyjmowanie migrantów itp. [...]. Jeżeli zaraz prezydent nie podejmie kategorycznych działań, to ci bezwzględni ludzie rozpętają wojnę domową [...].

Z poważaniem

Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

Tomaszowi Zbigniewowi Zapertowi

wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

ŚP.

Taty

składają

przyjaciele z tygodnika „Do Rzeczy"

eprasa.pl 2267720789

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Gdy weganin serwuje steki

Polskie spojrzenie na kwestię potencjału militarnego Niemiec jest dość schizofreniczne. Z jednej strony wielu Polaków nieufnie słucha o aspiracjach RFN do roli wiodącej siły militarnej w Europie, z drugiej strony wielu czuje, że niemiecka pomoc militarna przydałaby się przy wzmocnieniu wschodniej flanki NATO. W latach 50. i 60. niemiecka Bundeswehra była w planach Amerykanów jedną z głównych sił, które miały zatrzymać ewentualny atak Związku Sowieckiego na Zachód. Ta akceptacja Amerykanów dla nowocześnie uzbrojonej Bundeswehry otworzyła drogę do odbudowy niemieckiego przemysłu zbrojeniowego. Niemcy Adenauera nie miały z tym dużego problemu – żyło jeszcze i było w pełni sił wielu inżynierów projektujących sprzęt wojenny, którzy stawiali pierwsze kroki w zawodzie za czasów III Rzeszy. Niemcy rychło stały się jednym ze światowych potentatów w dziedzinie produkcji broni.

Głęboka przemiana pacyfistyczna, która była dziełem pokolenia rewolty 1968 r., spowodowała dziwaczną sytuację. Kraj, którego duża część elit demonstracyjnie brzydziła się wojskiem i militaryzmem, pozostawał jednym z liderów światowego handlu bronią. Zarówno Bundeswehra, jak i największe koncerny zbrojeniowe otoczone były swoistym kordonem pogardy.

Nic dziwnego, że decyzja – dodajmy: dosyć późna – kanclerza Olafa Scholza o wsparciu niemiecką bronią Ukrainy rozbudziła nadzieje wśród producentów uzbrojenia, że ich wizerunek ulegnie polepszeniu. Ale – jak donoszą niemieckie gazety – żaden z 18 leopardów, które Niemcy przekazały w marcu 2023 r. Ukrainie, nie uczestniczy w działaniach bojowych. Większość z nich stoi w centrum naprawczym na Litwie i nic nie zapowiada, by rychło trafiły na front, bo brakuje odpowiednich części zamiennych. Można się więc zastanawiać, jak mogło dojść do wyekspediowania 18 leopardów na Ukrainę bez zapewnienia stałego serwisu napraw czołgów. Okazuje się, że Sebastian Schaffer, ekspert do spraw obrony partii Zielonych, napisał w sprawie szybszych działań w kwestii wysłania części do dwóch producentów sprzętu pancernego. Ponieważ Niemcy nie potrafili zapewnić sprawnej dostawy części, Ukraińcy sami próbowali naprawiać niemieckie czołgi, ale to doprowadziło do dalszych uszkodzeń pojazdów.

Cała ta sprawa tłumaczy, dlaczego w krajach Europy Środkowej, narażonych na agresję rosyjską, tak sceptycznie przyjmowane są szumne zapowiedzi wzięcia przez Niemcy odpowiedzialności za bezpieczeństwo Europy. Przecież dziwaczny kontredans z brakiem części zamiennych musi budzić podejrzenia, że jest to jakaś podwójna gra. Dlaczego niemieckie firmy samochodowe potrafią tworzyć sprawny system wysyłania części do mercedesów, opli czy audi na całym świecie, a Rheinmetall i KMW nie potrafi zapewnić podobnej ciągłości dostaw dla swoich czołgów?

Jeden z polskich dyplomatów powiedział mi kiedyś, że niemieccy dyplomaci co innego myślą, co innego mówią, a jeszcze co innego robią. Burleska z niemieckimi leopardami na Ukrainie zdaje się potwierdzać te słowa. ©℗

FOT. LESZEK SZYMAŃSKI/PAP

SĄD NAJWYŻSZY A SPRAWA WĄSIKA I KAMIŃSKIEGO

Sąd Najwyższy w Izbie Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych uchylił w czwartek postanowienie marszałka Sejmu stwierdzające wygaśnięcie mandatu poselskiego Macieja Wąsika (na zdjęciu pierwszy z lewej). Zachowa on więc mandat poselski oraz immunitet. Gdy w czwartek zamykaliśmy wydanie „Do Rzeczy", sprawa Mariusza Kamińskiego pozostawała w Izbie Pracy i Ubezpieczeń Społecznych SN.

eprasa.pl 2267720789

Śledztwo w sprawie inwigilacji dziennikarzy umorzone

Prokuratura Regionalna w Szczecinie umorzyła śledztwo dotyczące inwigilowania dziennikarzy za czasów rządów PO. Przez dziewięć lat prokuratorzy nie znaleźli dowodów.

Tuż po ukonstytuowaniu się nowego koalicyjnego rządu Donalda Tuska – 15 grudnia 2023 r. – zapadła decyzja o umorzeniu śledztwa w sprawie inwigilacji dziennikarzy. Prokurator Mateusz Hawrus, delegowany do Prokuratury Regionalnej w Szczecinie, w uzasadnieniu swojej decyzji – ujawnionej na portalu X przez dziennikarza Wojciecha Wybranowskiego – napisał: „Uwzględniając dane zebrane w sprawie [...], postanowił umorzyć śledztwo w sprawie: mającego miejsce w okresie od 22.02. 2010 r. do 16.05.2011 r. przekroczenia uprawnień przez funkcjonariuszy Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego w celu osiągnięcia korzyści majątkowych i osobistych, czym działano na szkodę interesu publicznego i prywatnego".

Sprawę inwigilowania dziennikarzy w 2016 r. opisał tygodnik „Do Rzeczy". Służby w latach 2007–2014 miały śledzić prawie cały krajowy dział dziennika „Rzeczpospolita" – nie tylko dziennikarzy, lecz także redaktorów. Inwigilowani mieli być wówczas m.in. ówczesny redaktor naczelny dziennika Paweł Lisicki i jego zastępca Piotr Gabryel (dziś obaj w tygodniku „Do Rzeczy"). Śledzeni mieli być także m.in.: Łukasz Warzecha, Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Wojciech Wybranowski, Piotr Gursztyn, Łukasz Zboralski, Piotr Skwieciński, Piotr Nisztor, Jerzy Jachowicz, Michał Majewski i Bartosz Węglarczyk.

W 2016 r. minister Mariusz Kamiński ujawnił, że inwigilację prowadzono wobec 52 dziennikarzy, a kancelaria premiera opublikowała nazwiska 37 z nich, wobec których czynności operacyjno-rozpoznawcze prowadziły ABW i CBA.

Prokuratura przyznała status pokrzywdzonych 19 dziennikarzom, w tym związanym dziś lub wcześniej z „Do Rzeczy" – m.in. Cezaremu Gmyzowi, Wojciechowi Wybranowskiemu, Łukaszowi Zboralskiemu, Piotrowi Gabryelowi, Piotrowi Goćkowi, Jarosławowi Stróżykowi, Mariuszowi Staniszewskiemu, Łukaszowi Warzesze.

Jednak śledztwo w tej sprawie wyraźnie się ślimaczyło i zwracaliśmy na to uwagę w tekstach tygodnika już w 2018 r. Dwa lata później prowadząca postępowanie Prokuratura Regionalna w Krakowie sprawę umorzyła. Wówczas decyzją ówczesnego ministra sprawiedliwości śledztwo to zostało przeniesione do Szczecina. Teraz i tam zostało umorzone. ©℗ ***(luz)***

REKLAMA

Wydawnictwo Wektory
Fakty, o których inni milczą... idee, które inspirują...
www.WydawnictwoWektory.pl
tel.: 693-977-999
451-555-513

Zielone oszustwo. Dlaczego Zielony Nowy Ład jest gorszy, niż myślisz!
Marc Morano

Zielone oszustwo to podstawowy przewodnik po sposobach demaskowania i zwalczania marksistowskiej ideologii udającej politykę ekologiczną. Zielony Nowy Ład to po prostu dawna frakcja czerwonych przebrana za zielonych. Książka przedstawia aktualną wiedzę naukową i fakty polityczne.

Tragedia Ukrainy. Od Malezyjskiego boeinga do wojny.
Kees van der Pijl

Jest to pierwsza praca naukowa dotycząca zamieszek na Ukrainie i tragicznego zestrzelenia MH17, która kwestionuje zachodni konsensus dotyczący tych wydarzeń, podkreślając geopolityczny i ekonomiczny kontekst impasu Zachodu z Rosją, blokiem BRICS oraz walk o dostawy energii do UE.

Przyczyny Upadku Polski. Ostatnie lata panowania Stanisława Augusta
ks. Walerian Kalinka

Jedna z najbardziej wnikliwych i opartych na rozległych źródłach książek ukazujących przyczyny upadku Polski w XVIII wieku. Ksiądz Walerian Kalinka, jeden z twórców krakowskiej szkoły historycznej, współpracownik Zamojskich i Czartoryskich, autor monumentalnego dzieła Sejm Czteroletni, pisał swoją książkę w przekonaniu, że Polacy nie potrzebują romantycznych mitów i kojących baśni, ale prawdy – nawet jeśli miałaby ona być trudna do zaakceptowania.

eprasa.pl 2267720789

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Donald Niszczyciel

Złodziej nie tyle ukradnie, ile szkód narobi – głosi stara zasada i włamanie ekipy Tuska do państwowych mediów potwierdziło tę regułę. Pomijając krańcowe bezprawie – szokuje nieudolność. Do przejęcia, tą czy inną drogą, mediów państwowych ta ekipa szykowała się przecież od wielu miesięcy.

Tymczasem po wyrzuceniu siłą pracowników TVP i PR okazało się, że Tuskowi treuhänderzy nie mają ich kim zastąpić. Jak podał Onet, dopiero w ostatnich dniach przed akcją politycy z otoczenia Tuska (nie żadne „nowe władze" rzekomo „publicznych" mediów – politycy z otoczenia Tuska, nie podało tej informacji żadne medium „pisowskie", tylko Onet!) rozpaczliwie wydzwaniali po życzliwych PO dziennikarzach, oferując posady w „odzyskanej" TVP. Warto dodać, że według portalu Ringiera Springera kusili ich „stawkami znacząco wyższymi od rynkowych", co stanowi piękny kontrapunkt do propagandy o „gigantycznych zarobkach nominatów PiS". Efekt – zerwanie emisji i spadek oglądalności na przysłowiową „zbitą mordę". Udało się zarżnąć nawet sylwestrowy koncert w „Dwójce", który po raz pierwszy od lat stracił pozycję najpopularniejszej telewizyjnej zabawy – o publicystyce, informacjach i VOD szkoda nawet mówić.

Niektórych ta sytuacja dziwi. Nas, w „Do Rzeczy", nie. W listopadzie roku 2012 tworzony przez nas tygodnik „Uważam Rze" z miesięczną sprzedażą ok. 130 tys. egzemplarzy był najpopularniejszym polskim tygodnikiem opinii, pozostawiając w pobitym polu „Politykę" i „Newsweeka", w dodatku z najlepszym dla reklamodawców targetem reklamowym.

Dla Presspubliki byliśmy kurą znoszącą złote jajka. Ale rząd Tuska „wycisnął" z Presspubliki różnymi szykanami Brytyjczyków i oddał ich udziały na kredyt niejakiemu Hajdarowiczowi, ten zaś mianował naczelnym tygodnika niejakiego Pińskiego, który w kilka miesięcy zredukował sprzedaż do 14 tys. egzemplarzy. I najlepszy polski tygodnik, ku radości konkurencji, zniknął. O to wtedy chodziło – żeby zniszczyć. I o to samo chodzi teraz. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

O pluralizmie na poważnie

O programach informacyjnych TVP za prezesury Jacka Kurskiego i następcy można mówić wiele, tylko nie to, że działo się tam coś niebywałego. Wręcz przeciwnie, ta telewizja doskonale mieściła się w „standardach demokratycznych" i trendach europejskich. Tyle że korzystała z nich wbrew tym, którzy je stworzyli i uruchomili. Bo zaangażowana telewizja walcząca z „zagrożeniami demokracji", piętnująca przeciwników, chroniąca status quo – to właśnie europejski standard. Kto tego nie wie, powinien prześledzić wszystkie referenda na temat Unii Europejskiej czy wyborczą walkę mediów (!) ze „skrajną" (czyli po prostu wykluczoną) prawicą.

Profesorowie Goodwin i Eatwell, autorzy studium „Narodowy populizm. Zamach na liberalną demokrację", to nie orędownicy zachodnioeuropejskich ruchów narodowo-ludowych; wręcz przeciwnie, zastanawiają się, jak je powstrzymać. Ale to oni piszą, że „ci, którzy głosują na narodowych populistów, są wyśmiewani i lekceważeni, w zależności od kraju, jako »prostacy«, »wsioki z Południa«, »buraki«" i przypominają, jak „felietoniści opiniotwórczych gazet nakłaniali szanowanych westminsterskich polityków, żeby odwrócili się od borykających się z problemami obszarów Anglii, które właśnie miały zdecydować się na brexit", by na koniec stwierdzić, że „trudno sobie wyobrazić, by jakakolwiek inna grupa była traktowana z tak wielką pogardą".

„Proces dostosowawczy" do tego systemu wykluczania, medialną realizację projektu „Polska bez prawicy", doskonale pamiętamy z czasów pierwszego 15-lecia niepodległości. Krótka przerwa w TVP z lat 1994–1996, brutalnie spacyfikowana w początkach prezydentury Aleksandra Kwaśniewskiego, to wyjątek doskonale potwierdzający regułę. Donald Tusk był promotorem i współudziałowcem tego systemu. Tyle że nigdy nie spodziewał się, że może być wykorzystany „für alle". Jedynie na tym polega „wyjątkowość" telewizji Kurskiego. ©℗

eprasa.pl 2267720789

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Człowiek Roku

Prawicowy dziennik „Libero" wybrał Giorgię Meloni Człowiekiem Roku. 29 grudnia gazeta wyszła z sympatycznym zdjęciem pani premier na całej pierwszej stronie i aż trzema laudacjami. Prowokacja udała się znakomicie, bo rozpętało się piekło.

Co było do przewidzenia, eksponenci sił postępu doznali pomieszania zmysłów, w odruchu warunkowym zaczęli toczyć pianę, a następnie natarli na dziennik „Libero". Poszło najpierw o to, że redakcja przyznała Meloni tytuł Człowieka Roku, a nie Kobiety Roku. Szefowa największej opozycyjnej Partii Demokratycznej Elly Schlein oświadczyła włoskim mediom: „Prawicowy dziennik tłumaczy, że polityka i władza to sprawy wyłącznie dla mężczyzn. Hańba!". Szef potężnej lewicowej centrali związków zawodowych CgiL Maurizio Landini zawyrokował: „To niebezpieczne wstecznictwo", a Laura Boldrini, była przewodnicząca Izby Deputowanych, postępówka modelowa: „To destylat nieznośnego seksizmu".

Jak się jednak okazało, te brednie były jedynie uwerturą do zmasowanego ataku na Meloni za to, że nie protestuje przeciwko męskiemu szowinizmowi „Libero". Laura Boldrini: „Meloni powinna się zbuntować i protestować w imieniu wszystkich postponowanych kobiet". Grupa polityków lewicowej drobnicy: „Meloni powinna wyjaśnić, czy jest kobietą czy mężczyzną czy osobą niebinarną". Zażarta feministka deputowana Piccoletti: „Brak reakcji Meloni to poniżenie dla wszystkich włoskich kobiet. Najwyraźniej opowiada się za asymilacją kobiet w męskim świecie".

Meloni, nawet gdyby chciała, nie mogła protestować, bo była obłożnie chora. Odwołała wszystkie spotkania, w tym tradycyjną konferencję prasową na zakończenie roku. Co na to postępowe media? „Meloni bała się z nami spotkać". Najdalej poszła „La Repubblica" (drugi dziennik w kraju). Zastanawia się, czy osoba w takim stanie zdrowia powinna być premierem. Dziennik „Libero" piórem wicenaczelnego ocenił: „Jeśli ten chorobliwy stan postępowych umysłów się utrzyma, to Meloni będzie premierem do śmierci". ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 2267720789

ZUZANNA DĄBROWSKA

GWIAZDOBZDUR

MASAKRA I W OGÓLE

Nowy rok, stara Zofia Zborowska. Czy jakoś tak. W każdym razie celebrytka postanowiła wejść w rok 2024 z przytupem. Urządziła na swoim Instagramie sesję pytań i odpowiedzi, podczas której fani mogli pytać o wszystko. Jedna z użytkowniczek platformy zapytała więc o podejście aktorki do macierzyństwa, a dokładniej do poronienia i aborcji. „Czyli poronienie to trauma, a aborcja to superwyzwalający zabieg?" – zapytała, nawiązując do poprzednich wypowiedzi aktorki. Zborowska nie gryzła się w język. „Dokładnie tak, cymbalico" – odparła gwiazda. „A tak serio zastanawiam się, jak bardzo trzeba być głupim, żeby nie chcieć zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi. Masakra. Ręce opadają. Wyzwalający zabieg. No, ku.wa, proste" – odpowiedziała. Na zakończenie Q&A celebrytka odniosła się do zaczepki internauty, który chciał dowiedzieć się, „dlaczego Zborowska nie lubi PiS" (a nie lubi, i to bardzo). „I tym optymistycznym akcentem idę spać, bo jak się odpalę, to nie zasnę" – podsumowała. Masakra.

FOT. ARTUR ZAWADZKI/REPORTER

DLA HEJTERÓW BUŹKA

Zofia Zborowska nie chce się odpalać. A co się odpala w tym okresie? Fajerwerki! A jak fajerwerki, to rzecz jasna sylwester w Zakopanem, choć już nie „Sylwester Marzeń", a po prostu „Sylwester z Dwójką" (coby choć trochę odróżnić się od imprezy organizowanej za czasów PiS). Była Rodowicz, była Steczkowska, był Zenek. Przed publicznością wystąpiła także Viki Gabor, która zaśpiewała w duecie z raperem Marcinem Piotrowskim ps. Liber. Nastolatka nie poradziła sobie chyba jednak z presją i zapomniała sporej części tekstu piosenki „Co z nami będzie". Myliła słowa i to nieraz. Wpadkę zaliczyła nie tylko przy pierwszej zwrotce, lecz także przy refrenie, co nie umknęło uwadze internautów. Na wokalistkę wylała się spora fala krytyki. Viki postanowiła odpowiedzieć, i to w ostry sposób.

„Happy New Year 2024 ps. Nobody's perfect" – napisała najpierw na Instagramie. Niedługo później artystka skończyła jednak z uprzejmościami. „Nie spinajcie tak dupy. Buźki dla hejterów. Uwielbiam wasze komentarze, mam z nich taką bekę" – przekonuje. Niby dystans i luz, ale jakby przez zaciśnięte zęby.

RECENZENT ORŁOŚ

Tak zwana akcja rympał, czyli przetasowania przede wszystkim personalne w mediach publicznych, to właściwie temat na niezłą komedię. Taki np. Maciej Orłoś, funkcjonujący przez lata w aurze „legendy polskiego dziennikarstwa", dziwnym trafem nie został zatrudniony w żadnym większym medium, a jedynie wyzłośliwiał się wobec PiS na Instagramie i YouTube. Przyszła jednak nagroda i redaktor Orłoś wraca do prowadzenia „Teleexpressu". Nic więc dziwnego, że stawia się (i jest stawiany przez część portali) w roli głównego recenzenta swoich kolegów po fachu, którzy dziś tracą pracę. Dziennikarz wypowiada się niemal codziennie i za każdym razem w tym samym, pogardliwym tonie. W rozmowie z Plotkiem Maciej Orłoś odniósł się do debiutu Danuty Holeckiej w Telewizji Republika. „Ciekawią mnie jej zapisy w umowie dotyczące zakazu konkurencji. Tak samo jak i pana Rachonia. Byli w TVP, a z dnia na dzień są w Republice. To ciekawe. Może jednak w umowach nie było zakazu konkurencji i wszystko OK? Temu się pewnie przyjrzą inne osoby. Oby" – wskazał. Dalej jest jeszcze mniej sympatycznie. „Co ja mogę teraz sądzić o Danusi Holeckiej w Telewizji Republika? To nie jest dziennikarka. Postać tragiczna. Przez ostatnie osiem lat udowodniła, że jest funkcjonariuszką Prawa i Sprawiedliwości i Zjednoczonej Prawicy. Reprezentuje interesy polityczne tych ugrupowań. Tu się nic nie zmienia. Dalej to będzie robić, ale na antenie TV Republika. Jak i jej koledzy" – stwierdził. „Być może miejsce Danuty Holeckiej i innych osób udających dziennikarzy jest właśnie w Telewizji Republika. To prywatna stacja telewizyjna. Tam nie płacą z naszych podatków. Mogą im płacić, ile chcą, i mogą nie przestrzegać zasad rzemiosła dziennikarskiego. Przynajmniej wreszcie nie będzie się to odbywało w telewizji publicznej za nasze podatki, która ma z założenia pewne zasady, których nie można łamać" – dodał. W innym wywiadzie Orłosia zapytano o medialne plotki dotyczące zwolnienia z TVP pracującego tam od ponad 30 lat dziennikarza muzycznego Marka Sierockiego. Zarzucił Sierockiemu, że ten stracił dziennikarską wiarygodność, będąc twarzą „Teleexpressu" w ostatnich latach. „Jeżeli ktoś firmuje swoim nazwiskiem program informacyjny, który nie realizuje i nie przestrzega żadnych reguł dotyczących uczciwego dziennikarstwa, tylko jest tubą propagandową partii politycznej, ten ktoś traci swoją wiarygodność dziennikarską. Nie ma to znaczenia, czy jest to dział kulturalny czy newsy" – argumentował w rozmowie z „Wprost". Holecka zła, Sierocki zły, wszyscy źli. Tylko jeden Orłoś dobry. Uff! ©℗

eprasa.pl 2267720789

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jak tam? Przetrwaliście januszerski festiwal kiczu i pozerstwa, a więc sylwestra? Zwłaszcza tego w TVP? No wiemy, wiemy, odzyskujemy media publiczne, ale jednak ciągnie się to, co działo się w ubiegłych latach.

W każdym razie my z naszym kolektywem postanowiliśmy świeckować sylwestrę – w odróżnieniu od patriarchalnego podkarpackiego sylwestra zorganizowaliśmy imprezę będącą jego odwrotnością. Przede wszystkim było cicho, iż zorganizowaliśmy sobie pantomimę pt. „Powrót demokracji". Potem o północy nie wystrzeliwały korki szampanów, wręcz przeciwnie – zakręciliśmy wszystkie butelki, iżby oddać się medytacji o szansach, które niesie ze sobą dla nas nowy rok.

A stary rok, cóż. Z jednej strony nie będziemy go żałować, iż był to kolejny rok w większości przeżyty nie dość, iż w tym kraju, to jeszcze pod pisowskim butem rozmiar 38 (xD – sami wiecie, kto jest niski). Jednak z drugiej strony jest to rok, kiedy odzyskaliśmy ten kraj oraz pan Tusk znów został premierem, więc nie był do końca taki zły. W każdym razie patrzymy w przyszłość z ufnością, ciesząc się, iż wreszcie mamy rząd, w którym mamy ministra, a nie „panie minister" – tym bardziej nasza sylwestra wydaje nam się być jak najbardziej na miejscu.

Nowy rok to of kors czas dokonywania różnych bilansów i postanowień. My bilansów nie lubimy robić, iż one dotyczą przeszłości, a przeszłość to historia, a my nie jesteśmy jakimś IPN-em, żeby się w historii babrać, no nie?

Korpo nauczyło nas podejścia typu: nie ma problemów, tylko wyzwania, nie ma zbyt krótkich deadline'ów, a przede wszystkim, iż konieczne jest podejście nazywane po angielsku looking forward (dla podkarpacia – patrzeć naprzód). Dlatego też wolimy myśleć o tym, co możemy sobie postanowić, a potem tego nie zrealizować, iż of kors dotrzymywanie postanowień czy innych przysiąg to podkarpacki paradygmat, spod którego próbujemy się ciągle wydostawać.

Dlatego też, jeśli czegoś nie dotrzymamy, to nie będziemy mieć do siebie o to pretensji. A obiecujemy sobie np., iż będziemy czytać więcej książek, częściej chodzić do teatru i opery, mniej czasu spędzać nad Netflixem, a więcej nad „Dziennikiem Ustaw", iżby zrozumieć, jak nowy rząd chce nam zreformować ten kraj.

Ponadto będziemy więcej czasu poświęcać na budowanie relacji (no ale przecież nie z Nowym z Tarnowa czy innymi wąsatymi januszami, najlepiej się rozmawia z tymi, którzy myślą tak samo xD), mniej czasu zmarnujemy na obserwowanie shistormów na Twitterze, będziemy pili mniej piwerka ze sprajtem, a więcej smoothie z jarmużu i kiwi, zjemy mniej wegekebabów, a więcej kiełków sushi i sałatek z jarmużem.

Nie będziemy dawali się prowokować Nowemu z Tarnowa, będziemy częściej oglądać nową telewizję publiczną, codziennie nauczymy się nowego idiomu po angielsku, w pracy nie będziemy scrollować Instagrama, tylko z pełnym poświęceniem sprzedawać pakiety Internet + telefon, za co nam w końcu płacą…

Wiecie co? W sumie to już nam się nie chce, nie było jednak tematu xD. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Wolność słowa

Mariusz, my musimy robić te konferencje prasowe?
Jarku, no wiesz… W takiej jesteśmy sytuacji, że chyba trzeba, niestety.

No to nie może tak być, że mnie będą o cokolwiek pytać.
Ale… to jak byś chciał?

Niech wcześniej przysyłają pytania. Zatwierdzimy albo nie. Jak ci zawsze robią…
No wiesz.
Wiem. Ale tutaj to nie wyjdzie. Nie podporządkują się.

No to nie wiem… To może zróbmy tak, że poprosimy, żeby dużo naszych przyszło i im będziemy tylko dawać głos.
Ale przecież to wyjdzie. I jeszcze bardziej nas zjadą.

No to już nie mam pomysłu. Ale taka anarchia to nie może być. My tu o wolności słowa mówimy! ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Bardzo bym chciał, żeby było to widoczne, że nowe media publiczne starają się być naprawdę niezależne od władzy".

DONALD TUSK, *premier, w wystąpieniu opublikowanym przez kancelarię premiera na portalu X*

eprasa.pl 2267720789

dwaj panowie g

Nie wierzcie mediom, prasa kłamie. Na przykład kolportowany ostatnio news o tym, że Zły Donald z Sopotu dokonał cudu i swoimi harcami zjednoczył Zjednoczoną Prawicę, posiada znikomą zawartość prawdy w prawdzie. Otóż powodów do sporów jest mnóstwo i – co więcej – te spory trwają. Nie tylko o rolę byłego premiera Mateusza jako głównej twarzy opozycji. Także w kwestii Trzeciej Drogi.

Już objaśniamy: otóż spór dotyczy tego, co z zielonymi braćmi zrobić w sytuacji, kiedy PeŁo idzie na rympał. Ludowcy bowiem dystansują się od tego całego serdla, sugerując: „Co złego, to nie my". Jak odpowiedzieć? Jedni sugerują, by ogłosić ich publicznie bandytami i współsprawcami łamania konstytucji, a inni – by nie piętnować, licząc na to, że jednak kiedyś będą koalicjantem. Jako znawcy realiów PiS uważamy spór za nieistotny. Pamiętamy bowiem, z jakim taktem i dyplomacją od zawsze partia ta traktowała kandydatów na swoich koalicjantów.

Tymczasem w Eine Totalkoalition narasta przekonanie że rympał w mediach państwowych będzie trzeba zamaskować nową ustawą medialną, czyli kompromisem z prezydentem Andrzejem Sebastianem. Mamy jednak złą wiadomość: otóż przeważa tam opinia, że sprawa jest pilna, ale nie aż tak pilna, żeby załatwić ją przed wyborami samorządowymi i europejskimi. Czas, widzicie, jest rzeczą względną, jak nauczał wujek Einstein.

Kiedy nie wiadomo, co robić, najlepiej nic nie robić. Dlatego gorąco zrobiło się przy Czerniakowskiej 100 w Warszawie. Nie ma chętnych referendarzy do rozpoznania wniosku o wpisanie neowładz TVP do Krajowego Rejestru Sądowego, który mieści się właśnie przy Czerniakowskiej. My się temu nie dziwimy. Referendarz sądowy, jak by to poważnie brzmiało, to jednak nie sędzia i zasadniczo nie przysługuje mu immunitet. A większość referendarzy jednak chciałaby w sądach pozostać.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Efekt jest taki, że – jak wiadomo – w TVP są teraz dwa ośrodki władzy. Jeden przy Woro, jak w swoim żargonie mówią o Woronicza 17 pracownicy TVP, gdzie urzęduje neozarząd. Drugi – przy placu Powstańców, gdzie urzęduje prezes z nadania Rady Mediów Narodowych. I właśnie gruchnęła wieść, że Adamczyk z Pereirą i Tulickim niebawem nie będą mieli gdzie urzędować, bo neozarząd, zwany też likwidatorem, zamierza opylić gmach przy placu. Prawdopodobnie najcenniejszą obecnie nieruchomość na rynku warszawskim. W tej sytuacji określenie „likwidator" nie wydaje nam się na wyrost.

Powyższy pomysł wydaje nam się całkowicie naturalny dla środowisk z okolic Eine Totalkoalition. Mają one w końcu wielkie zasługi dla wieloletniej działalności reformującej i porządkującej sprawy budowlane w Warszawie; działalności złośliwie zwanej przez złych ludzi „czyszczeniem kamienic". W tym przypadku czyszczenie kamienicy mogłoby okazać się wybitnie spektakularne, o ile tylko nabywcy nie będzie przeszkadzało obarczenie transakcji wadą prawną. Ale powiedzmy sobie szczerze, nie z takimi wadami prawnymi człowiek dawał sobie radę, kiedy był w potrzebie, prawda? Znaczy nie każdy człowiek. Tylko odpowiedni ludzie. Zaufani.

eprasa.pl/2267720789

Niby nie można odwołać ambasadora bez zgody prezydenta Andrzeja Sebastiana. Ale zawsze można go odwołać na konsultacje do kraju

Apropos odpowiednich ludzi. W odróżnieniu od referendarzy sądowych ludzie kultury i mediów nie kryją swoich ambicji. Na Woro pojawiła się niejaka Katarzyna Janowska, powracając jako autorka programu „Hala odlotów", który wyemitowano jako symboliczne otwarcie nowej polityki kulturalnej. Otóż Janowska, obecnie Złonet, nie kryje w rozmowach z rozmaitymi ludźmi, że za lata cierpień w opozycji należy jej się coś więcej niż tylko prowadzenie. Najlepsze byłoby zarządzanie. Może „Jedynką", może „Dwójką", a może jeszcze czymś innym.

Bardzo ucieszyło nas pojawienie się w pierwszym neowydaniu neo-„Hali odlotów" nie tylko znanego z elegancji i umiaru Andrzeja Seweryna, lecz także Agnieszki Holland, która przed laty ukuła hasło główne restauracji Burbonów, to znaczy tfu… kontrrewolucji Tuska: „Żeby było, jak było". Agnieszka Holland swymi przepojonymi godnością i mądrością wypowiedziami potwierdziła bowiem naszą tezę, że wszystko będzie tak, jak było, ale bardziej. Ciąg dalszy nastąpi.

Tak czy inaczej, wieści z Woro są takie, że likwidacji mają ulec wszystkie tzw. małe anteny, łącznie z TVP Kulturą, gdyż „piniędzy ni ma i nie będzie", za co winą obarczony zostanie prezydent Andrzej Sebastian. „Dwójka" miałaby zostać anteną kulturalną, a reszta do piachu. Będzie ciekawie, bo na niejedną produkcję dla małych anten umowy podpisano jeszcze w ubiegłym roku. A – jak mawiał prof. Geremek – „pacta sunt servanda". Gorąco więc wkrótce będzie nie tylko u referendarzy sądowych, lecz także w ogóle w sądach.

Tymczasem przy ul. Postępu w Warszawie, gdzie mieści się siedziba Prokuratury Krajowej, atmosfera jest bardziej niż napięta. Jedni mówią, że najbliższy niegdyś współpracownik Zbigniewa Ziobry, czyli Dariusz Barski, zaczął paktować z Bodnarem i zdrada wisi w powietrzu. Podobno już wcześniej nie było chemii między nim a Jarosławem Kaczyńskim w kwestii śledztwa smoleńskiego.

Napięta sytuacja panuje też wśród polskiego korpusu ambasadorskiego. Niby nie można odwołać ambasadora bez zgody prezydenta Andrzeja Sebastiana. Ale zawsze można go odwołać na konsultacje do kraju, jak Andrzeja Sadosia z Brukseli. To zaś problem, bo w czasie konsultacji w kraju ambasadorowi nie przysługuje najważniejsza część wynagrodzenia, którą są dewizy. A pensja podstawowa to naprawdę grosze. Są jednak ambasadorowie, którzy nie chcą się kłaść Rejtanem w obronie funkcji i zamierzają sami zjechać z placówki. Chodzi zwłaszcza o tych, którzy już za poprzedniego reżimu Platformy mieli przyjemność, choć wątpliwą, współpracy z Radkiem Sknerusem.

Tuż przed Świętem Sześciu Króli słynna proaborcyjna organizacja udająca NGO-sa, czyli Amnesty International, ogłosiła nabór kandydatur do swej corocznej nagrody Pióro Nadziei „dla tych, którzy swoją pracą medialną sprawiają, że prawa człowieka stają się ważne w przestrzeni publicznej". Nabór jest niepotrzebny, zwycięzca jest oczywisty: pułkownik minister Bartłomiej Sienkiewicz – jak nikt inny nagłośnił w ostatnich tygodniach kwestię praw człowieka oraz rozmaitych innych praw, które trzeba złamać, aby je ocalić.

Co więcej, my dalibyśmy Bartowi Sienkiewiczowi nawet dwa Pióra Nadziei. Jedno ogólnie, za całokształt, a drugie takie ekstra, za nowatorstwo. Amnesty bowiem wyraźnie podkreśla, że jednym z decydujących elementów dla wybierania kandydatów do nagród jest ich „nowatorskie podejście" do tematu. No musicie przyznać, że jest za co nagradzać. Nie tylko Barta.

Odnotujmy, że zmiany, zmiany, zmiany nadchodzą na wszystkich frontach, gdyż zaczęło się polowanie na tłuste koty z PiS. Polega ono na hurtowym odwoływaniu członków rozmaitych rad nadzorczych, gdzie podobno zarabiało się gigantyczne piniondze. Well, drogi Watsonie, z tym bywało różnie, ale zabawniejsze jest to, że operatorom miotły pomieszały się najwyraźniej rady nadzorcze z radami programowymi, skąd też zaczęto usuwać „tłuste koty". Postanowiliśmy więc sprawdzić, na jakie apanaże będą mogli liczyć nominaci nowej władzy. Gdyż – jak wiadomo – skoro zwalniają, to będą zatrudniać. Rady programowe same się nie zaprogramują.

Żeby było sprawiedliwie, sprawdziliśmy i w Warszawie, i poza. A konkretnie w Lublinie. Tam dokonano hekatomby członków rady programowej Instytutu Europy Środkowej. Słusznie. Pracowali oni bowiem za grube pieniądze. A mianowicie za każdy przyjazd na posiedzenie otrzymywali zwrot kosztów podróży pociągiem klasy drugiej. I tyle. W stolicy koty są jeszcze tłustsze. Na przykład wynagrodzenie za udział w pracach rady programowej Instytutu Felczaka to dla warszawiaka zwrot kosztów podróży tramwajem dwa raz 4,40 ziko. Na szczęście nowa władza walczy z tym Bizancjum, odwołując najbardziej nachapanych. Czekamy, kto ustawi się w kolejce do opróżnionych foteli, bo są to okazje nie do przegapienia.

Za sprawą aktywnej działalności rządu Eine Totalkoalition minione święta były wyjątkowo intensywne nie tylko dla tych, którzy pilnowali gmachów PAP i TVP przed neohunwejbinami. Także wymiana życzeń świątecznych drogą elektroniczną i tradycyjną była na prawicy bardziej ożywiona niż zwykle. Odnotowujemy np. powrót dawno niewidzianego Mariusza-Oriona Jędryska, największego geologa wśród poetów i największego poety wśród geologów. Jednak jego nowych utworów nie dostawaliśmy od lat. Teraz się to zmieniło, stąd cytat: „Gdy zaraza z zachodu – barbarzyństwo ze wschodu – gdy płynie dzicz z południa – koalicji rząd grudnia…". Dziękujemy. Tęskniliśmy. ©℗

eprasa.pl 2267720789

Tuskorewolucja, czyli stajemy wobec czegoś zupełnie nowego

Piotr Semka

Można ryzykować stwierdzenie, że Donald Tusk tym razem ostatecznie chce zbudować w Polsce fasadową demokrację bezalternatywną. Protestujmy, bo stawka jest bardzo wysoka

Moja kochana redakcja „Do Rzeczy" poprosiła mnie o napisanie analizy dotyczącej nowej rzeczywistości politycznej powstałej po 13 grudnia 2023 r. Poproszono mnie o odpowiedź na pytania: „O co chodzi w tym konflikcie?", „Jaka jest jego stawka?". Poproszono mnie wreszcie o próbę odpowiedzi na pytanie: „Kto wygra to starcie?".

O CO CHODZI W TYM KONFLIKCIE?

No to zaczynamy, po kolei. O co chodzi w tym konflikcie? Jest rzeczą zdumiewającą, że decyzja rządu Donalda Tuska o demonstracyjnym złamaniu zasad prawa w ramach akcji przejęcia mediów publicznych spotkała się z tak wymownym milczeniem najważniejszych politologów i komentatorów polskiej sceny politycznej. Najlepszym analitykiem nowego stanu rzeczy stał się Jan Rokita. Nazwał on działania Tuska „praktyką ograniczonego stanu wyjątkowego". Jak pisze Rokita: „Praktyka ta polega na punktowym zawieszaniu de facto (ale nie de iure) przez władzę na czas jakiś obowiązującej ustawy, a to w celu ułatwienia przejęcia niekontrolowanych dotąd instytucji. Jest to praktyka, która w intencji władzy powinna szybko i skutecznie uderzać w najbardziej newralgiczne interesy prawicy, po czym [i tu już Rokita spekuluje – przyp. P.S.], jak najprędzej to możliwe, winno się dążyć do przywrócenia stanu normalnej praworządności".

Jak pisze były polityk Platformy Obywatelskiej: „W chwili, gdy piszę ten tekst, czyli w ostatnich dniach roku 2023, nie wiadomo jeszcze, czy jest to jednorazowy koncept rządzącej centrolewicy, motywowany nadwartościowaniem przez rządzących znaczenia kontroli nad telewizją. Czy też jest to koncept rozwojowy, mający prowadzić do szerokiej zmiany układu sił w polskiej polityce?". Jak wskazuje Rokita, Tusk wykorzystuje to, że klasyczny język „bezprawia versus praworządności" został w ciągu poprzednich lat zawłaszczony przez jego obóz. I to w dużym stopniu pomaga mu przeprowadzać tak skandaliczną w sensie prawnym operację.

Rokita ma sporo racji. Wydarzenia ostatniego miesiąca pokazały, że Trzecia Droga i Lewica, po których niektórzy spodziewali się, że będą one mitygować żądzę odwetu lidera PO, okazały się zupełnie

eprasa.pl 2267720789

FOT. NURPHOTO/GETTY IMAGES

płonne. Mało tego, nie tylko Szymon Hołownia jako lider Polski 2050 i marszałek Sejmu nie przyjął roli kogoś, kto choćby dystansowałby się od taktyki Tuska, lecz także z ugrupowania Hołowni wypływają dywagacje na temat jeszcze ostrzejszych działań. Oto Michał Kobosko, faktyczny numer dwa w Polsce 2050, opowiedział się za siłowym usuwaniem posłów PiS korzystających z prawa do interwencji poselskiej w publicznej telewizji, radiu i PAP. Inny polityk ugrupowania Hołowni, Ryszard Petru, w wypowiedzi medialnej wręcz wezwał do ignorowania wet prezydenta Andrzeja Dudy.

Wszystko to należy porównać z poprzednim okresem sprawowania władzy przez Donalda Tuska w latach 2007–2015. I znów wróćmy do Rokity, który opisuje, że obejmując władzę w roku 2007, Donald Tusk dysponował zapleczem rozproszonym, ideologicznie stonowanym i mało skłonnym do ultracyzmu. Teraz jest inaczej. Rokita wymienia skupione wokół Tuska w czasie ośmiu lat rządów PiS zorganizowane bojowe grupy: feministki, zielonych fundamentalistów, prawników rewanżystów oraz sfanatyzowanych dziennikarzy i intelektualistów. Grupy te w czasie wielomiesięcznej kampanii PO stały murem za liderem, a teraz żądają spełniania swych snów o zemście.

Czy Tusk im ulega czy też w pełni podziela ich rewanżystowski zapał? Zapewne jest i tak, i tak. Najpoważniejszą okolicznością dla Tuska jest to, że cała stojąca za nową koalicją opinia intelektualna i medialna uznaje za dogmat potrzebę złamania PiS kręgosłupa na długo i w związku z tym, mimo kręcenia nosem na metody, faktycznie zgadza się na coś, co nazwać można „ograniczonym stanem wyjątkowym".

Dobrą próbką tej intelektualnej niezdolności do zauważenia zagrożeń wynikających z „tuskorewolucji" jest analiza opublikowana przez lewicową Krytykę Polityczną autorstwa Piotra Wójcika. Lewicowy publicysta pisze: „Marek Czyż może uchodzić za bezstronnego dziennikarza głównie dlatego, że mówi spokojnym tonem. To miła odmiana po wydzierającym się Miłoszu Kłeczku, ale finalnie chodzi jednak o treść, a nie formę. A chyba nikt nie ma wątpliwości, po której stronie sporu politycznego sytuuje się Czyż. Nowy prezes TVP Tomasz Sygut przezimował czasy władzy PiS w spółce komunalnej w rządzonej przez PO Warszawie. Nowy prezes Polskiego Radia, Paweł Majcher, pracował w przeszłości jako rzecznik ministra Sienkiewicza [...]. Pod względem personalnym mamy więc restaurację mediów publicznych z 2015 roku. Owszem, były lepsze od tych pisowskich, ale na pewno nie były dobre".

To ostatnie zdanie jest w tekście Piotra Wójcika kluczowe. Autor zauważa oczywiste kłamstwo ekipy Tuska (która twierdzi, że odpolitycznia media publiczne), a jednocześnie nie jest zdolny do żadnej bardziej wyrazistej tezy, że mimo wszystko nowe media będą lepsze od starych PiS-owskich. I to dlatego niemal zerowe znaczenie mają mamrotanie marszałka seniora Marka Sawickiego, że nie wszystko w działaniu PO akceptuje, czy wyrażane pod nosem przez Adriana Zandberga cichutkie głosy niezadowolenia z metod, którymi „silni ludzie" Sienkiewicza forsują drzwi gabinetów prezesów mediów publicznych. Wszelkie nadzieje, że Trzecia Droga będzie czynnikiem łagodzenia konfliktu polsko-polskiego, przestały mieć jakiekolwiek znaczenie. I to jest konkret, na którym swoją pozycję buduje Tusk.

CO JEST STAWKĄ W TEJ GRZE

Można ryzykować stwierdzenie, że Donald Tusk tym razem ostatecznie chce zbudować w Polsce fasadową demokrację bezalternatywną. Chodzi o stworzenie sytuacji politycznej, w której żadne z ugrupowań spoza obecnej koalicji, szczególnie z prawej strony, nigdy nie będzie w przyszłości w stanie zastąpić u władzy obecnego układu. Marzenie o takim stanie towarzyszy obozowi liberalnemu i lewicowemu od samych początków III RP. To z tego powodu doszło do obalenia rządu Jana Olszewskiego i z tego powodu rozpętano wokół rządów PiS w latach 2005–2007 swoistą próbę generalną z kontestacji „ulicy i zagranicy".

Teraz jednak Tusk działa, wykorzystując znaną z judo zasadę „giętkiej trzciny". Będące normalnym okresem dwóch kadencji konflikty polityczne przedstawia jako przykład niebywałego, niemającego precedensu w historii III RP bezprawia, które raz na zawsze naznacza piętnem, i eliminuje z życia publicznego zarówno polityków, jak i wszystkich tych, którzy uznawali w tym czasie, że program PiS służy polskiej racji stanu. W zamierzeniach lidera PO ostatnich osiem lat trzeba naznaczyć piętnem podobnym do tego, którym naznaczony jest ten okres w historii Francji, w którym były rządy Vichy. Ma być to totalne i bezapelacyjne wyeliminowanie z przestrzeni publicznej. Każdego człowieka mediów, który nie przyłączył się do kontestacji PiS, trzeba zdefiniować jako propagandzistę, a każdego polityka prawicy opatrzyć etykietką przedstawiciela sił zagrażających demokracji.

Jest oczywiście paranoją, że wydawaniem dziennikarskich świadectw moralności lub jej braku zajmują się takie postacie jak Tomasz Lis, które mogą aspirować do roli megahejterów w przestrzeni publicznej. Ale w tej grze chodzi o całkowite zdobycie monopolu i przeforsowanie przemożnej „władzy interpretacji".

eprasa.pl 2267720789

Dlatego można podejrzewać, że pytanie Rokity, czy Tusk skupi się, używając nieprawnych metod, tylko na odbiciu telewizji, jest pytaniem naiwnym. Po faktycznym przejęciu mediów publicznych nowy premier zabierze się za Trybunał Konstytucyjny, Krajową Radę Sądownictwa, Narodowy Bank Polski, a wreszcie – zepchnięcie do defensywy prezydenta Andrzeja Dudy.

Dlatego istotą obecnej batalii jest zamiar likwidacji równowagi społecznej. Jeżeli 7,5 mln wyborców PiS będzie systematycznie pozbawianych przekonania o równych szansach w sądzie, o możliwości wyrażania swoich opinii i o sprawczości politycznej, to w założeniu Tuska nastąpić musi erozja determinacji politycznej elektoratu PiS. Na podobnej zasadzie ekipa Jaruzelskiego zakładała, że duża część z 10 mln członków Solidarności, którzy wstąpili do niej w latach 1980–1981, po wprowadzeniu stanu wojennego albo da się zastraszyć, albo zepchnąć w bierność „emigracji wewnętrznej", albo wreszcie da się przekupić.

Bardzo charakterystyczne są wygłaszane na forach tzw. Silnych Razem, czyli najbardziej agresywnej części elektoratu PO, nadzieje, że skoro udało się odbić wiadomości TVP, to spora część ich widzów ulegnie reedukacji politycznej i przestanie popierać w wyborach prawicę. Ale to nie koniec ambicji Silnych Razem. Oto jedna z aktywnych przedstawicielek tego nurtu, kreująca się na medioznawcę Anna Mierzyńska, pisze na Twitterze: „Podczas noworocznych rozmów pojawił się pomysł, by do rozliczenia PiS i związanych z nim podmiotów i ludzi powstała jakaś specjalna jednostka. Same ministerstwa nie będą miały jak tego zrobić ze względu na sprawy bieżące. Trzeba grupy ludzi skupionych tylko na tym". Znacząca była reakcja na te słowa dziennikarza „Newsweeka" Grzegorza Rzeczkowskiego: „Bardzo dobry pomysł. Popieram i zachęcam do tego samego".

Innym przykładem tego amoku odwetu było ostrzeżenie byłego szefa Centralnego Biura Śledczego Pawła Wojtunika, że „PiS stworzy struktury partyzancko-podziemne". Słowa Wojtunika są w specyficzny, chory sposób dość logiczne. Skoro uznajemy, że PiS to kwintesencja zagrożenia demokracji, to nie wystarczy jedynie odsunąć partii Jarosława Kaczyńskiego od władzy. Trzeba jej działaczy ściśle kontrolować i przyjąć założenie, że nie spoczną po wypchnięciu z urzędów, ale będą organizować coraz bardziej wyrafinowane i trudne do kontrolowania struktury podziemne. Jakież to wspaniałe pole otwiera dla rozbudowywania „demokratycznych" służb specjalnych, które zajmą się mącicielami!

Ten nowy dogmat odbudowy ładu i sił, które zamierzają temu przeszkadzać, pojawia się nawet u autorów, których można było podejrzewać o większą równowagę emocjonalną. Łukasz Lipiński, prognozując, jak będzie wyglądać nowy, 2024 r., pisze: „Z jednej strony 15 października przyniósł Polakom optymizm i nadzieję na prawdziwą dobrą zmianę [...], stworzenia kraju, w którym wszyscy – także grupy tępione przez dotychczasową władzę – będą się mogły po prostu poczuć jak we własnym domu. Z drugiej strony ostatnie tygodnie pokazały, jak trudny to będzie proces. Widzimy, ze PiS będzie próbował na każdym kroku blokować reformy czy rozliczenia, a przecież w wielu instytucjach wciąż zachował władzę i będzie się trzymał pazurami, żeby nie dać się od niej oderwać. Te pisowskie wysepki będą się wzajemnie wspierać".

Polskie wydarzenia mogą być swoistym wzorem dla sił szykujących federalizację Europy do trwałego likwidowania pluralizmu politycznego

Warto zastanowić się chwilę nad tego typu retoryką. Łukasz Lipiński nie zastanawia się nad tym, że wyborcy PiS mogą dla psychicznej równowagi zakładać, że w państwie muszą istnieć jakieś instytucje, które nie podlegają ekipie Tuska i mogą dla nich być oparciem w razie np. przekroczenia wszelkich granic w rozliczeniach i spychaniu prawicy na margines. Nie. Autor w dość kojarzący się z okresem PRL sposób sugeruje, ze PiS to szkodnik, który chce zatrzymać proces odbudowy kraju, i trzeba zrobić wszystko, aby te siły nie były w stanie przeszkodzić władzy w jej światłych rządach.

Przy takim nastawieniu mediów i intelektualistów wspierających nową koalicję bardzo słabe będą mechanizmy samoograniczenia się „tuskorewolucji". Co więcej, polskie wydarzenia mogą być swoistym wzorem dla sił szykujących federalizację Europy do trwałego likwidowania pluralizmu politycznego. Politykę PiS obserwują ci we Włoszech, którzy głoszą, że nigdy więcej nie należy dopuścić do władzy Giorgii Meloni, lub ci, którzy na hiszpańskiej lewicy już teraz biją na alarm, że partia Vox może zaprowadzić neofrankizm.

KTO WYGRA TO STARCIE?

Musimy poczekać jeszcze przynajmniej miesiąc, aby się zorientować, czy „akcja rympał" przyniosła Tuskowi i – szerzej – koalicji jakieś straty wyborcze. Jeżeli jednak ich wyniki sondażowe utrzymają się z grubsza na podobnym poziomie co przed 13 grudnia, to Tusk uzna, że cała akcja de facto się opłaciła. Mój zacny kolega po piórze Rafał A. Ziemkiewicz powraca do swojej ulubionej frazy, że „rządzi nami mafia, ale na szczęście jest to gang Olsena". A co, jeśli się okaże, że mimo rozmaitych kiksów operacja przejęcia mediów będzie mogła być uznana przez liderów PO za sukces? Tym bardziej że ruchomy horyzont walki o polityczny monopol powoduje ciągłą zmianę perspektywy. Problemem platformersów przestaje być TVP, ale natychmiast staje się nim TV Republika. Dziś jeden z posłów Platformy wzywa emiterów sieci kablowych, by usuwali ze swego menu telewizję mediów narodowych, a być może za chwilę usłyszymy takie samo wezwanie dotyczące TV Republika.

Jeśli minister sprawiedliwości Adam Bodnar zacznie brać pod swoją osobistą kontrolę coraz więcej spraw, to sędziowie, i tak już bardzo wahnięci w kierunku obozu Tuska, zaczną spełniać nowe polityczne życzenia. I tym razem nie będzie wałkowania tego tematu w większości mediów ani nikt nie będzie się tym zajmować w Parlamencie Europejskim. Dlatego obserwując działania nowej władzy, odsuńmy na bok miłe żarciki o nowym gangu Olsena, a bardziej analizujmy, jak tworzy się system demokracji bezalternatywnej. I protestujmy, bo stawka jest niezwykle wysoka. Pytanie, jaki procent Polaków będzie miał na taki protest odpowiedni zasób odwagi i energii.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2267720789

Starcie plemion

Łukasz Warzecha

Rozgrywająca się właśnie w polskiej polityce wojna jest bardzo niebezpieczna. Każdy kolejny poziom destrukcji ładu prawnego nie tylko niszczy jeszcze bardziej państwo, lecz także zachęca siłę, która jest jego sprawcą, żeby tak je pod siebie ustawić, aby władzy nie stracić możliwie długo. Jej utrata oznacza bowiem ogromne prawdopodobieństwo poniesienia osobistej odpowiedzialności za niezgodne z prawem poczynania

Nigdy jeszcze III RP nie była tak blisko całkowitej anarchizacji życia publicznego. Faktycznie już teraz funkcjonujemy w warunkach prawnego dualizmu – wszak publikowane przez nową władzę rozstrzygnięcia Trybunału Konstytucyjnego zaczęły być opatrywane absurdalną notką o tym, że wydaje je TK obarczony rzekomą wadą prawną. Jest to następstwo wyroku Izby Karnej Sądu Najwyższego, która uznała, że wobec obecności w składzie orzekającym TK „sędziego dublera" wyrok w konkretnej sprawie nie ma mocy prawnej. Przy czym z polskiej konstytucji nijak nie wynika, żeby SN mógł w ten sposób „recenzować" TK. Czym to w praktyce ma skutkować – nie wiadomo.

Mogę tylko wspomnieć, że gdy najpierw Platforma, a potem po przejęciu władzy, zimą 2015 r., PiS powoływały do TK nadmiarowych sędziów, ostrzegałem, że skończy się to ostatecznie chaosem prawnym. Nie sądziłem jednak, że będzie on tak głęboki.

To wszystko zaś dzieje się jeszcze przed ostateczną batalią o Krajową Radę Sądownictwa, gdzie spór jest już najczyściej polityczny, a nie prawny, jak twierdzą obie jego strony. „Znakomita" konstytucja, stworzona pod patronatem Aleksandra Kwaśniewskiego, nie daje tu bowiem jasnego wskazania, w jaki konkretnie sposób ma być wybieranych 15 sędziów członków KRS.

W KRS nastroje są bojowe. Pracownicy rady twierdzą, że są gotowi na wariant siłowy. Kto zachował w tym szaleństwie jakąś przytomność umysłu, ten może się modlić, żeby nie było tu mimo wszystko powtórki ze szturmu na TVP. Nie dlatego, że jest to „nieestetyczne", ale dlatego, że oznaczałoby to dramatyczną już destabilizację państwa i ostateczne zniszczenie jakiejkolwiek pewności prawa.

PO BANDZIE

Trudno tu jednak być optymistą. Jeżeli bowiem spojrzeć na front medialny, to ujrzymy, że nowa władza miała kilka możliwości działania ze znacznie mniejszą brutalnością. Przede wszystkim mogła przygotować zawczasu ustawę likwidującą Radę Mediów Narodowych – twór wykreowany przez PiS w połowie 2016 r., obsadzany jedynie przez Sejm i prezydenta, którego jedynym celem było wówczas umożliwienie władzy przejęcia mediów w sposób bardziej uporządkowany niż na podstawie tzw. małej ustawy medialnej z końca 2015 r. To ta ostatnia była przedmiotem badania Trybunału Konstytucyjnego, który w orzeczeniu z grudnia 2016 r. uznał, że nie wolno pozbawiać KRRiT wszelkich kompetencji do powoływania władz mediów publicznych, a także stwierdził, że postępowanie jest w dużej mierze bezprzedmiotowe, jako że w jego trakcie uchwalono już ustawę o RMN. Ta zaś nigdy nie była przedmiotem badania TK.

Gdyby pan prezydent podpisał taką ustawę, kasującą RMN i przygotowaną przez obecną większość, kompetencje dotyczące powoływania szefów mediów publicznych wróciłyby do KRRiT. Ta co prawda składa się obecnie w czterech piątych z osób związanych z dawną władzą (oprócz Tadeusza Kowalskiego, powołanego przez Senat), ale to również nie byłby problem. Zgodnie z ustawą o radiofonii i telewizji rada do końca maja każdego roku musi złożyć obu izbom parlamentu oraz prezydentowi sprawozdanie ze swojej działalności. W ustawie czytamy: „W wypadku odrzucenia sprawozdania przez Sejm i Senat kadencja wszystkich członków Krajowej Rady wygasa w ciągu 14 dni, liczonych od dnia ostatniej uchwały" (takich skutków nie wywołuje odrzucenie sprawozdania przez prezydenta). Jako że koalicja ma większość w obu izbach parlamentu, z odrzuceniem sprawozdania, a tym samym wygaszeniem całego obecnego składu KRRiT nie byłoby problemu. W nowej radzie władza miałaby już większość, bo do KRRiT dwóch członków powołuje Sejm, jednego Senat, dwóch prezydent. Tak zresztą zapewne się stanie za kilka miesięcy tak czy owak.

eprasa.pl 2267720789

Gdyby zaś pan prezydent projekt ustawy odrzucił – co nie jest bynajmniej oczywiste ani pewne, zwłaszcza gdyby jego uchwalenie było poprzedzone konsultacjami i uzgodnieniami z głową państwa – wówczas można byłoby działać poprzez RMN. Ustawa o Radzie Mediów Narodowych zawiera zastrzeżenie, że jej członkowie nie mogą posiadać udziałów albo akcji spółki będącej dostawcą usługi medialnej, producentem radiowym lub telewizyjnym albo w inny sposób uczestniczyć w takim podmiocie. Należałoby sprawdzić, czy nie jest to przypadek któregoś z członków rady, a jeśli tak, to taka osoba mogłaby zostać z jej składu usunięta. W tej chwili pięcioosobowy skład RMN to dwóch przedstawicieli lewej strony sceny politycznej, powołanych przez pana prezydenta, oraz troje przedstawicieli PiS. Wymiana zaledwie jednego z członków na związanych z obecną władzą oznaczałaby, że rada w całkowicie legalny sposób mogłaby odwołać dotychczasowe i powołać nowe zarządy mediów publicznych.

Postawienie mediów publicznych w stan likwidacji, czyli drugi krok wykonany przez pana ministra Sienkiewicza, budzi wątpliwości prawne, ale i tak mniejsze niż pierwszy krok, który trudno określić inaczej niż polityczny i prawny rympał. Owszem, ustawy o radiofonii i telewizji oraz ustawa o PAP pozwalają sięgnąć w sprawie stanu likwidacji po kodeks spółek handlowych, ale zarazem jest to stan likwidacji całkowicie fikcyjny, ponieważ spółki są powołane odrębnymi ustawami i bez ich zmiany – co jest nieprawdopodobne – zlikwidować się ich nie da. A to rodzi poważną wątpliwość prawną co do celowości sięgnięcia po instrument stanu likwidacji.

DWIE NARRACJE

Po co zatem było wybierać najbardziej brutalną, ordynarną metodę pokazowego przejmowania mediów z udziałem wygolonych osiłków i z szarpaniną na korytarzach? Wbrew pozorom nie ma w tym żadnej zagadki. To kolejna odsłona gry, na której zyskują obie strony. Donald Tusk pokazał się jako „silny premier". Media, sprowadzone w warstwie publicystyki i „informacji" (bez cudzysłowu nie da się tego pisać) przez poprzedników do postaci wręcz karykaturalnej, dla wielu wyborców nowej koalicji były papierkiem lakmusowym sprawczości nowej władzy, ważniejszym niż cokolwiek innego. Panu premierowi nie opłacało się czekać, żeby po kilku tygodniach czy nawet paru miesiącach umieścić w nich swoich ludzi w spokojny i zgodny z prawem sposób. Ba, nawet mogło mu pasować, że aby zrobić to szybko, musi zadziałać brutalnie, w dodatku poprzez wyjątkowo źle przez opozycję kojarzonego ministra Sienkiewicza. Identyczny sposób rozumowania może Donaldowi Tuskowi przyświecać w przypadku konfliktu o KRS.

Druga strona tej wojny zapewne wolałaby zachować wpływ i na media, i na sądownictwo, ale w gruncie rzeczy z obecnego obrotu spraw też może być zadowolona. Celem obu obozów jest przecież maksymalna polaryzacja i wykoszenie wszystkiego, co mogłoby się znaleźć pomiędzy obiema stronami trwającymi w pozornie śmiertelnym zwarciu (proszę zauważyć, jak zniknął Władysław Kosiniak-Kamysz). Legenda o obronie „wolności słowa" wspaniale się do tego nadaje, a najbardziej idealnie byłoby, gdyby jeszcze do więzienia, choćby na krótki czas, trafili Maciej Wąsik i Mariusz Kamiński. Posiadanie swoich „więźniów politycznych" mogłoby skonsolidować partię i jej kibiców bardziej niż cokolwiek innego. Druga strona to jednak również wie, dlatego można założyć, że choć formalnie o wykonaniu kary decyduje sąd, to jednak były minister spraw wewnętrznych i jego zastępca za kraty nie trafią. Może jednak w zamian będziemy mieć wygodną wizerunkowo dla obu stron szarpaninę na korytarzach siedziby KRS.

Jeśli ktoś ma nadzieję na autentyczny spór, to powinien trzymać kciuki za ostateczny rozpad duopolu i zejście ze sceny dwóch symbolizujących go postaci: Donalda Tuska i Jarosława Kaczyńskiego, których destrukcyjny wpływ na polską politykę jest trudny do przecenienia

Na razie jesteśmy świadkami budowania dwóch narracji, które mają stanowić fundament dalszego zwarcia obu armii. Armia Donalda Tuska buduje legendę o uśmiechniętej Polsce, wyzwalającej się mozolnie z PiS-owskiej opresji i „przywracającej porządek konstytucyjny", może nie zawsze w elegancki sposób i zgodnie z prawem, ale – jak to ujęła pani Joanna Scheuring-Wielgus – jak się sprząta, to przecież człowiek musi się pobrudzić. Ważnym elementem tej legendy jest powtarzanie skądinąd całkowicie beztreściowej opowieści o konieczności pojednania. Oczywiście nie idzie za nią żaden konkret, ale służy to podtrzymaniu w obozie władzy – i zwłaszcza wśród jego zwolenników – wewnętrznego przekonania o swojej moralnej wyższości, a to w czasie wojny bardzo ważne: „Jesteśmy szlachetniejsi niż druga strona, bo oni siali nienawiść, a my chcemy pojednania i miłosiernie pochylamy się nad tymi głupiutkimi PiS-owcami, o ile wyrzekną się swoich zacofanych poglądów". Nie ma znaczenia, że duża część zwolenników strony zwycięskiej dyszy

eprasa.pl 2267720789

Po co było wybierać najbardziej ordynarną metodę pokazowego przejmowania mediów? To kolejna odsłona gry, na której zyskują obie strony. Na zdjęciu: Mateusz Morawiecki w budynku TVP przy ul. Woronicza wśród protestujących sprzeciwiających się siłowemu przejęciu mediów, 20 stycznia 2024 r. FOT. HORNET/REPORTER

zwierzęcą wręcz żądzą zemsty. Ważne, żeby dysząc, wciąż mieli głębokie przeświadczenie o własnej moralnej przewadze. Jest tu sprzeczność logiczna – nie ma psychologicznej.

Druga z kolei strona, okopana medialnie w Telewizji Republika i nadająca stamtąd jak z jakichś okopów pod ostrzałem, buduje opowieść o obronie wolności słowa i wolności w ogóle przed „niemieckim" premierem, który chce sprzedać Polskę. Ta opowieść jest równie pocieszna jak rzekoma wspaniałomyślność obozu władzy. „Wolności słowa" bronią ludzie, którzy przez kilka lat uprawiali w publicznych mediach najbardziej ordynarną, tępą i odrzucającą propagandę, niestrawną nawet dla zdecydowanych zwolenników ówczesnej władzy. Którzy wykluczali z debaty każdego, kto nie pochwalał rządowej narracji, a już szczególnie zajadle tego typu osoby z szeroko pojętego obozu prawicy. Ważnym aktorem „obozu suwerennościowego" jest wciąż Mateusz Morawiecki, którego zasługi w oddawaniu polskiej suwerenności organom unijnym są trudne do przecenienia.

Ta zabawa, oparta na dwóch fałszywych opowieściach, jest jednak bardzo niebezpieczna. Każdy kolejny poziom destrukcji ładu prawnego nie tylko niszczy jeszcze bardziej państwo, lecz także zachęca siłę, która jest jego sprawcą, żeby tak je pod siebie ustawić, aby władzy nie stracić możliwie długo. Jej utrata oznacza bowiem ogromne prawdopodobieństwo poniesienia osobistej odpowiedzialności za niezgodne z prawem poczynania. Takie ryzyko było już duże w czasie rządów Prawa i Sprawiedliwości, ale podczas pierwszych tygodni rządów nowej koalicji udało się je podbić jeszcze bardziej.

Wielu zwolenników dawnego obozu władzy będzie chciało przekonywać, że spór idzie o zasadniczy kierunek, w którym pójdzie Polska. Będą wskazywali na to, że cykl wyborczy dopiero się rozpoczął. W tym roku czekają nas wybory samorządowe, potem do Parlamentu Europejskiego, a w kolejnym roku – prezydenckie. Dzieje się to w momencie, gdy w UE zapadają fundamentalne decyzje co do jej dalszego kursu i procedury podejmowania decyzji. Strona w ostatnich wyborach przegrana oraz jej zwolennicy chcą zatem dowieść, że mamy do czynienia z wyborem cywilizacyjnym. Tyle że to w dużej mierze nieprawda.

Praktyka poprzedniej władzy oznaczała akceptację rozwiązań tak dla Polski fatalnych jak mechanizm pieniądze za praworządność czy „Fit for 55", natomiast system urządzony w państwie w ciągu ośmiu lat trudno było nazywać ładem. Media, od których zacząłem ten artykuł, są tego znakomitym przykładem. Przecież to, co się tam dzisiaj dzieje, jest w dużej mierze pokłosiem kształtu – także instytucjonalnego – który nadała im poprzednia władza. Czy ktoś bronił jej stworzyć takie rozwiązania i postawić na czele mediów ludzi na tyle niezależnych – o konserwatywnym światopoglądzie – żeby dzisiaj społeczna akceptacja dla brutalnych działań nowej koalicji nie sięgnęła blisko 53 proc., a sprzeciw jedynie 32 proc. (sondaż UCE Research dla Onetu)? Jak się okazuje, działaniom nowej władzy w mediach przeciwny jest nawet mniejszy odsetek osób, niż głosował na Zjednoczoną Prawicę.

SZKODLIWOŚĆ DUOPOLU

Może będzie to dla wielu konkluzja rozczarowująca, ale ta gra pomiędzy dwoma największymi nie idzie o jakieś wielkie cywilizacyjne wybory, ale po prostu o zagarnięcie pod siebie. O stan posiadania, o synekury, a dopiero gdzieś tam w dalszej kolejności o rozwiązania traktowane przez obie strony jako igrzyska i PR dla gawiedzi.

Jeśli ktoś ma nadzieję na autentyczny spór, to powinien trzymać kciuki za ostateczny rozpad duopolu i zejście ze sceny dwóch symbolizujących go postaci: Donalda Tuska i Jarosława Kaczyńskiego, których destrukcyjny wpływ na polską politykę jest trudny do przecenienia.

Trochę na zasadzie „na bezrybiu i rak ryba" warto na razie kibicować panu prezydentowi. Andrzej Duda po półtorej kadencji wprawdzie nie imponuje, ale został postawiony w sytuacji, gdy ma największe jak dotąd szanse, aby ustabilizować państwo i odciąć się od wojny plemion. Być może mógłby to być dla niego punkt wyjścia do dalszego ciągu politycznej kariery. Ale to już temat na inne rozważania.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2267720789

Z prof. Antonim Dudkiem, politologiem i historykiem z Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego
rozmawia Ryszard Gromadzki

Ostatnia bitwa o TVP

RYSZARD GROMADZKI: Czy sposób przejęcia mediów publicznych przez rząd Tuska może być paliwem politycznym dla PiS, które pozwoli mu zebrać się po przegranych wyborach? Czy partii Kaczyńskiego uda się zmobilizować opinię publiczną w obronie państwowych mediów?

PROF. ANTONI DUDEK: Mam wrażenie, że poprzez działania podjęte w obronie mediów publicznych PiS może skonsolidować tylko swoich najtwardszych zwolenników. Widać to po dotychczasowych demonstracjach pod TVP, gdzie w kulminacyjnym momencie zgromadziło się może z 200 osób. Gdyby to była sprawa, która poruszałaby ludzi, to przyszłoby ich więcej. Zobaczymy, jak to będzie podczas zapowiadanej na 11 stycznia demonstracji, pewnie wtedy przyjedzie znacznie więcej osób, ale nie sądzę, by to cokolwiek zmieniło. Zwłaszcza po ujawnieniu, ile płacono gwiazdom TVP za nieskuteczną – jak się ostatecznie okazało – antytuskową propagandę. Moim zdaniem spór wokół mediów publicznych nie przysparza zwolenników żadnej ze stron. Także Tuskowi i jego rządowi. Tracą obie strony. Która więcej? Tego nie wiem. Pokażą to sondaże, jak wszystko się przetoczy. Zdziwiłbym się jednak, gdyby nagle poparcie dla PiS znów osiągnęło pułap 40 proc. Poza tym wszystkim mam wrażenie, że ten spór interesuje ograniczoną grupę ludzi. Sprawa zmian w TVP jest istotna dla ludzi bardzo mocno zainteresowanych polityką plus dla środowisk dziennikarskich, dlatego ten temat jest wciąż obecny w mediach. Jednak ludzie w większości żyją innymi sprawami niż sprawa TVP.

Sposób, w jaki nowa większość sejmowa przejęła kontrolę nad TVP, ignorując obowiązujące prawo, a nawet wyłączając na jakiś czas niektóre kanały TVP, może wskazywać, że niepisany pakt, obowiązujący w Polsce od ponad 30 lat, gwarantujący faktyczną nietykalność przeciwnikom politycznym po przejęciu władzy przez jedną ze stron, został teraz przez Tuska złamany? Będzie tylko ostrzej?

Jest za wcześnie na odpowiedź na to pytanie. Mam jednak wrażenie, że to zmiana podobna do tych, które mieliśmy wcześniej. Wcześniej czy później nowe ekipy rządowe przejmowały kontrole nad mediami publicznymi, obsadzając je swoimi ludźmi. Na tym tle ekipa Tuska rzeczywiście poszła „na skróty" i ustanowiła nową regułę, decydując się na przeprowadzenie tej operacji metodą pozaustawową. Za pierwszego rządu Tuska w 2007 r. przejęcie TVP zajęło mu cztery lata, bo blokował go prezydent Kaczyński, a Tusk nie miał odwagi pójść drogą, którą poszedł teraz. Obecnie, gdy prezydent znów nie jest z Platformy, nie zdecydowano się tego zrobić metodą ustawową, co uważam za błąd Tuska. W mojej ocenie mógł podjąć próbę porozumienia się z prezydentem Dudą. Gdyby to się udało, to w ciągu kilkunastu dni prezydent Duda dostałby do podpisu ustawę o likwidacji Rady Mediów Narodowych i przywróceniu roli Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, z uwzględnieniem zmian w jej składzie, odzwierciedlających aktualny układ sił w Sejmie. To była kwestia negocjacji. Mam wrażenie, że prezydent Duda był na takie negocjacje gotowy, bo – jak mi się wydaje – nie był wielkim entuzjastą telewizji Kurskiego i co najmniej raz próbował pozbyć się z niej pana Kurskiego. W istocie rzeczy TVP była sformatowana przez Kurskiego. Nawet w czasie, kiedy Kurskiego nie było, w TVP było to samo. Tusk jednak z góry zrezygnował z dogadania się z prezydentem. Według mnie on nie chce żadnego porozumienia. Tusk chce wojny z Dudą. Dąży do kompletnego zmarginalizowania prezydenta. Sprawa TVP jest tylko wstępem do bardziej generalnej próby sił.

Ma pan na myśli Krajową Radę Sądownictwa i Trybunał Konstytucyjny?

Dokładnie tak. Dodać do tego należy jeszcze prokuraturę, dlatego że mamy w niej odziedziczoną po PiS dwuwładzę.

eprasa.pl 2267720789

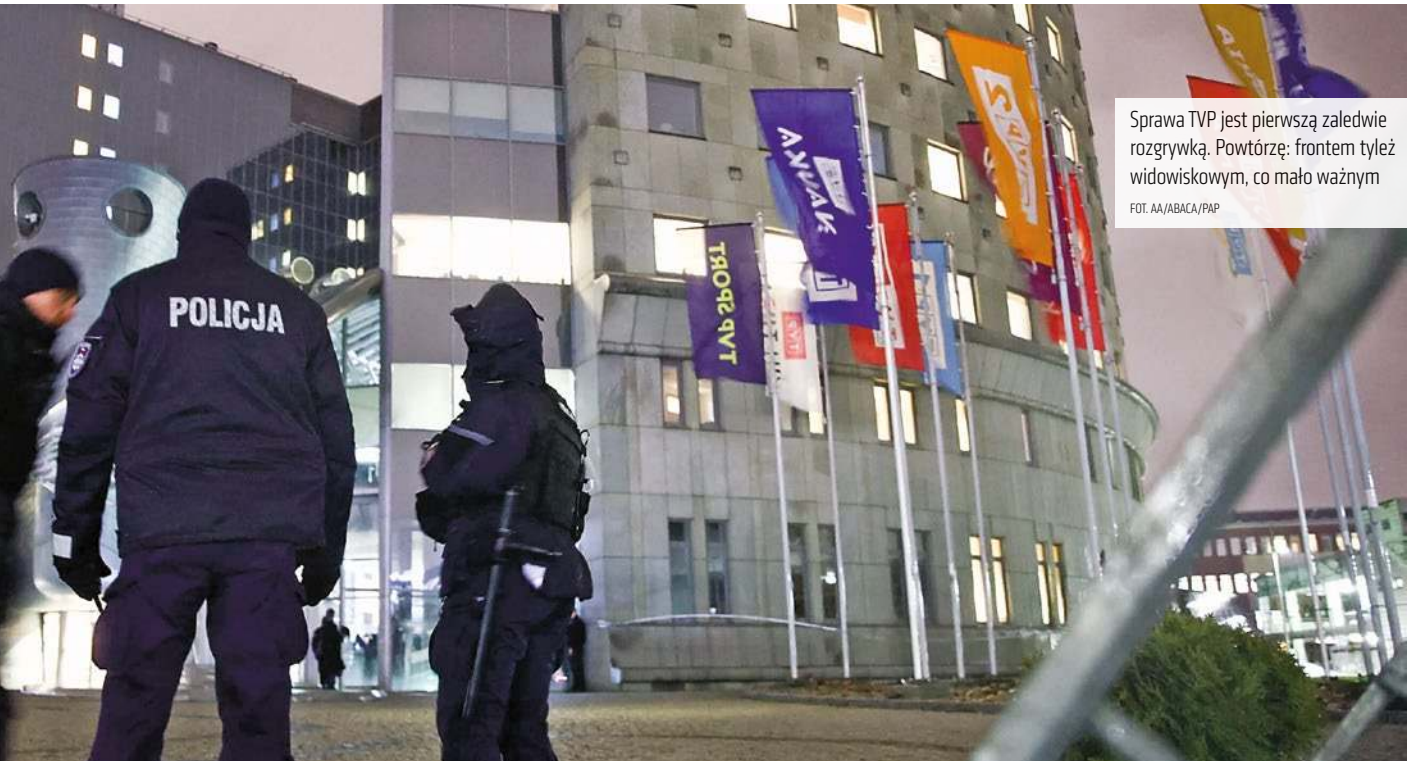

Sprawa TVP jest pierwszą zaledwie rozgrywką. Powtórzę: frontem tyleż widowiskowym, co mało ważnym

FOT. AA/ABACA/PAP

Mamy przecież ministra Bodnara jako prokuratora generalnego i prokuratora Barskiego, stojącego na czele Prokuratury Krajowej. Widzimy już pierwsze przejawy tego konfliktu, bo część prokuratorów kwestionuje niektóre decyzje Bodnara jako prokuratora generalnego. To będzie kolejne pole konfrontacji, skądinąd zdecydowanie ważniejsze z punktu widzenia funkcjonowania państwa niż TVP. Co do TVP, to myślę, że to już ostatni tak wielki konflikt w jej sprawie, mamy bowiem do czynienia z początkiem końca wielkich mediów. Epoka wielkich stacji telewizyjnych kończy się na naszych oczach. Za kilka lat nie będzie już o co walczyć. Oczywiście wolałbym, żeby rząd Tuska dogadał się w tej sprawie z prezydentem i żeby przywrócono jakąś pluralistyczną władzę w telewizji. Ale przy obecnym poziomie polaryzacji jest to absolutnie niemożliwe, więc zamiast TVP pisowskiej będzie telewizja platformerska i koniec.

Marginalizowany przez Tuska prezydent odwinął mu się, wetując ustawę okołobudżetową. Ale ma też w zanadrzu tzw. opcję atomową, czyli może nie podpisać ustawy budżetowej i skierować ją do Trybunału Konstytucyjnego. Czy prezydent Duda jest na tyle twardym graczem, że byłby gotowy na taki ruch?

Andrzej Duda potrafił kilka razy postawić się prezesowi Kaczyńskiemu, choćby wetując ustawy sądowe ministra Ziobry w 2017 r., później w sprawie „lex TVN" czy też właśnie w sprawie mediów publicznych, gdy domagał się dymisji Jacka Kurskiego. Przy tej okazji został zresztą bardzo brzydko potraktowany przez prezesa Kaczyńskiego, a mówiąc wprost – oszukany. Zarazem jednak Duda zdawał sobie sprawę, że PiS jest na niego skazany. Dlatego rozgrywka z Tuskiem będzie bez porównania brutalniejsza. Prezydent ma bowiem przeciwko sobie obóz polityczny, który chce uczynić z niego kozła ofiarnego. Duda musi zdecydować się, jaki finał swojej prezydentury chce wybrać: konfrontacyjny czy jednak koncyliacyjny. Miałem wrażenie, że pierwsze sygnały, które prezydent wysyłał w sprawie ustawy okołobudżetowej, zanim ją zawetował, wskazywały, że próbuje się jakoś z Tuskiem porozumieć. Szczególnie wypowiedź na posiedzeniu Rady Bezpieczeństwa Narodowego była bardzo koncyliacyjna. Z drugiej strony nie doczekał się żadnego odzewu, który potwierdzałby gotowość do rozmów.

W mojej ocenie Tusk uciął wszelkie tego rodzaju próby i nakazał Sienkiewiczowi operację siłową w stylu, który pamiętamy z czasów akcji Macierewicza i jego niezapomnianego pupila Misiewicza w MON. Zobaczymy, co będzie dalej. Sprawa TVP jest pierwszą zaledwie rozgrywką. Powtórzę: frontem tyleż widowiskowym, co mało ważnym. Prawdziwa rozgrywka zacznie się wokół budżetu państwa i kolejnych batalii w Sejmie związanych zwłaszcza z wymiarem sprawiedliwości. Rząd Tuska będzie musiał zacząć działać w oparciu o ustawy. Zapowiadana ustawa o związkach partnerskich, zmiany w sądownictwie czy nawet obiecana likwidacja CBA – to wszystko musi być przeprowadzone w trybie ustawowym. Jednym słowem: w ciągu najbliższego półtora roku, moim zdaniem, niczego naprawdę znaczącego nie da się w Polsce zrobić bez prezydenta. Taki mamy ustrój. Dlatego najbardziej fundamentalna jest odpowiedź na pytanie: Czy dojdzie do jakiegoś porozumienia z prezydentem czy będziemy mieli permanentną wojnę? Obstawiam niestety raczej drugie, ponieważ dzięki temu Tusk będzie mógł powtarzać: „Nieba bym wam przychylił, tylko ten straszny Duda mi nie pozwala".

Jeśli sprawy pójdą w tym kierunku, to Duda znajdzie się pod pręgierzem wszystkich mediów wspierających „kordonową koalicję". Czy PiS będzie bronił prezydenta? Prawdopodobnie tak, bo nie będzie

eprasa.pl 2267720789

miał innego wyjścia. Sądząc jednak po tym, w jaki sposób prezes Kaczyński wypowiadał się ostatnio, przy okazji sporu o TVP na temat prezydenta Dudy, widać wyraźnie, że nie potrafi nawet ukryć niechęci do niego. Jest to zdumiewające, bo moim zdaniem prezydent Duda jest w obecnej sytuacji ostatnią deską ratunku dla Prawa i Sprawiedliwości. Ale to przyczynek do szerszej refleksji na temat strategii realizowanej przez prezesa PiS w ostatnich dwóch latach, gdy sondaże PiS spadły poniżej 40 proc., przekreślając szanse na dalsze samodzielne rządy. Przyznam, że kompletnie jej nie rozumiem.

Czy wariant permanentnej wojny z rządem Tuska, o którym pan wspomniał, może wykreować prezydenta Dudę na nowego przywódcę PiS?

Teoretycznie tak mogłoby być. Problem polega na tym, że w samym PiS prezydenta Dudy nigdy nie szanowano. On mógłby hipotetycznie ten szacunek zdobyć przez najbliższe półtora roku poprzez jakieś celne posunięcia utrudniające grę Tuskowi, tylko że on sam nie bardzo tego chce. Moim zdaniem Duda chciałby jakoś się z Tuskiem porozumieć i na swoich warunkach dokończyć tę prezydenturę. On nie chce iść na wojnę totalną z premierem. Zresztą to nigdy nie był typ polityka wojownika. Duda był zawsze politykiem negocjatorem, poszukującym kompromisu. Co zresztą wielu Polakom się podobało, dlatego dwukrotnie wybrali go na prezydenta. To, co podobało się tak wielu Polakom, drażniło z kolei prezesa Kaczyńskiego, który uważa, że prezydent powinien być teraz znacznie bardziej dynamiczny, twardy. Z tego, uważam, wzięła się przynajmniej część napięć pomiędzy nimi w przeszłości. Hipotetycznie zatem Andrzej Duda mógłby powalczyć o przywództwo w PiS, wydaje mi się, że taki jest cel ministra Mastalerka. W mojej ocenie to właśnie on próbuje przeorientować prezydenta na walkę o polityczny spadek po prezesie Kaczyńskim. Będzie to jednak niezwykle trudne z powodu cech osobowościowych prezydenta, który nigdy nie miał zadatków na partyjnego lidera. To bardzo rzadka umiejętność.

Jeden z korespondentów niemieckich mediów w Polsce, Klaus Bachmann, „podpowiadał" niedawno nowym polskim władzom, że PiS powinien zostać już na trwałe objęty „kordonem sanitarnym", tak jak prawicowa partia AfD w Niemczech, żeby już nigdy więcej „nie targnął się na demokrację". Ten scenariusz właśnie się realizuje?

Ten plan został już przeprowadzony, dlatego nazywam koalicję, która powstała po wyborach 15 października, koalicją kordonową. To nie Bachmann wymyślił to pojęcie, tylko ja. Mówiłem o tym od dawna. Można powiedzieć, że największym sojusznikiem Donalda Tuska w tworzeniu tej kordonowej koalicji był… Jarosław Kaczyński. Przez ostatnie dwa lata, kiedy sondaże PiS spadły poniżej 40 proc. i stało się jasne to, co ostatecznie się zrealizowało 15 października tego roku, że PiS będzie miał największy klub w Sejmie, ale nie będzie miał większości, prezes Kaczyński nie wykonał ani jednego ruchu, podkreślam, ani jednego, który miałby na celu oswojenie jakiegoś innego podmiotu politycznego w Polsce, poza Zjednoczoną Prawicą, z myślą, że mógłby zostać koalicjantem PiS. Inaczej mówiąc, przez ostatnie dwa lata rządów PiS nie było ani jednego gestu pod adresem Konfederacji, PSL, Lewicy czy Ruchu Hołowni. Wszyscy oni byli klasyfikowani na równi z KO jako mniej czy bardziej ugrupowania antypolskie, będące sługusami obcych mocarstw. W takiej sytuacji Tuskowi nie było aż tak trudno zbudować kordonowej koalicji, choć nie zrealizowało się to w formie jednej listy wyborczej. Prawdopodobnie prezes Kaczyński założył, że jeśli opozycja pójdzie do wyborów nie na jednej liście, ale na trzech, to wystarczy to do utrzymania władzy. Nie wystarczyło. Finał jest taki, jaki widzimy po składzie Sejmu. A zdolności koalicyjne PiS zostały brutalnie przetestowane podczas żenującej swym brakiem wiarygodności dwutygodniowej „misji" premiera Morawieckiego. Kordonowa koalicja jest więc realnym projektem. Pytanie brzmi inaczej: Jak długo ona przetrwa? Uważam, że największym zagrożeniem dla jej spójności wcale nie jest to, że prezes Kaczyński lub jego ludzie zdołają się przebić do Władysława Kosiniaka-Kamysza i nagle dojdzie do zmiany sojuszy, a PiS odzyska większość w Sejmie. To scenariusz nie do przeprowadzenia w dającej się przewidzieć przyszłości. Kordonowa koalicja może się natomiast rozlecieć o spór między Trzaskowskim a Hołownią, kto z nich będzie prezydentem. Obaj mają na to chęć i szanse, a prezydent może być tylko jeden, któryś z nich będzie musiał więc odpaść. Pytanie: W jakiej atmosferze to się dokona? Szanse na ich porozumienie nie są wielkie, dlatego konflikt między Trzaskowskim a Hołownią o prezydenturę będzie w nowym roku największym zagrożeniem dla kordonowej koalicji. Ale i prezes Kaczyński ma z tym wielki problem, ma bowiem mniej niż rok na znalezienie i rozpoczęcie lansowania „Dudy 2.0", czyli takiego kandydata na prezydenta, który miałby szansę wygrać wybory w 2025 r. Przy czym ten kandydat będzie miał bardziej pod górkę niż Andrzej Duda w 2014 r.

> **Prezydent Duda jest w obecnej sytuacji ostatnią deską ratunku dla Prawa i Sprawiedliwości**

To musiałby być ktoś o zupełnie innych cechach niż Andrzej Duda. Ktoś, kto trafiłby ze swoim przekazem do młodej generacji Polaków, skutecznie operował w całkowicie zmienionym pejzażu społecznym…

To też. Ale przede wszystkim to musiałby być ktoś, kto zupełnie zmieniłby retorykę PiS z 2015 r. W 2025 r. będzie ona już całkowicie przeterminowana. Nie da się już wygrać wyborów, jak pokazał rok 2023, tylko hasłami socjalnymi, a z drugiej strony taką bardzo agresywną retoryką pokazującą wszystkich konkurentów jako obcych agentów. Tymczasem do tego właściwie w ostatnim czasie sprowadzała się retoryka PiS. Jej powtórzenie w kampanii prezydenckiej w 2025 r. nie wróży szans na sukces. Trzeba też pamiętać, że przed tą bitwą już w pierwszej połowie tego roku PiS czekają dwie inne batalie, czyli wybory samorządowe i europejskie. To one rozstrzygną, w jakiej kondycji PiS przystąpi jesienią do lansowania „Dudy 2.0".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

prof. Antoni Dudek
– politolog i historyk z Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego.

eprasa.pl 2267720789

Wojna o czapkowanie

Rafał A. Ziemkiewicz

Polski spór o czapkowanie rozstrzygali zawsze zaborcy bądź okupanci, jednako zrywając czapki jednym i drugim

Polacy tęsknią, żeby być jednym narodem, z tej tęsknoty budują sobie rozmaite historyczne mity, dzięki którym wierzą, że kiedyś, przynajmniej w wielkich chwilach, takim zjednoczonym narodem byli, ale prawda jest taka, że od stuleci nie jesteśmy w stanie przekroczyć podziału na „panów" i „chamów". W każdej sytuacji historycznej, po chwilowych uniesieniach, podział ten wraca, przy czym jego istotą jest to, że każda ze stron każdego sporu siebie samą wpisuje we wzorzec szlacheckości, a swych polskojęzycznych wrogów uznaje za podrzędne, „chamskie" plemię. W krajach zachodnich, których rozwój społeczny szedł inną drogą, wojny i spory toczone były i są o rzeczy konkretne: pieniądze, władzę, przywileje stanowe i układy zbiorowe. W Polsce wszystko to sprawy drugorzędne: rzecz najważniejsza to dystrybucja szacunku – udowodnienie, że my jesteśmy panami, a wy chamstwem, i to wy macie zdejmować z szacunkiem czapki przed nami, a nie my przed wami. Przy czym obie strony chlubią się tym, że nawet zwyciężone nigdy nie ulegną i czapkować chamom, choćby i zwycięskim, ani myślą.

Proszę się rozejrzeć wokoło: czymże jest niemal już 20-letnia wojna między umowną PO a umownym PiS, jak nie wojną o moralną dominację? Czymże, jak nie wojną o szacunek, była wcześniej rywalizacja „postsolidarności" z „postkomuną"? Niech państwo wskażą, proszę, jakikolwiek konkret, merytoryczny, programowy postulat, dzielący protagonistów politycznego sporu, a ja bez trudu udowodnię, że w różnych okresach jedni byli „za", drudzy „przeciw", a potem odwrotnie – a nierzadko po jakimś czasie znowu odwrotnie. Nieważne, co, ważne, „komu to służy", nam czy onym.

NAŚLADUJĄCY „PAŃSKOŚĆ" CHAM

Przyczynę tej polskiej odmienności nietrudno wskazać: nasza historia. Unikalna struktura społeczna dawnej Rzeczypospolitej, państwa mającego zamiast wielkich miast sieć dworków, zamiast mieszczaństwa – obcych kulturowo pośredników pomiędzy panem a chłopem; społeczeństwa, które w dobie nowoczesnej nie wytworzyło, jak Zachód, w miejsce szlachty klasy średniej, ale tzw. inteligencję, czyli też rodzaj szlachty.

> **Czymże jest niemal 20-letnia wojna między umowną PO i umownym PiS, jak nie wojną o moralną dominację?**

W przeciwieństwie do społeczeństw zachodnich, gdzie droga do liberalnej demokracji wiodła przez kolejne bunty chłopskie i rewolucje, nasze dzieje były od takich zdarzeń wolne – polski plebejusz nigdy nie wpadł na pomysł, by nauczyć warstwy wyższe „moresu" gilotyną. W związku z tym nie nabrał nigdy szacunku do samego siebie i nie wyzwolił się z wpajanego mu przez wieki poczucia niższości. Klasową nienawiść, płynącą z doznawanych krzywd, kierował nie przeciwko „panu", a przeciwko pośrednikom, sam „pan" mu natomiast imponował i był dlań niedoścignionym wzorcem. W dodatku w wieku XIX zaborcy zepchnęli 90 proc. przedrozbiorowej szlachty w dół społecznej drabiny, gdzie siłą rzeczy zaczęła nadawać ton; traciła majątki, ale nie traciła „kapitału społecznego", więc siła imponowania „pana" po jego zbiednieniu bynajmniej nie malała – tym bardziej że w swym nowym inteligenckim wcieleniu „pańskość" stała się inkluzywna, wedle wzorca uszlachcenia przez Naczelnika Kościuszkę za odwagę i patriotyzm kosyniera Głowackiego.

Mówiąc krótko: XX-wieczne społeczeństwo polskie było produktem nie, jak na Zachodzie, „walki klas", ale klasowej kooptacji. Istotę sprawy dobrze opisał Melchior Wańkowicz w eseju „Kundlizm", o którym prawie każdy wykształcony Polak kiedyś słyszał, ale nikt go chyba nie czytał. Wbrew potocznej interpretacji, w której tytuł ten funkcjonuje w debacie publicznej, nie chodzi tu o to, że, jakoby Polacy żrą się między sobą jak kundle, bo „szewc zazdrości księdzu awansu na prałata". Tytułowy „kundlizm" odnosił się do współczesnego Wańkowiczowi Polaka jako mieszańca, czyli właśnie kundla chamsko-pańskiego. Przy czym naśladujący „pańskość" cham wziął z niej to, co umiał, czyli cechy najgorsze: wyniosłość, bezmyślną rozrzutność, protekcjonalne podejście do ludzi „niższego stanu", ale np. nie tradycyjne rycerskie kodeksy honorowe.

Wielką wartością eseiku Wańkowicza jest opisanie zajadłej, momentami krwawej, plemiennej wojny Polski

eprasa.pl 2267720789

międzywojennej, wojny pomiędzy piłsudczykami a niepiłsudczykami, właśnie w kategoriach tworzenia „nowej szlachty". Najsumienniejszy historyk nie znajdzie merytorycznej, konkretnej rozbieżności programowej czy ideowej, która by rozdzielała plemię sanacyjne od antysanacyjnego – podobnie, jak przyszli historycy nie będą w stanie tego pokazać w wojnie „pisowców" z „je.aćpisami". Wzajemna nienawiść wyrosła z uroszczenia piłsudczyków, że jako ci, którzy – wedle własnej propagandy – wywalczyli wolną Polskę, bo zrobili to tylko oni, nikt inny, mają wyłączne prawo do rządzenia nią i władzy raz zdobytej w maju 1926 r. nie oddadzą, wręcz nie mogą oddać ani się nią dzielić, bo byłaby to zbrodnia przeciwko Polsce i pamięci Marszałka.

Wyparliśmy to z naszej pamięci historycznej, ale przekonanie sanacji do swego wyłącznego prawa do Polski nie zmieniło się nawet po katastrofie 1939 r., choć całkowicie skompromitowani w oczach społeczeństwa miażdżącą klęską, zwłaszcza w kontekście przedwrześniowej tromtadracji, trzymali się stanowisk kurczowo, zupełnie serio oczekując, że zwycięscy alianci reinstalują w Warszawie właśnie ich. Ten upór, z którym odmawiali stworzenia rządu pojednania narodowego, sprawił, że narzucenie Polsce przez zachodnich aliantów marionetkowego Sikorskiego zostało, mimo oczywistego gwałtu na polskiej suwerenności, zaakceptowane właściwie przez wszystkich – poza konspirującymi przeciwko niemu piłsudczykami.

Historia nieprzepracowana powtarza się, więc podobnie stało się po roku 1989. Zjawisko „michnikowszczyzny" nie było niczym innym niż próbą odbudowania dla odzyskanego państwa „szlachty", jedynie uprawnionej do sprawowania władzy – i to w specyficzny sposób, bo poprzez autorytet. W wydanym w 1991 r. wywiadzie rzece Jarosław Kaczyński streszczał ten pomysł na Polskę: „My tu jako autorytety coś mówimy i lokalne autorytety w terenie powtarzają to, i wszyscy słuchają". Logicznym skutkiem tej wiary w moc autorytetów było skupienie szczególnej uwagi rodzącego się wtedy obozu lewicowo-liberalnego na narzędziach „dystrybucji szacunku". Wojną na górze, lawiną kpin z „chama" Wałęsy i jego „bendem" (młodzi mogą nie pamiętać, że do 1992 r. to Wałęsa był tym totemem nienawiści, którym dziś jest Kaczyński) otwarta została wieloletnia wojna o zepchnięcie „chamów" na ich miejsce, trwająca do dziś.

PRZEGAPIONY GOMBROWICZOWSKI INSTYNKT

Michnik i Geremek, który był prawdziwym mózgiem tego środowiska, chcieli zapewne dobrze i wierzyli, że gromadzą wokół siebie rzeczywiście najlepszych, którzy wyedukują masy, zmodernizują ich mental i poprowadzą Polskę ku współtworzeniu wielkiej europejskiej rodziny narodów. Nie doczytali, niestety, „Ferdydurke", w której Gombrowicz, z właściwą sobie trafnością, wskazywał, że „chamstwo jest racją istnienia państwa", że nie można być jaśnie panem inaczej, jak poprzez poniżanie „chama swego" i puszenie się w jego oczach. Ten przegapiony, gombrowiczowski instynkt okazywania „chamstwu" wyższości skutecznie cały projekt „ludzi oświeconych i na pewnym poziomie" wykoleił.

Nowa, pomagdalenkowa elita okazała się elitą, generalnie, półinteligencką i wskutek stosowania na szeroką skalę narzędzi nazywanych dzisiaj „cancel culture" głupiejącą szybko w intelektualnym bezruchu „towarzystwa wzajemnej adoracji", wykazała natomiast niezwykłą skuteczność w wyznaczaniu, kto jest „chamem" i „faszystą", komu nie wolno podawać ręki, kogo się nie czyta i kim demonstracyjnie gardzić. Generalnie wykluczeniem objęła „michnikowszczyzna" dwie grupy. Pierwszą była ta część elit społecznych, które weszły z nią w konflikt z racji zakorzenienia w tradycji patriotycznej, przez obóz lewicowo-liberalny sprowadzanej do roli dekoracji lub wprost negowanej – a więc polityków, pisarzy czy dziennikarzy, którzy stanęli pierwotnie po stronie Wałęsy, a potem Olszewskiego, lustracji i w końcu PiS. Drugim, szerokim obszarem wykluczenia byli natomiast „starzy, gorzej wykształceni i z mniejszych miast", którzy „nie poradzili sobie na wolnym rynku" i stali się „roszczeniowi", to znaczy chcieliby żyć równie dobrze jak ci „szlachta" III RP, która sobie na lepsze

życie zasłużyła i zapracowała.

Pierwotnym budulcem użytym przez „michnikowszczyznę" do budowy nowych elit była odziedziczona po PRL „inteligencja pracująca", czyli efekt PRL-owskiego awansu społecznego, na którą narzucono cienką pozłotkę autorytetów „opozycji demokratycznej"; szybko jednak zdominował ją nowy awans społeczny, będący zasługą reform Balcerowicza, z dopalaczem pieniędzy „z Europy". Fakt, że mówimy o elitach z awansu (prawdziwa szlachta, w sensie pochodzenia, dawno przecież już w kolejnych masakrach wyginęła), jest niezmiernie istotny, bo ludzie z awansu są z natury znacznie bardziej skłonni do pogardy wobec sfer społecznych, z których wyszli, niż ci, których wyższa pozycja wynikła z urodzenia. W pierwotnym etosie inteligenckim istotny był element paternalistycznej opieki nad „ludem", „podnoszenia go" i edukowania – inteligent z awansu do niczego takiego się nie poczuwa": ja się dorobiłem i awansowałem, oni też mogli, widać są gorsi.

Narracja plemienia lewicowo-liberalnego doskonale wpisała się w potrzeby duchowe i wyobrażenie o życiowym sukcesie uszlachcanego „chama", ujęte przez Wyspiańskiego w genialnym skrócie: „zło-

eprasa.pl 2267720789

RYS. 12 KREDEK

ta wór wysypie ludziskom przed ślipie, postawie se pański dwór". Aby wysypywane „przed ślipie" złoto należycie zalśniło, „cham" musi być, oczywiście, biedny. Stąd nic nie napędza nienawiści „je.aćpisów" tak jak narracja, że przez „rozdawanie pieniędzy hołocie" PiS sprawił, iż żyje się jej równie dobrze jak tym, którzy, we własnym przekonaniu, ciężko zapracowali na to, żeby im się żyło lepiej.

W cytowanej wypowiedzi z 1991 r. Kaczyński okazał się dobrym obserwatorem, ale złym prorokiem: o systemie opartym na „autorytetach", które mówią ludziom, co mają myśleć, czym się zachwycać, co uważać za obciach i na kogo głosować, mówił jako o czymś, co nigdy nie będzie funkcjonować. Tymczasem funkcjonowało to przez całe lata 90. doskonale, choć autorytety inteligenckie zastąpiły szybko w roli wzorcotwórczej autorytety z TVN i „Vivy!" na czele z pierwszą parą „Olek i Jolka". Do dziś najsilniejszą bazą społeczną tego obozu pozostają ci, którzy zachłysnęli się „Gazetą Wyborczą" w latach 90.

Jednak rachunek miał i drugą stronę: odmówienie prawa głosu połowie społeczeństwa i sporej części elit musiało popchnąć jednych ku drugim, i tak z czasem okrzepła druga, konkurencyjna szlachta. Z racji przyczyny, dla której III RP wykluczyła część inteligencji, jej identyfikacją, tytułem do szlachectwa stał się odgrzany piłsudczykowski instynkt „tylko my jesteśmy prawdziwymi patriotami" oraz inteligenckie dziedzictwo w jego pierwotnym, przedwojennym etosie (przypomnijmy sobie charakterystyczne wypowiedzi Kaczyńskiego o „łże-elicie", „lumpach", „knajakach" i „wychowanych na podwórku" czy jego autentyczny kult dla tytułów profesorskich). Z racji natomiast wykluczenia mas „starszych gorzej wykształconych" instynkt ten połączony został z redystrybucją, dowartościowywaniem, głównie finansowym, grup uboższych.

Tak, po skurczach porodowych, którą była koalicja z efemerydami, Samoobroną i LPR, narodził się z dawnego stronnictwa Wałęsy w „wojnie na górze" bunt „chamstwa", który w roku 2015 odniósł miażdżące zwycięstwo i zapowiedział „szlachcie" z Magdalenki, że wywiezie ją z historii na taczkach. Wywieźć nie wywiózł, nowej elity nie stworzył, ale wystarczająco tę poprzednią nastraszył, żeby użyła wszystkich sił do stłumienia chłopskiego buntu. Gdyż, jak wielokrotnie wskazywałem, dla PO i jej akolitów wyborcze przegrane nie mieściły się w logice demokracji, w której raz się wygrywa, raz przegrywa, a jak się przegrywa, to się gratuluje zwycięzcy i przechodzi do opozycji, i, podczas gdy wygrany „zużywa się u władzy", analizuje się przyczyny porażki, zmienia, wyłania nowe twarze i nowe programy, z którymi się następnym razem wygra i „da capo". Tymczasem dla „szlachty z Magdalenki" kolejne przegrane wybory były oburzającym naruszeniem ładu naturalnego. Na bunt chłopski nie reaguje się analizowaniem, czemuż to doszło do rozruchów i jak by tu aspiracje buntowników zaspokoić czy pogodzić z interesem ogółu: bunt chłopski się, w imię przywracania światu przyrodzonego porządku, tłumi. „Szlachta po całych dniach z batów strzelali, mówiąc, ot, czym chamów uspokoimy…" – ta sienkiewiczowska fraza doskonale opisuje osiem lat spędzonych przez plemię PO w opozycji, osiem lat nieustającej wiary, że już za chwilę „pisowcy będą z okien skakać", że „oni wiedzą, że to już ich koniec" etc.

GŁOSY „POZAPLEMIENNE"

W istocie, pozostając przy metaforze tłumienia buntu „czerni" w „Ogniem i mieczem", starej elicie udało się przemóc nową nie dzięki sile własnej, tylko dzięki pozyskaniu sojusznika – zupełnie tak, jak Jan Kazimierz wygrał pod Beresteczkiem, bo przekupił Tatarów, tak „elity" Tuska wróciły do znaczenia dzięki 2 mln głosów „pozaplemiennych", pozyskanych przez podstawienie jako rzekomej alternatywy partii Trzecia Droga. Nie zmienia to tego, że, jak pokazały pierwsze tygodnie restauracji rządów PO, jej plemię uroiło sobie, iż wygrane wybory dają mu społeczny placet na literalne przywrócenie porządków sprzed roku 2015. Brutalność, z którą zabrali się zwycięzcy do ich przywracania, skonsolidowała z kolei przegranych i sytuacja powtarza się jak w lustrze: teraz to PiS przechodzi do opozycji „totalnej" i krzepi się wiarą, że już wkrótce kolejna rewolucja zmiecie „niemieckiego agenta" i jego „anty-Polaków".

Proszę mnie nie pytać, kto w końcu wygra. Jak dotąd polski spór o czapkowanie rozstrzygali zawsze zaborcy bądź okupanci, jednako zrywając czapki (i gacie też) jednym i drugim. Obecna sytuacja międzynarodowa, wojna Wschodu z Zachodem i centralizowanie Europy przez Berlin nie pozwalają wykluczyć, że stanie się tak raz jeszcze. Ale jest nadzieja, że w końcu rujnowane tą wojną „polactwo" zacznie mieć dość wodzenia się za łby dwóch „wannabe-szlacht" i zacznie szukać przywódców, którzy zamiast zawłaszczenia dla „nas" poczucia godności obiecają raczej powodzenie materialne. Hołubiąc to marzenie, nazwałem je swego czasu „porozumieniem pod podziałami". Ale dopóki dominującą wśród Polaków emocją pozostaje potrzeba ustalenia, że to jesteśmy tu „panami", a nie wy, „chamy" – nie ma znaczenia, czy partie bądź ich liderzy nazywają się tak czy owak – dopóty zawsze będziemy tkwić w tych samych koleinach.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2267720789

Minister pułkownik

Zuzanna Dąbrowska

Prawnuk Henryka Sienkiewicza, człowiek „biesiadny", jeden z głównych wykonawców woli politycznej Donalda Tuska. Bartłomiej Sienkiewicz, który przez ostatnie lata był na politycznym bocznym torze, dziś jest jedną z najważniejszych postaci nowego rządu

Przeszłość polityczna Bartłomieja Sienkiewicza sprawiła, że dla wielu, nawet doświadczonych komentatorów niemałym zaskoczeniem było wskazanie go na ministra kultury i dziedzictwa narodowego FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

Wie pan co, „Bieługa" to jest dobra wódka. Dobra restauracja ma swoje prawa. Ja jestem trochę człowiekiem biesiadnym, w związku z tym też rozumiem pewne konsekwencje, które ponoszę z tego tytułu […]. Powiem panu jeszcze więcej – jestem od samego początku tej całej historii spokojny o jej finał, podobnie jak w paru innych kwestiach, którymi się zajmuje Ministerstwo Spraw Wewnętrznych czy służby podległe ministerstwu – tak we wrześniu 2014 r. mówił Bartłomiej Sienkiewicz, wtedy szef MSW, w rozmowie z Robertem Mazurkiem.

Był to schyłkowy okres rządów koalicji PO-PSL, po wybuchu afery taśmowej, która była jednym z gwoździ do trumny ówczesnej władzy. Sienkiewicz twierdził, że był podsłuchiwany, ponieważ przez „półtora roku naprawdę nadepnął na wiele interesów w Polsce". – Wykonując swoją funkcję ministra spraw wewnętrznych, zdaję sobie sprawę z tego, że moja lista wrogów gwałtownie urosła, i powiem panu jeszcze więcej – jestem z tego dumny – przekonywał. – Jestem od samego początku tej całej historii spokojny o jej finał – zapewniał minister.

Jednak mimo tych zapewnień ujawnienie taśm pokazujących społeczeństwu zepsucie politycznych elit było dla Bartłomieja Sienkiewicza ogromnym ciosem wizerunkowym. Chodziło szczególnie o wątek dotyczący budki wartowniczej przed rosyjską ambasadą. Sienkiewicz miał zlecić jej podpalenie w czasie Marszu Niepodległości w 2013 r. w ramach prowokacji. Sugerował to Paweł Wojtunik, wówczas szef CBA, w rozmowie z ówczesną wicepremier Elżbietą Bieńkowską. Śledztwo w sprawie umorzono.

Politykowi nie pomogło także ujawnienie jego rozmowy z Markiem Belką

eprasa.pl 2267720789

(wtedy prezesem NBP), w której to Sienkiewicz stwierdził, że „państwo polskie istnieje tylko teoretycznie, praktycznie nie istnieje". Niepochlebnie wypowiadał się na temat flagowych projektów Donalda Tuska – orlików i autostrad – a Polskie Inwestycje Rozwojowe (obecnie Polski Fundusz Rozwoju) określił jako „ch.j, d..a i kamieni kupa", które to określenie na stałe weszło do potocznej polszczyzny. Bartłomiej Sienkiewicz miał przejąć fotel premiera, gdy potwierdzono, że Donald Tusk obejmie stanowisko przewodniczącego Rady Europejskiej. Jednak taśmy zmieniły wszystko. Ostatecznie schedę po Tusku przejęła Ewa Kopacz. Szef MSW i koordynator służb specjalnych w atmosferze skandalu musiał wycofać się z polityki. Na pewien czas wrócił do działalności biznesowej, którą rozpoczął wiele lat wstecz.

MILIONY W BIZNESIE

Zanim jednak Sienkiewicz wszedł do biznesu i dużej polityki, angażował się w działalność opozycji antykomunistycznej. Od 1981 r. związany był z Niezależną Oficyną Studentów w Krakowie – zajmował się drukiem i dystrybucją wydawnictw drugiego obiegu. Działał także w Niezależnym Zrzeszeniu Studentów, gdzie był członkiem redakcji „Biuletynu Niezależnego Zrzeszenia Studentów". W latach 1987–1988 Bartłomiej Sienkiewicz kilka razy był karany grzywną przez kolegia do spraw wykroczeń za udział w zajściach ulicznych, „zakłócenie porządku publicznego" i kolportaż ulotek. W wieku 29 lat, jako absolwent historii na Uniwersytecie Jagiellońskim, rozpoczął pracę w Urzędzie Ochrony Państwa, który powstał 10 maja 1990 r. w miejsce Służby Bezpieczeństwa. Pochodzący z Kielc Sienkiewicz pełnił tam funkcję głównego doradcy zarządu wywiadu, był też w składzie kierownictwa komórek analitycznych urzędu. Służbę zakończył w 2002 r. w stopniu podpułkownika. Bartłomiej Sienkiewicz był współtwórcą działającego do dziś Ośrodka Studiów Wschodnich, stąd uznawano go za eksperta do spraw wschodnich.

Odejście z UOP rozpoczęło nowy, niezwykle dochodowy etap w jego karierze. Jak opisał na łamach „Gazety Polskiej" Piotr Nisztor, w lutym 2002 r. obecny minister kultury zarejestrował działalność gospodarczą pod nazwą Analiza Systemowa Bartłomiej Sienkiewicz Othago. Szybko najważniejszym klientem firmy stał się państwowy koncern PKN Orlen, którym wtedy kierował Zbigniew Wróbel (bliski człowiek Aleksandra Kwaśniewskiego). Orlen zawarł umowę z firmą Sienkiewicza pod koniec 2003 r. Obejmowała ona przygotowanie analiz i przeglądów prasy dotyczących sektora paliwowego. Współpraca z gigantem była kontynuowana w czasie dwuletnich rządów PiS, a także w czasie trwania koalicji PO-PSL. W sumie, jak wylicza Nisztor, firma ASBS Othago współpracowała z Orlenem przez dekadę. W tym czasie faktury wystawione przez Othago opiewały na kwotę brutto 7 mln 600 tys. zł (5 mln 680 tys. netto). Najwięcej Sienkiewicz zarobił w okresie, gdy Orlenem kierował Jacek Krawiec – 4 mln zł netto. Tak wielkie pieniądze firma zarabiała m.in. za przygotowanie czterech w miesiącu biuletynów pt. „Informacje medialne z regionu".

W okresie rządów PO-PSL usługi dla podmiotów kontrolowanych przez państwo świadczyła także inna założona przez Sienkiewicza (wraz z byłymi analitykami OSW) firma, czyli Sienkiewicz i Wspólnicy. Pod tą nazwą zarejestrowano dwa podmioty – spółkę z o.o. oraz spółkę komandytową. Przez kilka miesięcy na przełomie lat 2011 i 2012. Bartłomiej Sienkiewicz zasiadał w Radzie Nadzorczej spółki Niemczyk i Wspólnicy. W gremium tym znajdował się też były poseł ZChN Marek Siwiec. „Gdy potem Sienkiewicz stał na czele MSW, Siwiec został prezesem nadzorowanej przez ten resort Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych. Z kolei to kierowane przez niego państwowe przedsiębiorstwo zleciło wówczas kontrakt spółce Niemczyk i Wspólnicy" – opisała „Gazeta Polska". Krótko przed nominacją polityka na szefa MSW ASBS Othago wykreślono z rejestru działalności gospodarczej. Sienkiewicz wycofał się z obydwu podmiotów w ramach Sienkiewicz i Wspólnicy, które zmieniły nazwę na Salvor. Będąc już ministrem w rządzie Donalda Tuska, otrzymał 408 tys. zł w ramach zysku wypracowanego przez jeden z podmiotów w roku 2012.

ZAUFANY TUSKA

Po kompromitacji związanej z taśmami z Sowy urodzony w 1961 r. Sienkiewicz czasowo odsunął się w cień. Od lutego do czerwca 2015 r. był dyrektorem Instytutu Obywatelskiego, think tanku Platformy Obywatelskiej. W lipcu wznowił działalność gospodarczą Othago. Co istotne, przez cały ten czas kontrakt z Orlenem realizowała jego dawna spółka Salvor – w takim samym zakresie, co w latach 2003–2013 ASBS Othago. Kres współpracy, dopiero w lutym 2018 r., położył prezes koncernu z nominacji PiS Daniel Obajtek.

W 2019 r. Bartłomiej Sienkiewicz wrócił do polityki, uzyskując mandat poselski z Kielc. W 2020 r. zamknął firmę. Ważnym momentem był rok 2021

eprasa.pl 2267720789

i powrót Donalda Tuska do krajowej polityki oraz na funkcję szefa Platformy Obywatelskiej. Sienkiewicz szybko wrócił na dawną pozycję jednego z najbardziej zaufanych ludzi „kierownika".

W ubiegłorocznych wyborach parlamentarnych uzyskał reelekcję. Tym razem startował z Krakowa. Przeszłość polityczna Sienkiewicza sprawiła, że dla wielu, nawet doświadczonych komentatorów, niemałym zaskoczeniem było wskazanie go na ministra kultury i dziedzictwa narodowego. Jednak powód takiej decyzji Tuska poznaliśmy bardzo szybko. W czasie exposé premier zapowiedział, że rolą Sienkiewicza będzie przeprowadzenie „porządków", z naciskiem na media publiczne. – To, co się działo w ostatnich czasach z tymi publicznymi pieniędzmi, które miały trafiać do polskiej kultury, tak naprawdę mieliśmy do czynienia z ministerstwem antykultury. Jestem pewien, że pan Bartłomiej Sienkiewicz, który jest autorem książek, człowiekiem kultury, ma też doświadczenie, jeśli chodzi o te decyzje najtwardsze – przekonywał Donald Tusk. Szczególnie owo doświadczenie w podejmowaniu „najtwardszych decyzji" wydaje się kluczowe. Wystarczy spojrzeć na sposób, w jaki nowa władza przejmuje media publiczne. Sienkiewicz postawił na rozwiązanie „totalne" – postawienie TVP, Polskiego Radia oraz Polskiej Agencji Prasowej w stan likwidacji.

Bartłomiej Sienkiewicz, „człowiek Tuska do zadań specjalnych", jest prawnukiem pisarza, noblisty Henryka Sienkiewicza. Wywodzi się z rodu szlacheckiego herbu Oszyk. – To jest taki rodzaj przekleństwa chyba wszystkich, którzy są potomkami ludzi znanych, którzy w sposób naturalny są traktowani trochę inaczej. Czasami się więcej od nich wymaga. Czasami to skupienie na nich uwagi jest jakimś problemem w dzieciństwie czy młodości. Ja tu nie jestem wyjątkiem – wyznał w jednym z wywiadów. Sienkiewicz podkreślił, że jest zachwycony „Księgami Jakubowymi" Olgi Tokarczuk, przypominając, że według samej autorki były one „pisane trochę przeciw Sienkiewiczowi". I choć zapewnia, że „nie ma poczucia, że ma coś szczególnie ważnego do powiedzenia z tego powodu, że urodził się jako prawnuk Henryka Sienkiewicza", to sam lubi pisać.

Przez wiele lat publikował w „Tygodniku Powszechnym". Jego tekst z 2011 r. pt. „Ambaras z polskością" spotkał się z entuzjazmem środowisk lewicowo-liberalnych. „Patriotyzm zbudowany na odruchach plemiennych jest dany z urodzenia, problem w tym, że w krajach peryferyjnych nie wystarczy do zmiany statusu. Kluczem jest przesunięcie odpowiedzialności na ogół obywateli. Odpowiedzialności, która się rodzi tylko w sytuacji wolnego wyboru, nielimitowanego dziedzicznymi obciążeniami biedy i związanych z tym stylów życia. Szczególnie dotyczy to polskiej prowincji, rozświetlonej tandetnymi reklamami, z jej legginsami w panterkę czy pokracznymi domkami – zbiorowiskiem ludzi, którym do tej pory historia nie dawała zbyt wielu szans" – przekonuje w nim Sienkiewicz. Z wyższością wskazywał, że „polskim elitom modernizacyjnym dotąd brakowało wobec nich »czułości«, tego odruchu sympatii, jaką się powinno mieć do nawet najbardziej zawstydzających krewnych". Tekst ten był nominowany do nagrody Grand Press w kategorii Publicystyka.

W czasie exposé premier zapowiedział, że rolą Sienkiewicza będzie przeprowadzenie „porządków", z naciskiem na media publiczne

W 2010 r. wraz z żoną Bereniką Kluczykowską-Sienkiewicz wydał książkę „Onegdaj w Krakowie". Z kolei w roku 2018 opublikował „Państwo teoretyczne". W książce tej opisuje wydarzenia poprzedzające wybuch „afery taśmowej" oraz jej kulisy. Sienkiewicz wybiela samego siebie, uderzając w dziennikarzy „Wprost", który ujawnili aferę. „Wojtunik twierdzi, że redaktorzy tygodnika są nagraniem bardzo poruszeni i chcą koniecznie ze mną porozmawiać. Powołują się przy tym na bezpieczeństwo państwa. Pilnie potrzebują mojego komentarza […]. Potrzebują mnie tylko do osłony, by zachować pozory dziennikarskiej staranności i przykryć w ten sposób fakt, że są po prostu narzędziem operacji obalenia rządu" – czytamy. „Wiedziałem już, że to koniec. Kto dokładnie postanowił mnie zniszczyć, jak to się stało, co uruchomiło tę machinę – to już były szczegóły" – wskazuje polityk. Autorów materiałów opisujących aferę Sienkiewicz określa mianem „paserów". Najnowszą publikację „Imć posła Sienkiewicza z diariusza fragmenta" wydała w ubiegłym roku Fundacja Kultura Liberalna.

PANICZ W OBLĘGORKU

Ciekawy, choć zapomniany epizod z życia polityka PO (w partii od 2019 r.), pochodzi sprzed 17 lat. W 2007 r., gdy ówczesny minister edukacji Roman Giertych zaproponował zmiany na listach lektur szkolnych – chciał wykreślić książki Sławomira Mrożka i zastąpić je tekstami Jana Dobraczyńskiego. Bartłomiej Sienkiewicz protestował w imieniu Stowarzyszenia Rodziny Henryka Sienkiewicza. – Uważamy za absurdalne kastrowanie części listy dziedzictwa polskiej i światowej literatury w imię poglądów ideologicznych – mówił.

Ma trzech synów i córkę. „Kiedy był dzieckiem, lato spędzał w Oblęgorku. To tam do dziś znajduje się muzeum Henryka Sienkiewicza, a miejsce to przechodziło w ręce kolejnych pokoleń. To też tam starsze kobiety zwracały się do niego »paniczu«" – opisuje lifestyle'owy magazyn „Viva!". Sam o sobie Sienkiewicz pisze tak: „Państwowiec, publicysta, polityk. Miłośnik psów, nart i Karla Bartha". O tym, że jest człowiekiem „biesiadnym", świadczą nie tylko jego własne słowa. W styczniu 2022 r. Internet obiegło nagranie, na którym widać, jak Borys Budka wyprowadza go z sali plenarnej Sejmu, a po drodze poseł Sienkiewicz potyka się na schodach i przybija „piątkę" z klubową koleżanką. Później w rozmowie z dziennikarzami oskarżał Prawo i Sprawiedliwość o to, że toczy kampanię przeciwko opozycji. – Kampanię insynuacji, kłamstw, ataków – skarżył się. Na pytania dotyczące wprost jego stanu na sali obrad nie odpowiedział. Według medialnych spekulacji po przeprowadzeniu akcji „oczyszczenia" mediów publicznych Bartłomiej Sienkiewicz ma startować w wyborach do Parlamentu Europejskiego. Niektórzy twierdzą, że w nagrodę.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2267720789

Lewackie zastępy Tuska

Krystian Kratiuk

Od czasu, kiedy premier Donald Tusk deklarował się jako liberalno-konserwatywny socjalista, minęło ponad 10 lat. Niby to niewiele, ale w polityce to cała epoka – nie może więc zaskakiwać, że lider Platformy Obywatelskiej po latach pracy w stolicy Unii Europejskiej i zmuszony do wielopartyjnej koalicji postawił dziś na skrajnie lewicowy kurs

Platforma Obywatelska mamiła kiedyś Polaków wizją „nierobienia polityki, ale budowania mostów, orlików, dróg". Pierwsze dwa gabinety Tuska chwalone były nawet przez niektórych konserwatywnych komentatorów za unikanie rewolucyjnych zmian i politykę „ciepłej wody w kranie". Lewica utyskiwała wówczas na zachowawczość rządzących krajem należącym do Unii Europejskiej, w którym wciąż nielegalna (w większości przypadków) była aborcja, pomysły na związki partnerskie regularnie odrzucano, o „małżeństwach homoseksualnych" nikt nawet nie wspominał.

Przez osiem lat rządów PiS większość tematów z agendy rewolucji nie tylko dalej zamrażano, lecz także w niektórych sprawach rozpoczęto nawet swoistą kontrrewolucję. Najgłośniejszym tego przykładem pozostaje oczywiście wydane przez Trybunał Konstytucyjny orzeczenie zakazujące aborcji. Za rządów PiS środowiska LGBT nie mogły liczyć na absurdalne przywileje, którymi cieszą się na Zachodzie, a rząd podejmował walkę z seksedukatorami. Reakcja twardego elektoratu sprawiła nawet, że Jarosław Kaczyński musiał porzucić własny, również skrajnie lewicowy, projekt tzw. piątki dla zwierząt. Co prawda, w tym samym czasie rząd Morawieckiego dwoił się i troił, by pokazać się jako prymus zrównoważonego rozwoju i zdumiewających metod walki ze zmianami klimatu, ale tego społeczeństwo niestety nie odbierało jako narzucanie lewicowego światopoglądu.

GABINET RADYKAŁÓW

Nowy rząd Tuska – który to przed wyborami zapowiadał przecież, że nie wpuści na listy PO nikogo, kto nie zadeklaruje chęci legalizacji zabijania nienarodzonych – będzie pod tym względem zupełnie inny niż gabinet Morawieckiego i zgoła inny niż rządy Tuska sprzed lat. Przyjrzyjmy się tylko niektórym ministrom:

Wicepremierem i szefem resortu cyfryzacji został Krzysztof Gawkowski z Nowej Lewicy. To propagator idei „małżeństw homoseksualnych". Jak cała Lewica, chce aborcji dostępnej na życzenie do 12. tygodnia życia płodowego dziecka. Co więcej, jeszcze jako poseł opozycji przyznawał, że popiera skrajnie segregacyjną ideę paszportów węglowych, czyli śledzenia indywidualnego „śladu węglowego" poszczególnych osób. To metoda kontroli społecznej coraz szerzej lansowana w poszczególnych krajach pod dyktando Światowego Forum Ekonomicznego.

Ministrem sprawiedliwości Tusk mianował Adama Bodnara, który pełniąc funkcję Rzecznika Praw Obywatelskich, w ostrych oświadczeniach krytykował decyzję w sprawie aborcji (mimo że w świetle polskich przepisów, np. prawa spadkowego, nienarodzone dziecko ma już pewne prawa obywatelskie, więc jego prawo do życia powinno być chronione przez RPO). Bodnar prowadził kampanie przeciwko „homofobii" i apelował do rządu o wprowadzenie obowiązkowej genderedukacji oraz o zakazanie terapii konwersyjnych – tak, by ludzie mierzący się z problemem własnej homoseksualności nie mogli próbować się z niej wyleczyć. Przed wyborami zadeklarował, że „związki partnerskie to standard cywilizacyjny, który powinien obowiązywać w Polsce już od dawna". Odbierając swego czasu nagrodę od Deutsch-Polnische Gesellschaft Bundesverband, Bodnar porównał Polskę do zwierzęcia, które Niemcy oswoili, a teraz nie powinni go porzucać.

Wyjątkową drwiną z polskich rodzin jest powołanie na urząd ministra do spraw rodziny, pracy i polityki społecznej Agnieszki Dziemianowicz-Bąk. Ta radykalna feministka tak bardzo wierzy w ideę legalnego zabijania dzieci, że uznała nawet, iż dzięki wprowadzeniu ogólnie dostępnej aborcji poprawi w Polsce wskaźniki demograficzne… Domaga się likwidacji Funduszu Kościelnego i likwidacji religii w szkołach. Jeszcze przed wyborami Dziemianowicz-Bąk deklarowała, że chce doprowadzić do tego, aby środki antykoncepcyjne były bezpłatne – co więcej, dotyczyć ma to również tzw. pigułek poronnych „dzień po". Trzy lata temu wystąpiła w sesji zdjęciowej dla „Wysokich Obcasów" – prezentowała się wówczas w koszulce przedstawiającej kobietę chroniącą się parasolką przed spadającymi z nieba… krucyfiksami. To najlepiej oddaje stosunek tego rządu do Kościoła i katolików.

eprasa.pl 2267720789

Odrobinę głośniej ów stosunek nowej koalicji do wierzących w Chrystusa Polaków zapowiedział Sławomir Nitras, nowy minister sportu. Podczas jednej z debat w 2021 r. poseł PO powiedział, że katolików należy „opiłować z pewnych przywilejów". Chwilę później w jego rodzinnym Szczecinie napadnięto na kościół i rzeczywiście piłowano w nim krzyż. Nitras nie wycofał się ze swoich słów – jego zdaniem wypychanie Kościoła katolickiego z przestrzeni publicznej to „proces nieodwracalny" i „należy mu nieco pomóc". Temu właśnie służyć ma również postulowane przez szczecińskiego polityka wypowiedzenie konkordatu.

Resort edukacji objęła zaś Barbara Nowacka. W jej polityce także widać, kto jest głównym wrogiem nowego rządu – otóż pierwsza zapowiedź wygłoszona przez panią minister to redukcja o połowę lekcji religii w polskich szkołach. W haniebny sposób Nowacka potraktowała też Barbarę Nowak, wieloletnią kurator oświaty w Małopolsce – odwołała panią kurator za deklarowaną wiarę katolicką i wynikające z niej poglądy moralne. Publicznie zmieszała ją z błotem, co tylko potwierdza, że troska o „prawa kobiet" dotyczy tylko tych kobiet, które stoją po stronie feministek. Następczyni pani kurator w Krakowie również wpisała się w annały antykatolickiej rewolucji swoją pierwszą niezwykle symboliczną decyzją – usunięciem z gmachu kuratorium portretu Jana Pawła II. Aby pokazać urbi et orbi, jak bardzo postępowe będzie teraz Ministerstwo Edukacji, Nowacka zaprosiła na spotkanie… Anję Rubik, znaną modelkę i założycielkę fundacji promującej edukację seksualną. Anja Rubik zamiast Jana Pawła II – ta zamiana doprawdy mówi wszystko.

Niebagatelną rolę w rządzie Tuska odegrać może też Katarzyna Kotula. Została za to ministrem (na stronach rządu określana jest mianem ministry) równości. To ona najpewniej będzie koordynować prace dotyczące ustawy o związkach partnerskich. „To jest dobry moment, żeby złożyć taką deklarację, że ja też wezmę ślub wtedy, kiedy pary jednopłciowe będą mogły sformalizować swój związek, czy to będą związki partnerskie, a w kolejnym kroku małżeństwa jednopłciowe. Będę robić wszystko, by to było możliwe" – zadeklarowała niedawno. Kotula będzie zapewne forsować także wprowadzenie do Kodeksu karnego paragrafu o tzw. mowie nienawiści. To wyjątkowo niebezpieczna inicjatywa – w prawodawstwie wielu państw Zachodu przepis taki zaczął już kneblować usta chrześcijanom i innym konserwatystom.

Zaprzysiężenie rządu Donalda Tuska w Pałacu Prezydenckim, 13 grudnia 2023 r. FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

Dodajmy do tego Agnieszkę Buczyńską z Polski 2050, która zostanie ministrem do spraw społeczeństwa obywatelskiego, co także stanowi pewną nowość. Do tej pory bowiem społeczeństwo obywatelskie powstawało oddolnie, nierzadko w kontrze do władzy, a teraz to centralna władza ma zamiar „tworzyć społeczeństwo obywatelskie". Należy także zauważyć niesłychaną zuchwałość, z jaką Donald Tusk zezwolił na dobór wiceministrów w niektórych resortach. Oto wiceszefową Ministerstwa Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej została Aleksandra Gajewska, feministka i zwolenniczka zabijania dzieci nienarodzonych – co według jej słów ma być w Polsce legalne, dostępne, bezpieczne i bezpłatne, w dodatku marzy jej się, by lekarz nie mógł odmówić udziału w aborcyjnym mordzie. Wiceszefem resortu nauki mianowano Macieja Gdulę, znanego m.in. z imputowania Polakom dziedzicznego antysemityzmu (twierdzi, że nasz naród winien jest śmierci 200 tys. Żydów) i z tego, że tak bardzo przejmuje się mniejszościami, iż krytykuje uczenie dzieci „Murzynka Bambo" oraz lekturę „W pustyni i w puszczy". Chciał też wyeliminowania reklamy hospicjów perinatalnych z nośników krakowskiego MPK i ciepło wypowiadał się o przedwojennych komunistach. Wiceministrem sprawiedliwości został natomiast Krzysztof Śmiszek, który uważa się za męża Roberta Biedronia. Jeszcze w maju zapowiadał, że chce, by jego związek z europosłem został uznany za małżeństwo i aby mogli adoptować dziecko, gdyż „osoby LGBT

Jeśli ktoś liczył na to, że radykalne zmiany zablokują PSL lub „katolik Hołownia", to srodze się zdziwi

eprasa.pl 2267720789

mogą dać polskim dzieciom wiele miłości, a zakaz adopcji może być marnowaniem potencjału". Uczynienie wiceministrem kultury Joanny Scheuring-Wielgus nie jest już zuchwałością, ale zwykłą złośliwą kpiną i chyba nie zasługuje na żaden szerszy komentarz.

ROLA „KATOLIKÓW OTWARTYCH"

Wszystkim, którym wydawać się mogło, że Tusk przez dekadę się nie zmienił, po tych nominacjach musiało zrobić się co najmniej nieswojo. A jeśli ktoś liczył na to, że radykalne zmiany zablokują PSL lub „katolik Hołownia", to także srodze się zdziwi. Owszem – bez nich ten rząd nie będzie mógł trwać, ale (jak pokazał przykład siłowego i niekonstytucyjnego przejmowania mediów publicznych) oni bez tego rządu również trwać nie zamierzają. Liczni wyborcy Trzeciej Drogi dali się bowiem oszukać nieco bardziej konserwatywnemu wizerunkowi liderów tej formacji. Ale nie oni pierwsi.

Warto bowiem zwrócić uwagę, że w świecie prowadzącym jeden z ostatnich etapów wielkiej antychrześcijańskiej rewolucji nie da się dokończyć tego procesu bez udziału… katolików. To m.in. po to wymyślono polityczno-teologiczną kategorię „katolika liberalnego" czy częściej spotykaną w Polsce kategorię „katolika otwartego". Taką rolę w nadwiślańskim wydaniu antykatolickiej rewolucji odgrywa właśnie Szymon Hołownia – jako wieloletni katolicki publicysta przybija pieczęcią swej akceptacji zmiany, które mają być rzekomo do pogodzenia ze światopoglądem wierzących w Chrystusa. Taką samą rolę w Kanadzie odgrywa katolik Justin Trudeau, w Stanach Zjednoczonych katolik Joe Biden, a w Kościele katolickim jego aktualna widzialna głowa. Nic zatem dziwnego, że pierwszą decyzją nowego Sejmu, jeszcze zanim ukonstytuował się nowy rząd, było przyjęcie ustawy o finansowaniu produkcji dzieci metodą in vitro z budżetu państwa.

„MOHEROWY BERET" A „BABCIA KASIA Z KOD"

Kiedy na początku roku 2022 Jarosław Kaczyński deklarował w kontekście pandemii, że „gdyby od niego to zależało, to poszedłby na całość" i zaszczepiłby wszystkich, przez chwilę można było się zastanawiać, co ma na myśli. Miał bowiem wówczas, de facto, wszystko – Sejm, rząd, prezydenta, trybunały, media publiczne. Ale ów wytrawny analityk nastrojów społecznych wiedział, że w sprawie szczepień nie posiadł jeszcze jednego – opinii publicznej. Ona „od niego nie zależała".

Donald Tusk potrafi odczytywać nastroje społeczne nie gorzej niż Kaczyński. Nie wolno więc zapominać, że jego aktualną przemianę – z polityka grającego na przetrzymanie w przywódcę rządu antykatolickich rewolucjonistów – uzasadnia nie tylko konieczność zawiązania koalicji z lewicą i doświadczenia kilkuletniej pracy w Brukseli. Gdy Tusk rządził dekadę temu, większość polskiego społeczeństwa nie chciała żadnych zmian – chciała się w spokoju dorabiać. Dziś w społeczeństwie dobrobytu do głosu dochodzą radykalnie lewackie postulaty, co jest odtworzeniem scenariusza z innych krajów Zachodu. A społeczeństwo Polski przez ostatnią dekadę radykalnie się przecież zmieniło – w ostatnim dziesięcioleciu zmarło bowiem ok. 5 mln Polaków – głównie oczywiście tych najstarszych. Wyśmiewane kiedyś przez Tuska „moherowe berety" zastąpione zostały „babciami Kasiami z KOD", a słuchacze Radia Maryja widzami TVN24. Od czasu pierwszego zwycięstwa PO w wyborach parlamentarnych minie wszak w tym roku… aż 17 lat!

Kilka milionów najmłodszych Polaków w tym czasie dorosło i uzyskało prawo do głosowania. Przez dwie kadencje Prawa i Sprawiedliwości nie zakazano w Polsce homopropagandy, promocji aborcji, rozpusty, pornografii i innych bezeceństw. A zajmujące się tym międzynarodowe organizacje wydawały w tym czasie fortunę, by przerobić Polaków na swoje podobieństwo. Wydaje się, że w znacznej mierze im się to udało. Społeczeństwo się bowiem nie zmienia – społeczeństwo jest zmieniane. Jeśli ktoś już zmienia się świadomie i z własnej woli, to robi to właśnie Donald Tusk, który niczym kapitan pirackiego żaglowca w mig chwyta nowe wiatry, pomagające mu w najważniejszej dlań misji – ostatecznego zatopienia okrętów przeciwnika.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest redaktorem naczelnym PCh24.pl.

eprasa.pl 2267720789

Liberalizm w natarciu

Lech Mażewski

Nawet w okresie PRL nie uciekano się do uchwał sejmowych w rządzeniu państwem

Donald Tusk, kiedy kończył swój pobyt w Brukseli w roli przewodniczącego Rady Europejskiej, zapisał w diariuszu pod datą 16 listopada 2018 r.: „Zauważyłem pewną regułę nie tylko na wschodzie Europy, że priorytetem nowej władzy jest jak najprędzej wsadzać poprzedników do więzienia. Nie jestem pewien, co jest prawdziwym powodem – potrzeba zemsty czy sprawiedliwości?". Ten diariusz został wkrótce wydany w Polsce pod znamiennym tytułem „Szczerze". Wraz z powołaniem kolejnego rządu Tuska rozpoczęła się walka o przywrócenie praworządności i utrwalenie demokracji. Co to znaczy w kontekście cytowanych na początku słów? Jakie znaczenie mają wydarzenia z 20 grudnia 2023 r., a następnie decyzja ministra kultury i dziedzictwa narodowego Bartłomieja Sienkiewicza z 27 grudnia o postawieniu mediów publicznych w stan likwidacji?

PRZYWRACANIE PRAWORZĄDNOŚCI

Na temat sposobu przywracania praworządności w Trybunale Konstytucyjnym, Krajowej Radzie Sądownictwa czy Sądzie Najwyższym przedstawiciele opozycji liberalno-lewicowej dyskutują od chwili dokonania zmian w tych organach. Zazwyczaj konkluzje tych rozważań sprowadzają się do tego, że Sejm w drodze przyjmowania kolejnych uchwał będzie odwoływał niepoprawnie – w ich rozumieniu – obsadzonych tam sędziów. Najdalej poszedł prof. Wojciech Sadurski, który proponował odwołanie całego składu obecnego Trybunału, niejako wyzerowanie go.

Rzeczywiście, nie widać tu specjalnego szacunku dla zasady rządów prawa, a jedynie próbę korzystania z posiadanej w przyszłości większości w Sejmie. Trudno oprzeć się wrażeniu prymitywizmu prawniczego, który bije z tych propozycji. Nawet w okresie PRL nie uciekano się do uchwał sejmowych w rządzeniu państwem, a korzystano z ustaw, względnie dekretów z mocą ustawy.

Byłoby nieuczciwe twierdzenie, że poglądy środowisk liberalno-lewicowych w zakresie przywracania praworządności sprowadzają się jedynie do forsowania tego rodzaju propozycji. Na początku 2019 r. w Fundacji im. Stefana Batorego odbyła się konferencja zatytułowana „Jak przywrócić państwo prawa?", w której uczestniczyli liberalni prawnicy tworzący Zespół Ekspertów Prawnych. Niedługo potem materiały z tej konferencji były dostępne na stronie internetowej Fundacji. Zajęto się właściwie wszystkim, a więc TK, KRS, SN, sądami powszechnymi, a nawet prokuraturą.

Członkowie ZEP nie odżegnują się od posługiwania uchwałami sejmowymi w celu przywracania jakoby naruszonej praworządności w Polsce, ale nie jest to jedyny sposób, do którego byliby gotowi się odwołać. W grę wchodziłyby też zmiany ustawodawcze, a także nowelizacja Konstytucji, choć w pierwszym przypadku na przeszkodzie mogłoby stanąć weto prezydenckie, a w drugim brak koniecznej większości. Jednak za każdym razem użycie sejmowej uchwały byłoby uzasadniane wyrokami sądów międzynarodowych – Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej lub Europejskiego Trybunału Praw Człowieka – czy orzeczeniami Trybunału Konstytucyjnego albo chociaż stosownymi uchwałami SN.

Sprawy jednak nie są tak proste, jak mogłoby się wydawać prawnikom skupionym wokół Fundacji im. Stefana Batorego. Skoro z art. 8 ust. 1 Konstytucji wynika, że „Konstytucja jest najwyższym prawem Rzeczypospolitej Polskiej", to konsekwencją tego byłoby, że wyroki sądów międzynarodowych muszą być z nią zgodne. W ostatnich kilku latach wypowiadał się w taki właśnie sposób Trybunał Konstytucyjny. Miało to miejsce chociażby 24 listopada 2021 r. (K 6/21), kiedy Trybunał zajął stanowisko w sprawie wykonalności orzeczenia

eprasa.pl 2267720789

FOT. ADOBE STOCK

Profesor Maciej Górecki z Uniwersytetu Warszawskiego napisał wkrótce po wyborach parlamentarnych na platformie X: „Z partiami w rodzaju PiS trzeba walczyć na ostro, i to właśnie my w Polsce możemy być światowymi pionierami tej walki. Zdelegalizować, skonfiskować majątek, powsadzać do więzień”

ETPC sprzecznego z polskim porządkiem konstytucyjnym. W tej sytuacji uchwały sejmowe, odwołujące sędziów, nadal byłyby przejawem politycznej woli większości izby, będąc pozbawione uzasadnienia w świetle obowiązującego w Polsce prawa i orzecznictwa TK.

20 grudnia 2023 r. Sejm przyjął uchwałę o sytuacji prawnej Krajowej Rady Sądownictwa. Wzywa się tam sędziów członków wybranych przez izbę do niezwłocznego zaprzestania działalności w tym organie. Aby uniknąć powstania dwóch Krajowych Rad Sądownictwa, o czym pisałem w „Do Rzeczy” (nr 49/2023), trzeba by rozważyć przygotowanie takiego projektu noweli ustawy o KRS, żeby nie spotkała się ona z wetem prezydenckim. Trudno rozstrzygnąć, czy do tego dojdzie, szczególnie po podjęciu przez ministra Siennkiewicza decyzji o likwidacji mediów publicznych.

Gdybyśmy przyjęli stanowisko prof. Matczaka, to hierarchia źródeł prawa w Polsce wyglądałaby następująco: wyroki sądów międzynarodowych (głównie TSUE i ETPC), pierwotne i wtórne prawo Unii Europejskiej i dopiero potem źródła prawa z Konstytucją na czele, o których stanowi art. 87 Konstytucji. Naruszałoby to treść cytowanego już art. 8 ust. 1 Konstytucji, ale mimo to dla prof. Adama Bodnara, nowego ministra sprawiedliwości, obowiązująca zapewne będzie ta hierarchia źródeł prawa, a nie wynikająca z ustawy zasadniczej. Możemy mieć jeszcze do czynienia z korzystaniem z rozporządzeń w miejsce regulacji ustawowej, choć są one tylko aktami wykonawczymi wobec ustaw i nie mogą ich zastępować. Tak właśnie wygląda sytuacja z próbą zmiany przez ministra Bodnara rozporządzenia Regulamin urzędowania sądów powszechnych, gdzie ingeruje się zarówno w materie ustawowe, jak i konstytucyjne.

ZAMACH NA DEMOKRACJĘ

Według obozu liberalno-lewicowego w latach 2015–2023 mieliśmy w Polsce do czynienia nie tylko z licznymi naruszeniami praworządności, lecz także z permanentnym zamachem na demokrację. Na czym miałby polegać ten zamach na demokrację? Być może chodzi o utracenie w tym czasie przez elity liberalno-lewicowe dominującego wpływu na sposób funkcjonowania państwa, bez czego – w ich rozumieniu – trudno mówić o demokracji.

Profesor Maciej Górecki z Uniwersytetu Warszawskiego napisał wkrótce po wyborach parlamentarnych na platformie X: „Z partiami w rodzaju PiS trzeba walczyć na ostro, i to właśnie my w Polsce możemy być światowymi pionierami tej walki. Zdelegalizować, skonfiskować majątek, powsadzać do więzień”.

Trochę inne stanowisko zajął prof. Marcin Matczak, który 9 grudnia 2023 r. na łamach „Gazety Wyborczej” postulował, aby powołać dwa zespoły: jeden złożony z prawników do rozliczenia funkcjonariuszy PiS, drugi z socjologów i psychologów, którzy mieliby się zająć zrozumieniem, dlaczego tę partię poparło 7,5 mln wyborców. Czynności

eprasa.pl 2267720789

tej drugiej komisji miałyby pozwolić przywódcom obozu liberalnego-lewicowego na podjęcie działań o charakterze niejako terapeutycznym wobec tych ludzi, którzy usytuowali się po stronie partii, właściwie nieustannie naruszającej praworządność, a ponadto dokonującej zamachu na demokrację. Chodziłoby o pokazanie, w czym tkwi źródło błędu, skutkiem którego było opowiedzenie się tylu milionów ludzi po stronie formacji Jarosława Kaczyńskiego. Profesor Matczak chciałby doprowadzić do porzucenia przez tych Polaków postawy autorytarnej, bo to ma cechować zwolenników PiS, choć nie stanie się to zaraz. Ze zbliżonymi zabiegami, głównie ze strony USA, mieliśmy do czynienia w Niemczech okupowanych po 1945 r.

Swoją rolę do odegrania mają także komisje śledcze, których powołanie już zapowiedziano. Nie to byłoby najważniejsze, że takie komisje mają prawo składania powiadomień do prokuratury w sprawie możliwości popełnienia przestępstwa przez jakąś osobę ani nawet o prawo do wystąpienia ze wstępnym wnioskiem o pociągnięcie do odpowiedzialności przed Trybunałem Stanu osób, które takiej odpowiedzialności podlegają. Owe komisje miałyby też inne zadanie. W efekcie wzajemnego oskarżania się polityków PiS w trakcie składanych zeznań chciano by doprowadzić do dekompozycji tej partii, wywołania rozłamów w jej szeregach. Nieco podobnie było w okresie I kadencji Sejmu RP, kiedy Porozumienie Centrum podlegało sukcesywnemu rozpadowi.

20 grudnia 2023 r. Sąd Okręgowy w Warszawie prawomocnie skazał Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika na dwa lata więzienia za przekroczenie uprawnień i nielegalne działania CBA podczas „afery gruntowej". Skoro prawo łaski zastosowane w 2015 r. okazało się nieskuteczne, aczkolwiek trudno zrozumieć, dlaczego tak miałoby być, gdyż prerogatywa prezydenta jest niczym właściwie nieograniczona (art. 139 Konstytucji), to jeszcze na mocy ust. 3 art. 99 Konstytucji byli ministrowie utracili mandaty poselskie. Czy za skrócenie pobytu w zakładzie karnym nie zechcieliby obaj (lub jeden z nich) podzielić się swoją wiedzą na temat kulis rządów PiS zarówno w latach 2005–2007, jak i 2015–2023? W konsekwencji mogłoby to prowadzić do dekompozycji PiS. Możliwy jest też odmienny scenariusz. Uwięzienie Kamińskiego i Wąsika wywołuje uliczne protesty w ich obronie jako więźniów politycznych liberalno-lewicowego reżimu, a to z kolei dawałoby efekt konsolidacji obozu przegranego w październikowych wyborach.

Przywódcy rządzącej koalicji mają świadomość, że obecnie nie ma możliwości pociągania do odpowiedzialności konstytucyjnej przed TS prezydenta albo członków Rady Ministrów. Wynika to z istnienia w Sejmie i Senacie mniejszości blokującej w rękach PiS, o czym szerzej już pisałem („Do Rzeczy" nr 45/2023). I nic się w tej sprawie nie zmieni dopóty, dopóki nie nastąpi dekompozycja partii Kaczyńskiego i przejście części jej członków na stronę większości parlamentarnej skupionej wokół rządu Tuska.

Sejmowe komisje śledcze miałyby też inne zadanie. W efekcie wzajemnego oskarżania się polityków PiS w trakcie składanych zeznań chciano by doprowadzić do dekompozycji tej partii, wywołania rozłamów w jej szeregach

Zdając sobie sprawę z trudności pociągnięcia do odpowiedzialności konstytucyjnej prezydenta Andrzeja Dudy lub członków rządu z lat 2015–2018, prof. Jarosław Warylewski z Uniwersytetu Gdańskiego, specjalista prawa karnego, zaproponował w 2019 r. uchwalenie ustawy o redemokratyzacji ustroju i organów państwa. Zapewne pomysłodawca nie sprzeciwiałby się objęciu tą ustawą rzeczywistości ustrojowej Polski aż do 2023 r. Owa ustawa, „wprowadzając odpowiedzialność prawną sui generis, mogłaby np. przewidywać zastosowanie środka w postaci internowania wobec osób uznanych za zagrażające wartościom konstytucyjnym demokratycznego państwa prawnego. Decyzję o utworzeniu ośrodków odosobnienia i internowaniu mógłby np. podejmować wojewoda […]. Środek taki nie miałby charakteru kary […]. Byłby to środek o charakterze administracyjnym, co do zasady stosowany terminowo, np. na okres od 3 miesięcy do 5 lat. Przesłanką zastosowania internowania powinno być stwarzanie (stanowienie) zagrożenia (niebezpieczeństwa) dla konstytucyjnego ustroju państwa".

Tyle razy pisano, że PiS to grupa rekonstrukcyjna sanacji. A jak w takim razie należy nazwać propozycje gdańskiego karnisty? Przecież to znacznie więcej niż rozwiązania przewidziane w rozporządzeniu prezydenta z 17 czerwca 1934 r., na mocy którego powstał osławiony ośrodek odosobnienia w Berezie Kartuskiej, w którym pobyt trudno było uznać za rodzaj wczasów na Polesiu. Także instytucja internowania z okresu stanu wojennego z 12/13 grudnia 1981 r. wydaje się łagodnym rozwiązaniem prawnym w porównaniu z tymi propozycjami. Gdyby podjęto próbę ich uchwalenia, to weto prezydenta uniemożliwiłoby to. Ale co będzie po 2025 r.? Tego nie wiemy.

I dalej gdański karnista kontynuuje: „Możliwe byłoby też zastosowanie nowo wprowadzonego środka zabezpieczającego w postaci umieszczenia na czas określony lub nawet bezterminowo (tj. do czasu, kiedy ustaną przesłanki umieszczenia w takim ośrodku) w zamkniętym ośrodku rehabilitacyjno-resocjalizacyjnym. Przesłankami umieszczenia w takim ośrodku mogłyby być zachowania zmierzające do zmiany ustroju konstytucyjnego w sposób sprzeczny (niezgodny) z Konstytucją RP oraz stanowienie niebezpieczeństwa dla tego ustroju w przyszłości". Nie trzeba by zatem naruszać ustawy zasadniczej, a jedynie np. zgodnie z art. 235 Konstytucji dążyć do jej zmiany, podważając jednak pozycję liberalno-lewicowej klasy panującej, aby znaleźć się „w zamkniętym ośrodku rehabilitacyjno-resocjalizacyjnym – nawet bezterminowo".

Cokolwiek można by powiedzieć o pomysłach liberalnych prawników skupionych wokół Fundacji im. Stefana Batorego, to mimo wszystko daleko im do radykalizmu propozycji prof. Warylewskiego. Zamach na demokrację wymaga surowej represji nie tyle karnej, bo

eprasa.pl 2267720789

wtedy sprawa musiałaby trafić do sądu, ile administracyjnej, prowadzonej z iście bolszewickim rozmachem, aby w przyszłości to się nie powtórzyło. Odwołując się do „Szczerze", można zapytać, czy autor zdecyduje się na to.

20 grudnia 2023 r. doszło jeszcze, poza tym, o czym już pisałem, do pozbawionego wyraźnych podstaw prawnych przejęcia mediów publicznych przez rząd Tuska. Bez słowa protestu tym wydarzeniom przyglądała się przebywająca w Warszawie Věra Jourová, wiceprzewodnicząca Komisji Europejskiej, do niedawna komisarz do spraw praworządności. Elżbieta Witek w imieniu posłów PiS wręczyła jej list protestacyjny, który miałby (chyba?) wstrząsnąć członkami KE i otworzyć im oczy na to, co się dzieje. Ten gest byłej marszałek Sejmu to jedynie wyraz kompletnej bezradności. Wszystko to może świadczyć o tym, że tym razem nie musi się zakończyć na czczych fantazjach gdańskiego prawnika, gdyż liberalizm jest rzeczywiście w natarciu.

PRAWICOWY PAX

W trakcie przywoływanej już konferencji w Fundacji im. Stefana Batorego na początku 2019 r. sprawą utrwalenia pozycji liberalno-lewicowej klasy panującej zajął się prof. Samuel Issacharoff, profesor prawa konstytucyjnego w New York University, który jednak w gruncie rzeczy nie wykroczył poza rozważania prawnokonstytucyjne, a to zbyt mało, żeby osiągnąć ten cel. W grudniowym wywiadzie dla Radia Zet niezastąpiony prof. Matczak starał się zarysować perspektywę takiego ukształtowania systemu politycznego, aby PiS nie mógł powrócić do władzy, bo zaczęłyby się wtedy problemy znane z lat 2015–2023. Znany prawnik nie przedstawił tu żadnych szczegółowych propozycji, stąd warto się zastanowić, jak mogłoby to w praktyce wyglądać.

Rzeczywiście, nie da się ustabilizować systemu politycznego w Polsce, uwzględniając interes sił liberalno-lewicowych, bez istnienia de nomine partii prawicowej, skłonnej do współpracy z tym obozem i na warunkach przezeń określonych. Chodziłoby zatem o powstanie czegoś w rodzaju PAX-u na prawicy, akceptującego hegemonię sił postępu. Wtedy dopiero nie trzeba by się kłopotać o los praworządności, a i zamachy na demokrację nie wchodziłyby już w grę.

Na dziś byłoby oczywiste, że taki prawicowy PAX może powstać z części Konfederacji, z wyłączeniem posła Grzegorza Brauna, a wcześniej zmarginalizowania Janusza Korwin-Mikkego albo uciekinierów z podlegającego dekompozycji PiS, względnie połączenia obu tych grup. Ta nowa formacja miałaby przyciągnąć przynajmniej część wyborców spośród 7,5 mln ludzi głosujących na partię Kaczyńskiego w ostatnich wyborach, ponieważ jest oczywiste, że na razie ci ludzie nie zaakceptują przedstawicieli sił postępu w roli swoich reprezentantów. Dla poparcia systemu liberalnej demokracji te rzesze wyborców trzeba pozyskać takimi, jakimi są, bez próby czynienia z nich zwolenników liberalnych nowinek i do tego właśnie konieczne byłoby powstanie prawicowego PAX-u, wyrzekającego się a limine możliwości kontestowania działań liberalno-lewicowej klasy panującej, tak jak historyczny PAX pod wodzą Bolesława Piaseckiego czynił to w stosunku do PZPR. A poza tym w momencie dokonania federalizacji Unii Europejskiej, kiedy suwerenność ostatecznie przeszłaby z państw narodowych do organów unijnych, nie będzie miało większego znaczenia, kto znajdzie się u władzy w polskim protektoracie, może być to i prawicowy PAX. Owa formacja nie dysponowałaby żadną ustrojowo-polityczną alternatywną wobec systemu demoliberalnego, dzięki czemu nie stanowiłaby zagrożenia dla istniejącego porządku. Z pewnością nie wchodziłoby w grę sięgnięcie do dorobku Viktora Orbána z jego ideą nieliberalnej demokracji, za co jest tak znienawidzony przez cały postępowy Zachód.

Powstanie takiego czy innego PAX-u na prawicy jest konieczne dla ustabilizowania panowania sił liberalno-lewicowych w Polsce. W momencie zamienienia większości Polaków w postępową masę unijczyków, posługując się określeniem ukutym przez redaktora „Do Rzeczy" Jana Fiedorczuka, nie będzie to już potrzebne. Chyba że wcześniej rozpadnie się UE, w efekcie czego załamie się liberalna ofensywa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest ustrojoznawcą.

REKLAMA

Poznaj przełomową **metodę zdrowej i trwałej utraty wagi!**

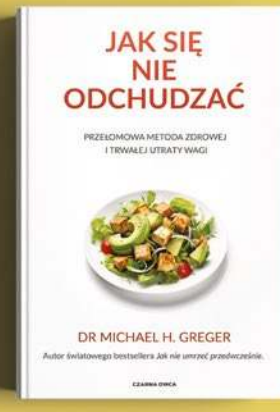

WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

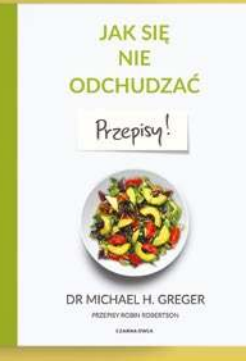

eprasa.pl 2267720789

Demografia w rękach dzieci

FOT. ADOBE STOCK

Łukasz Zboralski

Żaden rząd nie zatrzyma wymierania Polaków, jeśli nie zatroszczy się o dzisiejszych nastolatków. Bo dla nich wśród celów życiowych „szczęśliwa rodzina" spada na dno. Powodami są ich kiepska kondycja psychiczna i myśli depresyjne. Czy uratujemy pokolenie, które powinno wychować następne?

To badanie powinno wstrząsnąć władzą w Polsce i ośrodkami, które rozmyślają nad tym, jak zatrzymać problem starzenia się społeczeństwa nad Wisłą. Wreszcie ktoś spojrzał bowiem szerzej na ten problem i zauważył – co teraz wyda się oczywiste – że to, ile Polacy będą mieli w przyszłości dzieci, zależy nie tylko od rodaków, którzy są obecnie w wieku produkcyjnym, lecz także od następnych pokoleń. Ktoś spojrzał na to, czego od życia chcą ci, którzy dopiero staną się dorośli. I dlaczego mają takie, a nie inne marzenia i oczekiwania. Dodajmy – są to marzenia ze wszech miar dla społeczeństwa zasmucające.

Szymon Grzelak i Dorota Żyro opublikowali pod koniec ubiegłego roku raport „Jak wspierać młodzież w niestabilnym świecie", który oparli na badaniach wykonanych wśród ponad 80 tys. uczniów i nauczycieli w latach 2020–2022.

Dzięki tej pracy mamy dowód naukowy na to, co wielu czuło niejako intuicyjnie – że współczesny świat pokazujący jako życiowy cel sukces finansowy, pewnego rodzaju hedonizm, niszczy w młodych ludziach chęć wiązania się z innymi, posiadania rodziny, która wiąże się przecież z wyrzeczeniami. Ale badanie to dostarcza wielu bardziej szczegółowych wniosków.

Aby rozumieć, z czym się mierzymy, warto zacząć od wyników badań CBOS cytowanych w tej pracy. Dotyczyły one dążeń i celów życiowych młodzieży 18-letniej. Widać w nich, że wyraźnie spadał w Polsce odsetek młodych ludzi, dla których jednym z najważniejszych celów życiowych jest „udane życie rodzinne, dzieci". Liczba takich nastolatków skurczyła się z 54 proc. do 33 proc. skokowo – najpierw tąpnęła w latach 2008–2010, potem w latach 2013–2016, a następnie w latach 2018–2021. Udane życie rodzinne i posiadanie dzieci spadły wśród celów życiowych tej grupy przyszłych potencjalnych rodziców z drugiego miejsca w ich osobistej hierarchii na miejsce piąte.

Badania samego IPZIN z lat 2018–2022 dokonane wśród młodszych jeszcze osób – 13–16-latków – pokazały również spadek znaczenia celu życiowego „szczęśliwe życie rodzinne, dzieci". Nastąpił on w latach 2020–2021, czyli w okresie pandemii.

Co warto odnotować, do pogłębienia tego trendu nie doszło po wybuchu wojny na Ukrainie. Widać więc, że izolacja, zdalne nauczanie, reżimy sanitarne znacznie gorzej wpłynęły na samopoczucie młodych ludzi i ich zapatrywania na przyszłość niż konflikt zbrojny u granic własnego kraju. W raporcie zauważono także, że wcześniejsze obawy – głównie rodziców – związane z dopływaniem do polskich szkół Ukraińców w ogóle nie pogorszyły kondycji psychicznej polskich uczniów.

DLACZEGO MAJĄ PROBLEMY?

Temat słabej kondycji psychicznej polskiej młodzieży od kilku lat nie schodzi z czołówek mediów (i słusznie), choć dziennikarze zajmują się głównie tym, że młodzieży w kryzysie brakuje fachowej opieki lekarskiej w publicznej służbie

eprasa.pl 2267720789

zdrowia. Nikt nie zastanawia się jednak, skąd bierze się zwiększone zapotrzebowanie na taką pomoc, a przecież to jest kluczowe. Gdy zaczniemy w Polsce zastanawiać się, dlaczego coraz więcej młodych ludzi czuje się zagubionymi czy ma myśli samobójcze, będziemy mogli próbować przeciwdziałać tym zjawiskom, zanim one nastąpią, a nie tylko szukać medyków i lekarstw.

Raport IPZIN daje tu część odpowiedzi. Wskazuje bowiem dokładnie, że pandemiczna izolacja spowodowała wzrost w dzieciach poczucia braku energii, osamotnienia i smutku. Tyle że pandemii już nie ma, a problem pozostał. Częściowo można to wyjaśnić – i tak próbują eksperci – tym, że dzieci zyskały kolejne powody do napięć i smutków. Pandemia osłabiła ich wiedzę i umiejętności, a szkoła dalej wymagała od nich tego samego. To z pewnością im w komforcie psychicznym nie pomagało.

Badacze zaznaczają też problem „nudy". I tu wkroczymy już w obszar uzależnienia od smartfonów, od których oderwanie – czyli oderwanie od gigantycznej liczby bodźców – może już powodować uczucie znudzenia. To jednak też zarazem wskazówka, że rodzice nie bardzo stanowią dziś dla młodych partnerów do wspólnych działań i przeżyć, a czasem w ogóle się tym nie zajmują, pochłonięci pracą zawodową.

Nie pomaga też raczej szybka komunikacja. Młodzi są ze sobą w nieustannym kontakcie, ale na odległość. Piszą do siebie na komunikatorach. Podczas takich rozmów nie widzą się osobiście, nie obserwują swoich emocji na twarzy, nie słyszą intonacji głosu, wreszcie – nie spotykając się osobiście, tracą szansę na powiększanie zestawu znajomych spoza tych z klasy czy zajęć pozalekcyjnychn – tak trudniej im poznać kogoś, przeżywać pierwsze miłości…

Potwierdzają to obserwacje z raportu dotyczące kondycji psychicznej dzieci podczas nauki zdalnej. „Czynniki korelujące z lepszą kondycją psychiczną miały przede wszystkim charakter społeczny – dobre, wspierające relacje z rodzicami, innymi dorosłymi i rówieśnikami. Także zaskakujący w pierwszej chwili czynnik pozytywny, jakim jest »granie w gry planszowe«, dotyczył wspólnego robienia czegoś odprężającego z innymi – i to nie za pośrednictwem Internetu".

Wiadomo też, że postrzeganie rodzica jako przewodnika życiowego „chroni kondycję psychiczną nastolatków". To chyba jedna z największych lekcji dla części mediów, które w Polsce z jednej strony rozpływają się nad tragiczną kondycją młodzieży, a z drugiej stale postponują tradycyjny model społeczny, którym jest rodzina.

I jeszcze jeden zaskakujący w tym kontekście wniosek. O ile z medialnych przekazów można by wysnuć wniosek, że jedynym zadaniem w tej sprawie jest zapewnienie dzieciom dostępu do dziecięcej psychiatrii (weszło to już nawet na poziom przesuwania przez nowy rząd pieniędzy zapisanych na media publiczne, właśnie na taką opiekę – taka była ostatnia deklaracja premiera Donalda Tuska), o tyle w raporcie IPZIN czytamy: „Najbliższe i najbardziej podstawowe elementy społecznej sieci wsparcia związane są z rodziną, rówieśnikami oraz nauczycielami i wychowawcami. Ważnym ogniwem tej sieci dla części młodzieży są źródła wsparcia związane z religią i wymiarem duchowym. Kolejnym ważnym, ale na ogół mniej dostępnym elementem sieci wsparcia są specjaliści z zakresu profilaktyki, pomocy psychologiczno-pedagogicznej i psychiatrii".

Okazuje się także, że wyśmiewane dziś często uczestniczenie w praktykach religijnych lepiej pomagało wierzącym dzieciom przetrwać najtrudniejszy czas. „Im większa waga wiary i religii, tym więcej osób o dobrej kondycji psychicznej i tym mniej osób o słabej kondycji psychicznej" – czytamy w raporcie.

Można by to podsumować krócej: pozornie świat najbardziej otwarty, ze zburzonymi wszystkimi granicami (tego, kim się jest, kim można być itd.), który proponujemy dziś młodym ludziom, wcale nie rozwija przed nimi wspaniałych perspektyw – on ich wpędza w psychiczne kłopoty.

PROBLEM NUMER JEDEN

Narażanie młodych ludzi na kryzysy psychiczne ma poważne konsekwencje nie tylko dla nich samych, ich rodzin, lecz także dla całego społeczeństwa. Młodzi ludzie borykający się z poczuciem beznadziei i braku perspektyw w ogóle nie myślą bowiem o tym, by w przyszłości powołać na świat nowe pokolenia. Trudno im się dziwić. Po co mają powoływać na taki świat innych, skoro sami uznają, że nie sposób sobie w nim poradzić?

„W świetle badań z lat 2010–2022 czynnikiem ryzyka, który najsilniej wpływa na obniżenie chęci do posiadania dzieci, jest depresyjność. W kolejnych badaniach IPZIN, polskich i międzynarodowych (Polska, Malta, Litwa), niechęć, by w przyszłości mieć dzieci, w szczególności cechowała osoby mające myśli samobójcze, wysokie wyniki na skali depresji, słabą kondycję psychiczną" – piszą autorzy raportu.

Tym, co najsilniej wpływa na obniżenie chęci posiadania dzieci w przyszłości, są stany depresyjne nastolatków

To jeden z najistotniejszych wniosków. Tym, co odsuwa młodych ludzi od celu, którym jest w przyszłości założenie rodziny, wcale nie jest bowiem brak perspektyw finansowych. Czy więc przyszłościowa obietnica otrzymywania „800+" na jedno dziecko może na nich w ogóle zadziałać?

Przed Polakami stają zatem obecnie zupełnie inne pytania niż te, które dotąd zadawaliśmy, czyli m.in. o socjalne dodatki dla rodzin z dziećmi, o dostępność mieszkań (to akurat swoją drogą też musimy rozwiązywać). Przed nami pytania trudniejsze: Jak sprawić, by rodzice w pogoni za karierą i posiadaniem zaczęli znów być przewodnikami w życiu swoich dzieci, zaczęli z nimi spędzać czas? Jak zawrócić pokolenia wychowywane w hedonistycznym pędzie do tego, by wśród rówieśników ktoś częściej wyciągał pomocną dłoń? Jak wesprzeć nauczycieli wychowawców w szkołach, by mogli pomagać lepiej dzieciom, które stają się zagubione i nie mogą znaleźć wsparcia we własnej rodzinie? Jak projektować programy profilaktyczne w różnych zakresach, by wzmacniały w dzieciach te filary, które sprawią, że z nadzieją będą patrzeć na stworzenie udanego związku i cieszenie się dziećmi oraz wnukami?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2267720789

Ignacego Czwartosa pamięć i tożsamość

Kazimierz Nowosielski

Minister kultury zrezygnował z pokazania „Polskich ćwiczeń z tragiczności świata". Czego nie zobaczą widzowie w Wenecji?

„Żołnierze Żelaznego" autorstwa Ignacego Czwartosa

Jesienią 2023 r. ogólnopolskie jury wybrało artystyczny projekt, który przeznaczono do realizacji na 60. Międzynarodowym Biennale Sztuki w Wenecji i zatytułowano „Polskie ćwiczenia z tragiczności świata. Między Niemcami a Rosją". Jednak pod koniec grudnia minister kultury Bartłomiej Sienkiewicz zdecydował, że wystawa nie zostanie pokazana.

Projekt miał tworzyć cykl co najmniej kilkunastu obrazów Ignacego Czwartosa, z których większość została zaprezentowana wcześniej w warszawskiej Zachęcie. Ekspozycja okazała się dość kontrowersyjna – jedni przyjęli ją z entuzjazmem, podczas gdy inni co najmniej z niechęcią, a nawet z nieukrywanym krytycyzmem. Wedle tych ostatnich rzecz była zanadto polska i chrześcijańska jednocześnie, podczas gdy ci pierwsi odnajdywali w niej jakąś głęboką prawdę własnego oraz wspólnotowego losu.

W sensie formalno-wyrazowym składały się na nią małe oraz wielkoformatowe płótna, z których część nosiła wyraźne cechy sztuki abstrakcyjnej, jak to się czasem mówi: nieprzedstawiającej, podczas gdy inne ukazywały ludzkie figury nie dość, że w wielu wypadkach noszące rysy mniej lub bardziej znanych postaci, to jeszcze opatrzone imieniem, nazwiskiem i częstokroć datą śmierci.

Zastanawiające i znamienne zarazem, że autor tych dzieł żadnego z nich nie podpisywał – jakby chciał powiedzieć, iż za wszystko wystarczą mu przekonywująca wyrazistość stylu oraz idea, której mają służyć. Tak zazwyczaj postępowali twórcy średniowiecznego malarstwa tablicowego, domorośli producenci tzw. świętych obrazków, anonimowi bizantyjscy ikonopisowie, którym raczej nie chodziło o poklask, o indywidualną sławę ani o manifestowanie własnej oryginalności. W pewnym sensie im wszystkim uniwersalna prawda wyrazu miała wystarczyć za sygnaturę – i tak też, jak się zdaje, dzieje się w przypadku Ignacego Czwartosa – współczesnego malarza z Krakowa, autora „Polskich ćwiczeń z tragiczności świata".

eprasa.pl 2267720789

Wybrany przezeń tytuł wydaje się nieprzypadkowy. Zawiera się w nim wiele z tego, co nadzwyczaj ważne w artystycznych dokonaniach krakowskiego twórcy: odważne wchodzenie w sferę historii i zarazem uwzględnianie transcendentalnej perspektywy istnienia, czerpanie tak z zasobów rodzimej tradycji, jak i ze światowego dziedzictwa sztuki, konfrontowanie tego, co uniwersalne, ogólnoludzkie z tym, co bezpośrednio teraz oraz tutaj dane i zadane. Jestem stąd – zdaje się mówić Czwartos – i jednocześnie z ponadlokalnych obszarów kultury; moim domem jest zarówno całe dostępne oraz niedostępne mi na tę chwilę dzieło Bożego stworzenia, jak i potężne uniwersum ludzkich spraw i problemów. Stąd też w jego malarstwie dają się odnaleźć barwy lokalnego piłkarskiego klubu i emblematyka łacińskiej cywilizacji, pojawiają się koledzy z pracowni oraz bohaterowie jego artystycznych marzeń i doświadczeń; nieznani nam bliżej Wioletta oraz Olgierd Chmielewscy, kolega kibic ze stadionu Korony Kielce oraz ukochani malarze, z jakże różnych artystycznych światów doń przybywający: Nikifor, Rothko, Malewicz, Nowosielski… A oni wszyscy spowici w szarą aurę ludzkiej codzienności i w dyskretnie zaznaczany blask wiecznościowych tęsknot człowieka.

UPOMNIENIE SIĘ O WIERNYCH BOGU I OJCZYŹNIE

Jednakże tym, co najbardziej przejmuje w artystycznym dorobku Ignacego Czwartosa, jest upomnienie się o Polaków wiernych Bogu i ojczyźnie, a pomordowanych w lasach i w więzieniach, skazanych na bezwzględne wyrzucenie z historii, z kultury, ze zbiorowej oraz z indywidualnej pamięci. Chodzi o Żołnierzy Niezłomnych, których czasem zwą także Wyklętymi; o ofiary komunistycznego terroru, któremu oni – w imię wolności oraz wierności wyznawanym wartościom – stawiali heroiczny i częstokroć, zdawałoby się, beznadziejny opór. Czwartos w swym malarstwie stara się przywrócić im nie tylko człowieczy kontur i oblicze, lecz także imię oraz godność, a czyni to w sposób artystycznie przekonywujący i po ludzku dojmujący zarazem. Ukazuje ich jako tragiczne figury nie tylko polskiego losu i globalnych totalitaryzmów, lecz także dziejów współczesnej konsumpcyjnej, relatywistycznej cywilizacji, gdzie to, co szlachetne, bywa spychane do podziemia dziejów i kultury, podczas gdy na powierzchni (dziś powiedzielibyśmy: w mainstreamie) nade wszystko ma się liczyć doraźność, dogadzanie ludzkiej próżności, intelektualny blichtr, kariera i uciechy rozpasanych zmysłów.

Autoportret artysty w szaliku z barwami klubu piłkarskiego Korona Kielce

Krakowski malarz wydobywa z niebytu owych Bojowników Bożej oraz Ojczyźnianej Sprawy; dokonuje ich swoistej artystycznej oraz historycznej ekshumacji i nobilitacji; przywraca im ludzkie oblicze i oskarża złoczyńców. I to również są jego „ćwiczenia" nie tylko z pozyskanych malarskich umiejętności (a te są wysokiej klasy!), lecz także z pamięci, z wrażliwości sumienia i z elementarnej człowieczej uczciwości. Wraz z nimi odprawia swoje polskie i ogólnoludzkie „dziady" – aby moralnie i artystycznie nie sczeznąć, nie pogrążyć się w cywilizacyjnym marazmie, w duchowej nijakości. Dla niego zarówno pamięć, jak i piękno nie powinny być bezsumienne – i w tym też dopatruję się niezwykłego znaczenia Czwartosowej sztuki.

Cechuje ją nadzwyczaj solidne rzemiosło, znajomość rozmaitych arkanów piękna, jak również różnorodnych kulturowych kontekstów, w których ono funkcjonuje. Mamy tu więc znaczące odwołania tak do kultury wysokiej, jak niskiej: do barokowych portretów trumiennych i wysublimowanych abstrakcji Marka Rothko czy Fiałkowskiego, do dewocyjnych obrazków oraz pozornie prostych, acz w istocie niezwykle subtelnych struktur, symboli i emblematów w malarstwie Jerzego Nowosielskiego. Jego płótna charakteryzują stosunkowo proste podziały, delikatność i jednocześnie swoista zgrzebność w sferze kolorystycznego wyrazu, jak też swoista surowość i powściągliwość w warstwie przedstawieniowej dzieła. Forma i treść jawią się jako nadzwyczaj oszczędne i być może przez to wyjątkowo wyraziste, mocne w swoim estetycznym oraz ideowym przekazie. Pod jego pędzlem także abstrakcja nie jest, jak to się dość często dzieje, tylko zamalowaną pustką po wartościach.

W dziełach Czwartosa zło i dobro mają tak swój osobowy kontur, jak też swoją cywilizacyjną czy kulturową konotację: to Niemiec – nazista, to ubecki oprawca, a to jego ofiary: Witold Pilecki, Zygmunt Szendzielarz, ks. Władysław Gurgacz „Sem"… Towarzyszy im pozornie beznamiętna obecność cyfr, liter, geometrycznych figur i rozmaitych religijnych oraz wanitatywnych symboli; pozorna ona, gdyż – bywa – iż w rzeczy samej częstokroć wieje od nich grozą, idzie milczący krzyk, a czasami – jak w znaku krzyża – przesłanie trudnej nadziei. One wszystkie składają się na jedyną, acz przecież nie wyłączoną z naszego wspólnotowego doświadczenia ikonosferę Czwartosowych obrazów. Zawiera ona w sobie zarówno tajemne szyfry indywidualnej egzystencji, jak i ojczyźniane oraz cywilizacyjne kody, przemawia konkretnością historycznego zapisu i ujmuje swoim transcendentalnym nakierowaniem.

SZTUKA Z MORALNYMI ZOBOWIĄZANIAMI

Czwartos uprawia sztukę, która pragnie nieść ze sobą nie tylko czysto estetyczne, lecz także moralne zobowiązania. On nawet abstrakcji nie pozostawia samej sobie ani też figuratywizmu nie oddaje temu, co się mieści jedynie w horyzoncie naszej ziemskiej doraźności. Krakowski malarz spotyka je w przestrzeni takiego piękna, które zapytuje o sens ludzkiego zamieszkiwania zarówno tu i teraz, jak i w wieczności. Obraz po obrazie, jakby strona po stronie wytrwale maluje swoją Księgę Trwania i Wytrwania: wytrwania przy wartościach, przy mądrze praktykowanej tradycji, przy realności ludzkiego doświadczenia, przy żywych i pomordowanych; tak przy już uczczonych w naszych sercach i na kartach historii, jak skazanych na nieobecność, gdyż – jak zauważył rosyjski myśliciel i filolog Michaił Bachtin w dziele „Rabelais i Gogol" – „iść naprzód może tylko pamięć, nie zapomnienie".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest historykiem literatury, krytykiem sztuki, eseistą i poetą.

eprasa.pl 2267720789

Profesor opuszcza scenę

Piotr Gociek

Za rolę w „Dream Scenario" Nicolas Cage otrzymał nominację do Złotego Globu. Zasługuje na Oscara, a sam film – na naszą zdwojoną uwagę

Trudno lubić prof. Paula Matthewsa. Można szanować i doceniać jego dokonania: stała i dobra posada, dom, wspaniała żona, cudne dzieci. Ale równie dobrze można się zastanawiać, jak zdołał to wszystko osiągnąć, skoro robi wrażenie fajtłapy. Spokojny, na granicy nieśmiałości, trochę ciapowaty, niespecjalnie szanowany przez studentów czy przełożonych, ożywia się, gdy rozprawia o zebrach czy mrówkach. Niby człowiek sukcesu, a jednak przegryw: miejscowa naukowa socjeta nie chce go widzieć na swoich cotygodniowych kolacjach, żona dyryguje nim, jak chce, on sam robi wrażenie człowieka wyzutego z ambicji. A gdy już taka ambicja się w nim budzi, to sytuacja okazuje się jeszcze gorsza, nie ma bowiem gorszego rodzaju przegrywa od tego, który winą za swe niepowodzenia obarcza wszystkich dookoła.

WYZWANIE NA MIARĘ TALENTU

Zaskoczenie pierwsze: w filmie „Dream Scenario" (właśnie na ekranach polskich kin) rolę grzecznego safanduły gra aktor kojarzony raczej z jazdą bez trzymanki, szalonymi wyzwaniami i aktorskimi szarżami, czyli Nicolas Cage. W ostatnich latach dał nam wiele znakomitych kreacji, jedna bardziej pokręcona od drugiej: „Mandy", „Świnia", „Kolor z przestworzy". Nie bał się zakpić z samego siebie w „Nieznośnym ciężarze wielkiego talentu". A zarazem zarabiał w koszmarnych B-klasowych fabułach („Ju Jitsu", „W środku burzy"), cierpliwie odpracowując swój dług wobec amerykańskiej skarbówki. Prawda jest jednak taka, że gdy mu się chce – albo gdy dostanie choć skrawek dobrej roli – potrafi wypaść dobrze nawet w kiepskim filmie. Dowodem „Więźniowie Ghostland" czy „Stara szkoła".

Chcę przez to powiedzieć, że Nicolas Cage jest ostatnim człowiekiem, którego spodziewalibyśmy się zobaczyć w roli prof. Matthewsa. Idealny byłby, bo ja wiem… Paul Giamatti? Cage jednak wie, co robi, i nie bez powodu opowiada w wywiadach, że „Dream Scenario" to najbardziej Cage'owaty film, jaki można sobie wyobrazić. „Cage'owaty", czyli nieoczywisty, ryzykowny, zaskakujący. Wyzwanie na miarę talentu faceta, który zaczynał doskonale (któż jeszcze pamięta jego Oscara za „Zostawić Las Vegas"?), a potem stał się człowiekiem memem. Po drodze zaliczając jeszcze stacje „gwiazda kina akcji" oraz „zmarnowany talent". Wyszedł z tego wszystkiego silniejszy niż kiedykolwiek, ufny w swoje siły. Cokolwiek by o nim mówiono – potrafi zagrać wszystko. I niczego się nie boi.

Wróćmy do prof. Matthewsa. Spełnienie marzeń może okazać się przekleństwem i tak staje się w przypadku ciapowatego biologa. Pewnego dnia zaczyna pojawiać się w cudzych snach. Dlaczego? Po co? Nie wiadomo. Jedno jest pewne: fenomen rozprzestrzenia się błyskawicznie, na tyle szybko, by poważana agencja PR zainteresowała się Matthewsem. Oto bowiem człowiek, który w ciągu kilku nocy stał się sławny. Dodajmy: sławny z tego, że jest. Nic więcej. Co zresztą niepomiernie gryzie nieszczęsnego profesora: w snach, w których występuje, dzieją się rozmaite niesamowite rzeczy, natomiast on

eprasa.pl 2267720789

„Dream Scenario" to najbardziej „Cage'owaty" film, jaki można sobie wyobrazić FOT. MATERIAŁY PRASOWE

sam po prostu jest. Stoi. Przechadza się. Patrzy. Nie robi nic.

Jednak w dzisiejszych czasach, by być sławnym, nie trzeba czegoś robić, wystarczy być – byle w głowach odpowiednio dużej liczby osób (kpina ze współczesnych kanałów dystrybucji prestiżu celna i przez twórców filmu zamierzona). Profesor Matthews nie rozumie fenomenu, który go dotknął (nikt tego nie rozumie), ale zamierza wykorzystać swoje pięć minut. Stał się bowiem gwiazdą, którą wszyscy rozpoznają. Gdyby zechciał, mógłby nawet reklamować Sprite'a (dostanie taką propozycję). Tylko jak sprawić, by przyśnić się komuś z reklamowym przesłaniem?

Nagła sława rzadko czyni człowieka milszym i bardziej otwartym. Profesor Matthews też nie zmieni się na lepsze. W dodatku rodzina okaże się równie nieprzygotowana na nagłą zmianę, zwłaszcza gdy zaczną ją prześladować wariaci roszczący sobie prawa do człowieka ze swoich snów. Chcąc nie chcąc, stał się bowiem Matthews osobą publiczną. Ale dlaczego jego własna żona nigdy o nim nie śniła?

Ktoś może zapytać: Ale cóż w tym wszystkim takiego odważnego i dziwnego? Po co do roli profesora znanego z tego, że jest znany, konieczny był Nicolas Cage? Wybaczcie, że ujawnię jeden z punktów zwrotnych: otóż zrządzeniem losu (czy tylko losu – to kwestia do debaty) miły Matthews zamieni się w bohatera koszmarów. A skoro norweski reżyser Kristoffer Borgli zdecydował, że pokaże w filmie dobre sny, to nie mógł pominąć i tych złych. A do ról psychopatycznych prześladowców Cage nadaje się jak mało kto. Szczerze – jest jednym z bardzo nielicznych aktorów (o ile nie jedynym), którzy z równym oddaniem wcielają się i w milutką, i w zbrodniczą wersję swojego bohatera. Od pewnego momentu za każdym razem, gdy widzimy, jak Matthews miękkim głosem skarży się na jakieś wyimaginowane krzywdy, zastanawiamy się, czy za tą fasadą normalności nie kryje się coś naprawdę mrocznego. A jeśli ten mrok jest realny, to czy zawsze tam był? Czy życie spokojnego profesora było tylko fasadą i każdy z nas nosi w sobie zabutelkowane demony? A może nie, za to każdy jest w stanie zamienić się w krzywdziciela, jeśli poczuje się zbyt zraniony, zlekceważony, porzucony?

„Dream Scenario" daje okazję do rozmaitych interpretacji. Jest satyrą na świat współczesnych mediów (zwłaszcza społecznościowych) i mechanizmów kreowania celebrytów. Jest kpiną z politycznej poprawności (nie trzeba będzie długo czekać, by bogu ducha winny Matthews stał się ofiarą cancel culture). Jest nieprzyjemną psychodramą małżeńską, niemalże bergmanowską w duchu, bo choć opowieść o relacji Matthews – żona (grają Julianne Nicholson) wygląda na czysto komediową, to niemal od samego początku czujemy, że jest w tym związku coś głęboko nieszczerego, jakieś gigantyczne pokłady niewypowiedzianych frustracji, żalu i zabitych marzeń. A także tęsknota za czymś prostym, pięknym i czystym: miłością, która kiedyś była prawdziwa? Miłością, która była złudzeniem, którego realność pospołu sobie wmówili?

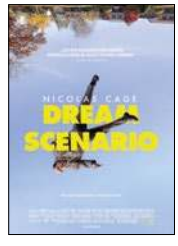

REŻ. KRISTOFFER BORGLI „DREAM SCENARIO" USA 2023

REGUŁY RZĄDZĄCE ŚWIATEM

Nade wszystko zaś Kristoffer Borgli przekazuje nam bardzo niepokojące spostrzeżenie na temat reguł rządzących dziś światem. Nieważne, kim jesteś naprawdę, liczy się tylko to, w jaki sposób jesteś postrzegany. Oznacza to, że wszyscy w każdej chwili możemy stać się bohaterami lub ofiarami bez kiwnięcia palcem. Nasze życie nie należy już do nas. Profesor Matthews na naszych oczach przejdzie drogę od bohatera zbiorowej wyobraźni, przez wroga publicznego numer jeden, do idola wąskiej grupy fanów. A przecież niezależnie od tego, jak go widzą i piszą, wciąż jest tym samym nijakim, nieciekawym, nieszczęśliwym nikim.

Ponadto – kolejny powód, by podziwiać scenariusz i kreację Nicolasa Cage'a – tyleż samo razy co współczucie pojawia się w głowie widza irytacja. Profesor Matthews marzył o sławie i cierpi, bo jego marzenie spełniło się w sposób bardzo okrutny. Ale czyż nie jesteśmy wszyscy kowalami własnego losu? Czy nie trzeba było o swoich wielkich osiągnięciach naukowych, uniwersyteckiej sławie i marzeniu o zostaniu już nie tylko kimś, lecz także Kimś myśleć wtedy, gdy się własną przyszłość wykuwało? Owszem, świat pełen jest ludzi, którym się nie udało, ale można ich podzielić na tych, którzy próbowali, i tych, którzy nie odważyli się spróbować. Profesor Matthews należy do tych ostatnich. Domyślać się możemy, że ten brak ambicji był czymś, co w pewnym momencie odpowiadało obojgu małżonków, z widocznej na ekranie dynamiki związku wynika, że w tej relacji to pani nosi spodnie.

Ekranowa tęsknota za tym, co prawdziwe i nie do zmanipulowania, pozostaje tajemnicą, której nie przenikniemy. Bo co właściwie w świecie Matthewsa było prawdziwe? „I tylko sny nasze nie zostały upokorzone" – puentował Zbigniew Herbert swój wiersz „Raport z oblężonego miasta". Otóż zostały. To pokazuje nam film „Dream Scenario", bardzo poważna komedia, bardzo zabawna tragedia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2267720789

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

prime video

Białe i czarne

★★★★★☆

SEZON 2
„REACHER"
USA 2023

wyst. Alan Ritchson, Serinda, Swan, Robert Patrick

Jack Reacher powrócił – ku radości widzów i zadowoleniu krytyków. Oto triumf formuły, którą przed laty obmyślił jego twórca, Lee Child. Powieści o bezdomnym i samotnym pogromcy zbrodni podbijają serca czytelników od 1997 r., powstało ich już niemal 30.

Pierwszy sezon serialu Amazona był ekranizacją pierwszej powieści „Poziom śmierci". Sezon drugi wziął za podstawę 11. tom serii („Bad Luck and Trouble") znany w Polsce jako „Elita zabójców". Reacher skrzykuje stary zespół śledczy żandarmerii wojskowej, by rozwikłać zagadkę śmierci dawnego towarzysza broni. Ciało tego ostatniego znaleziono na pustkowiu, ktoś zabił go, zrzucając z helikoptera, wcześniej zaś okrutnie torturował. Wkrótce okazuje się, że dwóch kolejnych podwładnych Reachera również zamordowano. Następny zniknął w tajemniczych okolicznościach, w dodatku figurował na liście płac pewnej podejrzanej firmy. Czy jest ofiarą czy sprawcą?

Skorumpowani policjanci, prywatni producenci broni, lobbyści i politycy, bezwzględni terroryści – dzieje się. A przy okazji zaglądamy w wojskową przeszłość Reachera, którego ponownie – i z równe wielką charyzmą co poprzednio – gra Alan Ritchson. Akcja jest wartka, zagadki się piętrzą, a fani popkultury dostają ekstraciasteczka – jak wtedy, gdy Robert Patrick mówi, że nie ma pojęcia, kim jest Sarah Connor (Patrick w serialu gra szefa ochrony firmy zbrojeniowej, ale w „Terminatorze 2" był przecież złowrogim robotem model T-1000, ścigającym Sarah Connor).

Twórcy serialowej wersji przygód Reachera zachowują ducha literackiego oryginału, ale modyfikują pewne elementy. Już przy okazji pierwszego sezonu dało się zauważyć, że wędrowny mściciel inaczej traktuje kobiety (inaczej: znaczy bardziej po partnersku). W drugim sezonie to silne panie nadają ton opowieści. Reacher nie jest tak samotny jak zwykle, ale dzieje się to z korzyścią dla widowiska. Reszta pozostaje bez zmian: dawny major wojskowej żandarmerii to wciąż bezwzględna maszyna do zadawania bólu, obdarzona niezachwianym pionem moralnym i niebywałym talentem do pakowania się w kłopoty. Białe jest białe, czarne jest czarne, niewinnych trzeba chronić, bandytów karać. Wbrew politycznym modom wciąż takie historie sprzedają się najlepiej. ©℗

NOWE SERIALE: „STRÓŻE PRAWA: BASS REEVES" sky SHOWTIME

Pierwszy sezon antologii serialowej wymyślonej przez Taylora Sheridana, twórcę „Yellowstone" czy „Tulsa King". Każdy sezon poświęcony ma być innemu bohaterowi Dzikiego Zachodu; na pierwszy ogień życie i czyny Bassa Reevesa, czarnoskórego szeryfa federalnego, który schwytał w trakcie trwającej ponad trzy dekady kariery ok 3 tys. bandytów – i zabił 14. David Oyelowo jako Reeves, na drugim planie Dennis Quaid i Donald Sutherland. ©℗ ***Piotr Gociek***

- *sezon 1* ***„Stróże prawa: Bass Reeves" („Lawmen: Bass Reeves"),*** *USA 2023*

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- *sezon 1* ***„Berlin" („La casa de papel: Berlin"),*** *Hiszpania 2023* N
- *miniseria* ***„Echo",*** *USA 2023* Disney+
- *miniserial* ***„Polonia Warszawa. Kiedyś to było",*** *Polska 2023* CANAL+ ONLINE

eprasa.pl 2267720789

Skłamię tylko raz

VOD MDAG.PL

Film to oszustwo. Alfred Hitchcock był genialnym blagierem. Manipulował widzami, jak chciał, tumanił i przestraszał. Potrafił też przekabacić szefów wielkich wytwórni, zwykle niechętnych wyrafinowanym pomysłom. Mark Cousins, który już wcześniej udowodnił, że wiedzę o historii X muzy ma w małym palcu, sporządził osobliwy przewodnik po twórczości reżysera, który wciąż zdaje się zza grobu wpływać na kierunek rozwoju kina. Lubicie seanse spirytystyczne? Hitchcock 100 lat po nakręceniu pierwszego niemego filmu wraca z zaświatów, by skorygować ustalenia biografów („coś im umknęło"). Jeśli ktoś uwielbia powtórki z rozrywki, to może poczuć się zawiedziony.

Nie usłyszy ani słowa o suspensie i MacGuffinie. Nie pojawi się również wałkowany w mediach wątek gnębienia aktorek (nad sponiewieranymi aktorami nikt się jakoś nie roztkliwia). Już na wstępie tytułowy bohater ostrzega, że skłamie – ale tylko raz.

Cousins miał pomysł na zaskakujący finał, ale przesadził z metrażem. Dwugodzinny dokument, rozkminiający sześć wybranych aspektów życia i pracy Hitcha (takich jak eskapizm, obsesja czasu i jego upływu czy zakamuflowane pożądanie), trudno pochłonąć jednym haustem. Mistrz nie popełniłby takiego błędu. Wiedział, że widz potrzebuje chwili wytchnienia choćby po to, by móc uruchomić własną wyobraźnię. ©℗

Wiesław Chełminiak

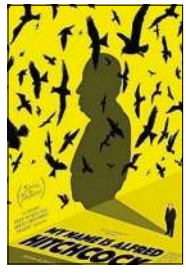

★★★★☆☆

REŻ. MARK COUSINS
„NAZYWAM SIĘ ALFRED HITCHCOCK" („MY NAME IS ALFRED HITCHCOCK")
WIELKA BRYTANIA 2022

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

JAŁOWA ZIEMIA

HBO max

Posępne wizje przyszłości mnożą się jak króliki m.in. dlatego, że trudno je zweryfikować. Sprawcy ekranizacji „Ludzkich dzieci" przesadzili, wyznaczając datę początku końca świata na rok 2009. Akcja rozgrywa się 18 lat później, gdy plaga bezpłodności odebrała już mieszkańcom Ziemi resztki nadziei. Inne zagrożenia wytypowano trafniej. Pandemie i nielegalna imigracja faktycznie wstrząsają Europą. Na bezbolesne zestawy dla samobójców, powrót biczowników i totalitarne rządy odpowiadające terrorem na terror będziemy jednak musieli poczekać dłużej, niż sądziła P.D. James. Wizja spsiałej Wielkiej Brytanii robi wrażenie, kluczowe sceny zostały nakręcone w jednym długim ujęciu, aktorzy się starają. Niestety, fabuła grzeszy brakiem logiki. A gdyby tak polska kinematografia podniosła sztandar, upuszczony przez Piotra Szulkina? Scenariusz można zamówić u czarnowidza Krzysztofa Jackowskiego. ©℗

★★★☆☆☆

REŻ. ALFONSO CUARÓN
„LUDZKIE DZIECI" („CHILDREN OF MEN")
WIELKA BRYTANIA/USA/JAPONIA 2006

wyst. Clive Owen, Michael Caine, Clare-Hope Ashitey

BYSTRY JAK POLICJANT

KINO

Wierzycie, że Francuz nie widzi dalej niż czubek własnego nosa? Obejrzyjcie „Superagenta" i przekonajcie się, że jest dokładnie odwrotnie. Twórcy tej komedii znają dokonania anglojęzycznej konkurencji na tyle dobrze, by je parodiować. Lista jest długa – od „Poszukiwaczy zaginionej Arki" i „Mission: Impossible" do „Terminatora" oraz filmów z Bondem. Na szczęście śmieją też sami z siebie. Pełen zapału i mocny w gębie (lecz nie na umyśle) paryski stróż prawa rusza na ratunek porwanej w Meksyku babci. Wspierają go narzeczona i koledzy z pracy. Ścigają służby specjalne, którym podwędził sprzęt. Dowcipy są raz lepsze, raz gorsze, lecz ekipa realizacyjno-aktorska jest zgrana nad wyraz, gdyż ma na koncie już sześć takich produkcji. Lacheau wspaniałomyślnie odstąpił fotel reżysera i główną rolę koledze. W epizodzie błyszczy Rossy de Palma, ongiś muza Almodóvara. Banderas tym razem się nie załapał. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★☆☆☆

REŻ. TAREK BOUDALI
„SUPERAGENT" („3 JOURS MAX")
FRANCJA 2023

wyst. Tarek Boudali, Philippe Lacheau, Vanessa Guide

GRA TYGODNIA: „AVATAR: FRONTIERS OF PANDORA"

Tym nas oczarował pierwszy „Avatar" Jamesa Camerona, od tego zacznę tę recenzję: jak to świetnie wygląda! Grając w „Frontiers of Pandora", można poczuć się jak w kinie. Przepiękny otwarty świat to jednak nie wszystko, co w tej grze może się podobać, bo cała reszta – włączając w to również fabułę – stoi na odpowiednio wysokim poziomie. Podchodziłem do gry bez oczekiwań, kończyłem z żalem, że przygoda nie potrwa dłużej. Nie wyrzuciłem z głowy po odłożeniu pada. Bardzo pozytywne zaskoczenie końcówki ubiegłego roku. ©℗

Radosław Wojtas

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★☆☆

- ***Gatunek:*** *akcji*
- ***Platforma:*** *PS5, XSX, PC*
- ***Producent; wydawca:*** *Massive; Ubisoft*

eprasa.pl 2267720789

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Droga przez mękę

Jeszcze w latach 20. zeszłego wieku hrabia Aleksy Tołstoj zaczął pisać swoją, nagrodzoną przez Stalina, trylogię „Droga przez mękę". Przypomina się tytuł tej zakłamanej prozy w trakcie lektury „Eszelonu do Samarkandy" Guzel Jachiny, nie żadnych podszytych ideologicznie wypocin, ale prawdziwej „Drogi przez mękę", rzeczywistego „Chożdienia po mukam".

Akcja powieści rozgrywa się w 1923 r. Jej bohater, Diejew, choć młody wiekiem, jest weteranem wojny domowej. Otrzymuje rozkaz przewiezienia 500 dzieci (od 2 do 12 lat) z głodującego Powołża do Samarkandy. Żywności ma na trzy dni, przy wydawaniu nędzarskich racji na pięć. A podróż mająca trwać dwa tygodnie, może trzy, w istocie przedłuży się do półtora miesiąca.

Towarzyszący Diejewowi w tej drodze stary, doświadczony felczer prorokował, że nie dowiezie do Samarkandy nikogo, bo będzie, kryjąc się przed pozostałymi, grzebał zmarłe dzieci przy torach, przysypywał je ziemią, żeby ich psy nie zjadły: „Wszystko odbędzie się w ciszy i spokoju. Najpierw nie obudzi się jeden, potem drugi, trzeci… Pierwsi już przed Arzamasem, inni pod Samarą albo Oldenburgiem. Do Samarkandy nie dojedzie nikt". Dojechało 500, a nawet 501, bo przybyło jedno dziecko, nowo narodzone, znalezione przy drodze. Może niekoniecznie były to te same dzieci, które wywiózł z głodującego Kazania, bo uzupełniał skład swego eszelonu zabranymi po drodze półtrupami, często przynoszonymi przez rodziców błagających, by je zabrał, bo tu umrą na pewno. Więc zabierz je, Diejew – prosili – gdziekolwiek, „choćby do Chin, choćby do tej przeklętej Ameryki".

Od samego początku walczył dosłownie o wszystko. Począwszy od tego, jak dzieci z przytułków dostarczyć do czekających na torze wagonów. Skąd wziąć buty dla nich, skoro cały Kazań chodził w łapciach i w chodakach z konopnego sznura, „w czasie deszczu nakładano drewniane kopyta – kawałki drewna z paskami – żeby przejść przez kałuże". A przecież dzieci musiały jakoś dotrzeć do pociągu. Wydębił to obuwie od wojska, właściwie wypożyczając je na godziny. Żołnierze sami z siebie, gdy dowiedzieli się, że to dla bezdomnych, głodujących dzieci, dokładali zdejmowane z ciał koszule. I Diejew nosił potem te koszule naręczami, „zmięte, brudnobiałe, połatane i pocerowane, absolutnie doskonałe koszule". Bezcenne.

Walczył o każdą dodatkową łyżkę strawy, o lekarstwa, o zgodę na przejazd; żebrał, groził, szantażował, czepiał się klamek partyjnych czytelników i, ryzykując życie, bezwzględnych enkawudzistów. Ku swemu zdumieniu otrzymywał pomoc od wrogów, od kontrrewolucjonistów czy nawet tych, których miał za pospolitych bandytów.

Bez ustanku myślał „o chłopczynie z jednym uchem, o ślepej Marchum z białymi oczami, o malcu w aksamitnej kamizeli, o Czuwaszu Sieni. Myślał i wiedział, że nie może ich zostawić". Odnośnie do Czuwasza, to zbierał on ze swego ciała owady i zjadał je. Napomniany, by tego nie robił, tłumaczył, że w przeciwnym razie to one go zjedzą.

Był Diejew człowiekiem prostym, lubił życie, za to nie lubił, a nawet nienawidził śmierci. A przecież żył wśród śmierci i śmierć zadawał. Czy ten transport dzieci, którym życie darował, dla których wyszarpał je ze swoich i cudzych trzewi, był formą ekspiacji za zło, które uczynił i jako krasnoarmiejec, i jako członek osławionych oddziałów rekwizycyjnych? Nie wiemy tego na pewno. W książce Guzel Jachiny wyczuwa się nutę współczucia dla młodego sowieckiego państwa, na które zwaliła się cała fura nieszczęść, bo żeby tylko komuna z całym swoim „dobrodziejstwem", żeby jedynie „biali" interwenci, a także epidemia „hiszpanki", i tyfus, i ten straszny wszechobecny głód. Dlaczego tak się działo, Diejew nie wiedział. Dlaczego śmierci i bólu zawsze było pod dostatkiem, a życia „odrobina"? Ale żeby ta odrobina nie sczezła, jednoczyli się dawni i obecni wrogowie, okazywali swoje nieoczekiwanie ludzkie oblicze zakamieniali zdawałoby się wrogowie. I w tym sensie ta wstrząsająca książka jest optymistyczna.

Autorka „Eszelonu do Samarkandy", urodzona w Kazaniu w 1977 r. Guzel Jachina, jest z pochodzenia Tatarką. Cztery lata temu oficyna Noir sur Blanc wydała jej debiutancką powieść „Zulejka otwiera oczy", a napisała jeszcze „Dzieci Wołgi". Wszystkie te, powstałe w języku rosyjskim tytuły odnoszą się do pierwszych lat Sowietskowo Sojuza i tragicznego życia w porewolucyjnej Rosji. I w tamtym czasie, najpodlejszym z podłych, możliwe było czynienie dobra. Bo dzieci, których egzystencja wisiała na włosku, otrzymały szansę przeżycia. Zostały uratowane przez takich jak Diejew, jak jego pomocnicy. A oni tak naprawdę nie ratowali nikogo innego, tylko siebie samych. ©℗

★★★★☆

GUZEL JACHINA „ESZELON DO SAMARKANDY" NOIR SUR BLANC, WARSZAWA 2023

eprasa.pl 2267720789

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Diabelska alternatywa

Prawda czy fikcja? Historycy się spierają (i mówią: raczej fikcja), czytelnicy dostają kontrowersyjną lekturę. George Elford swoją powieść upozorował na wspomnienia byłego oficera Waffen-SS, który uszedł cało z frontu wschodniego i zaczął nowe życie, acz w starym fachu. Hans Josef Wagemueller, doświadczony w zwalczaniu sowieckiej i czeskiej partyzantki, zaciąga się do Legii Cudzoziemskiej i trafia do zielonego piekła Indochin. Dalej walczy z komunistami, teraz u boku sił ekspedycyjnych próbujących ocalić resztki imperialnej chwały Francji.

Dla mieszkańców naszej części Europy odstręczający musi być pomysł, by bohaterem uczynić osobnika, który wedle wszelkich praw jest po prostu nazistowskim zbrodniarzem wojennym. Ponadto historia Wagemuellera nie ma na celu jego wybielania. Idzie po pierwsze o opisanie wojny jako takiej – więc jest „Diabelska gwardia" książką ponurą, surową i okrutną. Po drugie, jest to okazja do zadania niewygodnych pytań na temat tego, jak ma wyglądać pewien szczególny rodzaj wojny: pacyfikacja partyzantki.

Sięgałem w trakcie lektury pamięcią do świetnej książki Martina van Creveld, cenionego ekspera do spraw militarnych. W „Zmiennym obliczu wojny" pisał on o tym, jak fatalną sytuacją jest dla silniejszego przeciwnika prowadzenie wojny z guerillą. Van Creveld dowodził, że wygranie takiego asymetrycznego konfliktu jest właściwie niemożliwe: im dłużej trwa, tym staje się trudniejsze. Hegemon wyczerpuje siły i cierpliwość, insurgenci zyskują doświadczenie, upór i męczenników. Jedyny sposób to przesadnie krwawe uderzenie na początku, by zdusić bunt w zarodku. We współczesnym świecie nikt się na to nie odważy. Jedynym chętnym był Putin, który spacyfikował Czeczenię przez masowe ludobójstwo, ale i to zajęło Rosji wiele lat. Przypomnę: izraelski ekspert nie rozważa kwestii moralnych, lecz analizuje doktryny wojenne.

Elford wydał swą książkę w roku 1971, gdy trwała wojna w Wietnamie, a karierę w mediach zrobił cytat z wypowiedzi anonimowego majora US Army: „Okazało się, że aby uratować miasto, trzeba było je zniszczyć". „Diabelska gwardia" od lat uznawana jest za jedną z najważniejszych lektur militarnych na temat natury konfliktu asymetrycznego, masowo czytana była przez amerykańskich żołnierzy w Iraku. ©℗

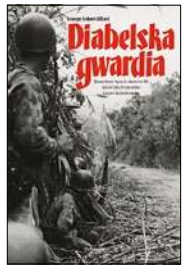

★★★★☆☆

GEORGE ROBERT ELFORD „DIABELSKA GWARDIA" DEREGGIO 2023

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Autor bestsellerowych biografii przez dwa lata rozmawiał ze słynnym inwestorem i wizjonerem, jego rodziną, przyjaciółmi, współpracownikami. Powstał barwny i obszerny portret nie tylko człowieka, lecz także epoki.

WALTER ISAACSON „ELON MUSK" INSIGNIS

Metropolita łódzki to także autor kilkunastu książek; najnowsza z nich to wybór homilii, których bohaterami są wybrani święci, a także powiązanych z nimi wcześniejszych publikacji kardynała prezbitera.

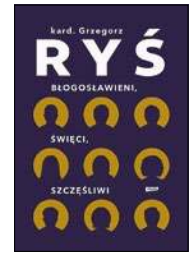

KARD. GRZEGORZ RYŚ „BŁOGOSŁAWIENI, ŚWIĘCI, SZCZĘŚLIWI" ZNAK

W hołdzie Lemowi, Dukajowi i Wattsowi: po ekoapokalipsie niedobitki ludzkości szukają sposobu na ocalenie dziedzictwa. Dobrze wymyślone, nieco gorzej napisane, ale miłośnicy hard SF powinni przeczytać.

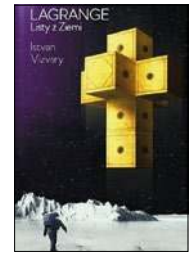

ISTVAN VIZVARY „LAGRANGE. LISTY Z ZIEMI" WYDAWNICTWO IX

Spotkanie świąteczne niespodziewanie otwiera drzwi wiodące w przeszłość. I tak oto współczesna rodzina z pomocą sztucznej inteligencji śledzi życie młodego Fryderyka Chopina. Urocze i wciągające!

recenzuje Piotr Gociek

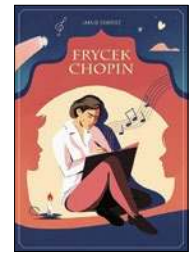

JAKUB SKWORZ „FRYCEK CHOPIN" ZYK I S-KA

KOMIKS TYGODNIA: „OGIEŃ"

„Nie byłem dobrym rodzicem ani dobrym człowiekiem – wyznaje znany architekt Aleksander Yorba – ale za to zawsze nieźle wychodziło mi budowanie". W obliczu kosmicznej zagłady grożącej naszej planecie to Yorba może dokonań niemożliwego: uratować wszystkich. Ale czy dzieła ludzi ułomnych nie są tym samym skazane na ułomność? Imponująca medytacja w formie komiksu SF, sensacja roku 2022 w Hiszpanii.

Piotr Gociek

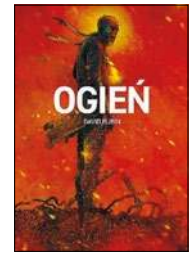

DAVE RUBIN „OGIEŃ" MADIOCA 2023

eprasa.pl 2267720789

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Śląska ars moriendi

Nagrobne pomniki pojawiły się na Śląsku dopiero w XIII w. Najwcześniejsze płyty nagrobne, które posiadają przedstawienia figuralne stworzone z metalowych aplikacji są dziś uznawane za zaginione. Najstarszym zachowanym tego rodzaju obiektem jest płyta księcia Bolesława I Wysokiego w Lubiążu.

Płyty nagrobne lokowano w posadzkach. Znak pokory. Miejsce pochówku zależało od pozycji społecznej zmarłego. Wnętrza kościołów zarezerwowane były dla duchowieństwa, ale od XII w. coraz powszechniejsze były pochówki – w ramach przywileju – w świątyniach osób świeckich. Znaczenie miało nie tylko to, jaka to była świątynia (dużym prestiżem cieszyły się np. te kościoły, w których pochowani byli męczennicy lub przechowywane były ich relikwie), lecz także lokalizacja grobu we wnętrzu.

Na fascynującą podróż, w którą zabiera wystawa „Śląska ars moriendi. Średniowieczne metalowe płyty nagrobne", możemy się wybrać jeszcze do drugiej połowy marca. ©℗

GDZIE? *Muzeum Narodowe we Wrocławiu*
KIEDY? *do 24 marca*

FOT. MUZEUM NARODOWE WE WROCŁAWIU

FOT. PAŃSTWOWE MUZEUM ETNOGRAFICZNE

DZIECIŃSTWO

Sześcioro dzieci przychodzących na świat co trzy dekady od końca XIX aż do początku obecnego wieku. Dzielą je czas, przestrzeń, status społeczny, sytuacja materialna. A są to bez wątpienia silne determinanty doświadczenia dzieciństwa. Wystawa podejmuje refleksję nad pytaniem o to, kim jest dziecko, jak jest traktowane przez dorosłych. Jak zmienia się to w czasie, a także w jednym pokoleniu, za sprawą wspomnianych wyżej czynników. ©℗

GDZIE? *Państwowe Muzeum Etnograficzne*
KIEDY? *do 31 maja*

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Muzyka na cztery

Album ukazał się prawie rok temu i zapewne nie napisałbym jego recenzji, gdyby nie okazało się, że jest to jedna z najlepszych ubiegłorocznych płyt według światowych krytyków. Podsumowanie sezonu sporządza co roku strona www.albumoftheyear.org, dodając listy krytyków z najbardziej renomowanych pism muzycznych. Wynik jest druzgoczący dla recenzentów takich jak ja. Wstyd się przyznać, ale większości wykonawców ze zwycięskiej pięćdziesiątki po prostu nie znałem. Płyt rockowych w tym zestawieniu praktycznie nie ma. Honoru sceny niezależnej broni PJ Harvey (13.) i Slowdive (20.).

Przesłuchałem większość wyróżnionych płyt. Dominują taneczne produkty wszelakiej maści od teen-popu i nu-disco, przez hip-hop, do art-pop. Do tej ostatniej kategorii zalicza się album Karoliny Polachek, która najbardziej znana jest z pisania piosenek dla Beyoncé i Solange. Jej płyta jest momentami interesująca, ale na tanecznej scenie lat 90., do której nawiązuje, raczej wielkiej kariery by nie zrobiła.

Wnioski z analizy najlisty 2023 są dwa. Po pierwsze, nastąpiła generacyjna zmiana wśród piszących. Po drugie, dla tego pokolenia poprawność jest ponad muzykę. Wśród najlepszych 20 krążków tylko cztery są autorstwa białych samców. Zapewne jestem homofobicznym mizoginem, tylko ile można tańczyć, kiedy „Do Rzeczy" straszy trzecią wojną światową. ©℗

★★★★☆☆
CAROLINE POLACHEK
„DESIRE, I WANT TO TURN INTO YOU"
PERPETUAL NOVICE

★★★★☆☆
KWIAT JABŁONI
„POKAZ SLAJDÓW"
UNIVERSAL
Tak samo miło, tak samo bezpiecznie i przewidywalnie. Fajne wokalne harmonie, miło plumkająca mandolina i motoryczne pianino. Wystarczają uśmiech i szczere wykonania, by wyprzedać hale w całej Polsce. ©℗

★★★★☆☆
ANITA LIPNICKA
„ŚNIENIE"
DARK GRAY
„Śnienie" to zbiór opowieści z pogranicza światów" – tłumaczy autorka. Po czterech latach przerwy, na ósmym albumie, Lipnicka wciąż szuka tej jedynej, prawdziwej miłości. Jest jak zwykle nostalgicznie, aranżacje miło kołyszą, a głos Anity koi wszelkie smutki. ©℗

eprasa.pl 2267720789

Przystanek koło zoo

Krzysztof Masłoń

Tego, że nastąpią zmiany, można się było spodziewać, ale aż tak rewolucyjnych nikt w barze Pod Antenką nie oczekiwał

W najczarniejszych snach nie mogłem przewidzieć, że jak za komuny polewać będę gorzałkę spod stołu – wyraźnie przygnębiony Wsiowy Sceptyk napełniał szkło zakupioną w Dino czyściochą, nie zważając na dobiegające zza bufetu znaczące pochrząkiwania Złodzieja Korony Polskiej. Odkąd karczmarz na frontowej półce nad szynkwasem poustawiał flaszki z Belugą, przeplatając je Sienkiewiczem, przystąpiliśmy bowiem do bojkotu oferowanych przez niego wysokoprocentowych trunków. Piwa z kija, owszem, nie odmawiamy, bo jest tak samo obrzydliwe jak za dobrej zmiany, a gorzałę czymś popchnąć trzeba, żeby się nie zadławić. Ale żeby Belugą gardła czyścić? Co to to nie. Jeszcze tego brakowało, żeby nas oberżysta ośmiorniczkami zaczął skarmiać, a nie – jak dotąd – kaszanką drugiej świeżości.

Trzeba oddać sprawiedliwość obrzydliwie serwilistycznemu Złodziejowi, że próbował się stawiać, grożąc odłączeniem Telewizji Republika, którą przyswajamy z na nowo zainstalowanego nad barem odbiornika wiadomości z drzewa dobrego i złego.

– Jakbyście zachowywali się jak cywilizowani ludzie, a nie jak pisowska szarańcza – mamił obietnicami – podłączyłbym wam Netflix…

– Wsadź se go – zaproponował Pan Gienio.

– A słyszeliście, co powiedział premier o serialu „1670”? – Złodziej Korony Polskiej zawiesił głos, by po chwili z nabożeństwem w głosie wyrecytować: „Dawno nie widziałem tak trafnego obrazu części sceny politycznej jak tam. Ja się akurat bardzo ubawiłem. Ale oczywiście tak jak przepisy prawa, tak kwestia poczucia humoru podlega różnym interpretacjom”.

Ponieważ poczucie humoru Tuska znane jest powszechnie, niespecjalnie polemizowaliśmy z prowokatorem zza baru, zauważyłem jedynie, że z pewnością premierowi najbardziej spodobały się prostackie żarty antykościelne, od których w Netflixowej produkcji aż się roi. Zresztą facetowi, który od zawsze twierdził, że polskość to obciach, beka z naszej historii i tradycji musiała przypaść do gustu.

– A moim wnukom też się ten serial podobał – podpuszczał jeszcze Element Antydemokratyczny.

– Nic dziwnego, bo to największe głupki w całej wiosce – przeciął debatę Pan Gienio, wysyłając Elementa po kolejny flakon, bo wódka się kończyła, a Dino zamykano za kwadrans i Złodziej Korony Polskiej już zacierał ręce, licząc na to, że się złamiemy i popróbujemy jednak jego Belugi. Uch, ruska onuca!

– Najgorzej, że jutro będę musiał iść do roboty – użalił się nad sobą Wsiowy Sceptyk i zanucił starą piosenkę Wojciecha Młynarskiego: „W pracy jak w klatce będę spał, / jeszcze bym tylko napis dał: / uprasza się nie drażnić ludzi”. – Ani człowiek w tego sylwestra się nie zabawił, bo tylko o polityce myślał, ani w Nowy Rok nie odpoczął, bo telewizyjni reformatorzy dobili mnie Wajdowym „Wałęsą”…

– A „Halę odlotów” widzieliście? – dopytywał się szynkarz. – I pani Holland była, i pan Seweryn…

– I co: przypier..lał? – dopytywała się ciekawa świata i ludzi Mańka.

– Już nie ma takiej potrzeby. Teraz to on będzie demonstrował swoją nadzwyczajnie wysoką kulturę w programach takich jak „Hala odlotów” prowadzonych przez takich redaktorów jak Katarzyna Janowska czy Maciej Orłoś, wzory uczciwości, rzetelności i dziennikarskiego profesjonalizmu – tokował Złodziej Korony Polskiej.

– A kto tak orzekł? – dopytywała się nadto prostoduszna Mańka, ewidentnie coraz bardziej wlana.

– Jak to kto? Wszyscy!

– Wszyscy? – Pan Gienio aż się ze zdenerwowania zapowietrzył. – Ktoś w końcu te wybory wygrał i, okazuje się, tylko po to, by teraz nam te telewizyjne wzory z Sèvres srały na głowy. Nalej, Złodzieju, po piwie – zaordynował – i podgłośnij pana Rachonia, bo się trzęsę.

Od drzwi rozległ się śpiew Antydemokratycznego Elementa, wkraczającego do baru z napoczętą po drodze butelką: „Już za cztery lata, już za cztery lata…”.

– Rzeczywiście, rok nie wyrok, cztery lata jak za brata – wyraźnie pokrzepiony Wsiowy Sceptyk popisał się erudycją.

– A pamiętacie? – zapytał najstarszy z nas Pan Gienio.

– Zima wasza, wiosna nasza.

– A lato Muminków – spuentowałem.

©℗

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 2267720789

Marek Jurek

Braun, Michnik i inni, którym „się zdaje”

Uprzedzenia potrafią uruchamiać fantazję, a także uwiarygodniać, a nawet legitymować cyniczne wymysły

Poseł Konfederacji Grzegorz Braun po ugaszeniu gaśnicą świec chanukowych w Sejmie
FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

Trudno oczekiwać, by ktoś, kto po prostu „wie, jaka jest prawda”, zgodził się z faktami, które jej przeczą. Skoro „wie, jaka jest prawda”, to wszystkich „prawdziwych faktów” może się już domyślić. A że „zna prawdę” – musi się tym podzielić z szerszą opinią. Oczywiście wie też, jakie fakty ignorować jako „fakty pozorne”. O tej ludowej gnozie pisze się łatwo, gorzej się człowiek czuje, gdy sam staje się nie tylko ofiarą, lecz także „bohaterem” zabobonu. Ja nim bywałem wiele razy, ale tu przypomnę dwa przypadki z czasów, gdy kierowałem Sejmem.

BEZWYZNANIOWY CIEMNOGRÓD SIĘ CIESZY

Lato 2006 r. było upalne, panowała susza. Sejm obradował na ostatnim posiedzeniu przed wakacyjną przerwą. Pod koniec obrad – zgodnie z parlamentarnym zwyczajem – poprosiłem „posła sekretarza o przeczytanie komunikatów”. Sekretarzem był młody poseł PO, Marek Wójcik. Miał wówczas ledwie 26 lat, dziś jest wojewodą katowickim.

Poseł Wójcik zaczął czytać: „W dniu jutrzejszym o godz. 7.30 w kaplicy sejmowej zostanie odprawiona Msza Święta w intencji…”. I w tym miejscu zaczął rechotać. Znałem treść komunikatu, bo chwilę wcześniej przyniosła go nieżyjąca już poseł Lucyna Wiśniewska. Zirytowany więc głupawym zachowaniem sekretarza obrad podpowiedziałem mu „o deszcz”. I poprosiłem, żeby zakończył, więc przeczytał: „W intencji deszczu, zamówiona przez parlamentarzystów Klubu Parlamentarnego Prawo i Sprawiedliwość”.

Miałem wątpliwości, czy komunikat ten powinien być prezentowany na sali obrad, skoro jest znany w klubie. Ale koledzy mieli prawo go przedstawić, więc trudno, bym komunikaty o Mszy cenzurował. Nigdy w ogóle nie przyszłoby mi do głowy, bym jako przewodniczący obrad cenzurował poselskie zawiadomienia, do których prezentacji koledzy mają prawo. Rechot PO i SLD skomentowałem więc krótko: „Wiedzą Państwo, takich reakcji akurat się nie spodziewałem. Zapewniam Państwa, że kpiny z liturgii katolickiej rażą bardzo wielu posłów na tej sali”.

Tamto drobne wydarzenie Adam Michnik uczynił punktem wyjścia swej książki „W poszukiwaniu utraconego sensu”. Zaczął ją w tonie bardzo uroczystym: „Latem zeszłego roku marszałek Sejmu wezwał parlamentarzystów, by udali się do kaplicy w celu wzięcia udziału w modlitwie o deszcz, gdyż Polskę nawiedziła susza. Był to zapewne jedyny taki przypadek w dziejach europejskiego parlamentaryzmu”. Ten „jedyny przypadek” miał dokumentować – a jakże – zanik demokracji wypieranej w Polsce przez teokratyczne rządy PiS. Tyle że „marszałek wzywający posłów” do wyruszenia w procesji „do kaplicy” był czystą inwencją naczelnego „Gazety Wyborczej”, zresztą również byłego posła, który i procedury parlamentarne, i instytucję komunikatów poselskich dobrze zna. O Mszę prosili posłowie, oni złożyli zawiadomienie w sekretariacie Sejmu, ja tylko poprosiłem, żeby uszanowano ich prawo do przedstawienia przygotowanego zawiadomienia.

Wymysł Adama Michnika nie kojarzy mi się jednak z jego zamiłowaniem do wyśmiewania wszystkiego, co jego publiczności wydaje się dziwne i niezrozumiałe, co może uruchomić jej w istocie ksenofobiczne odruchy. Adam Michnik nie chciał bowiem swym czytelnikom zaprezentować ilustratywnego dla własnej tezy faktu, ale szczególne kuriozum! To wydarzenie zawsze nasuwa mi więc skojarzenie dużo bardziej konkretne

eprasa.pl 2267720789

od rutynowych nawyków Michnika. Przypomina mi moment uroczystych obchodów w Jedwabnem, gdy jeden z gości, przybyły z Ameryki były mieszkaniec miasteczka, w swym przemówieniu wspominał powszechnie podziwianego za pobożność rabina, który pewnego razu (a były to czasy drewnianego Mazowsza) swymi modlitwami ocalił miasteczko od pożaru w czasie burzy. Gdy przypominam sobie tego mówiącego ze łzami w oczach człowieka, zawsze mi w uszach dźwięczy antyreligijny rechot liberalnej i lewicowej gawiedzi i uroczyście wtórujący mu redaktor naczelny „Gazety Wyborczej".

Tak, wierzymy w Boga mającego władzę nad naturą. Msza o ustanie suszy nie była moją inicjatywą, o tej inicjatywie w ogóle wcześniej nie wiedziałem. Ale formularz Mszy, która miała być odprawiona, jest częścią liturgii katolickiej. Szacunku dla niej należy się domagać tym bardziej, im łatwiej mogłoby się to spotkać z rechotem bezwyznaniowego ciemnogrodu.

Czytelnicy w tej sprawie nie muszą polegać na mojej relacji. Wymysł Adama Michnika można skonfrontować z faktami na stronie 256 „Sprawozdania stenograficznego z 22 posiedzenia Sejmu Rzeczypospolitej Polskiej w dniu 19 lipca 2006 r. (drugi dzień obrad)". Ale cóż, dla publicystów typu Michnika dokumenty są nudne, jak prawda materialna w ogóle.

POSŁOWI BRAUNOWI „SIĘ ZDAJE"

Dzień przed Wigilią RP 2005 przewodniczyłem Zgromadzeniu Narodowemu, w czasie którego prezydent elekt Lech Kaczyński składał swą prezydencką przysięgę. Przed rozpoczęciem obrad obie pary prezydenckie (państwo Kwaśniewscy i Kaczyńscy) spotkały się w saloniku marszałkowskim. Atmosfera była bardzo miła; prezydentowi Kaczyńskiemu, co mi wielokrotnie wcześniej powtarzał, zależało, by było to wzorcowe przekazanie władzy. I to się, jak sądzę, udało.

Na zakończenie obrad, już po przysiędze prezydenta Kaczyńskiego, zabrałem jeszcze głos: „Panie Prezydencie! Panie i Panowie Posłowie i Senatorowie! Za chwilę będziemy mogli udać się na Mszę Świętą, żeby prosić Boga o błogosławieństwo dla Pana Prezydenta i dla Rzeczypospolitej. Ale najpierw, korzystając z okazji, pragnę wszystkim złożyć serdeczne życzenia szczęśliwych świąt Narodzenia Pańskiego! Niech te świąteczne dni będą dla wszystkich Polaków czasem pokoju i radości, czasem umocnienia naszych rodzin i całego społeczeństwa. Gdy trwać będą święta Bożego Narodzenia, ci z naszych rodaków, którzy wyznają religię żydowską, będą obchodzić święto Chanuki. Również z tej okazji składam najlepsze życzenia świąteczne. Oby nowy rok, który zacznie też nowy etap w dziejach naszej Ojczyzny, przyniósł nam wszystkim radość, pokój, szczęście i był dobrze przeżytym czasem, po którym będziemy mieli poczucie właściwie spełnionego obowiązku".

Do tego skromnego wystąpienia wrócił po swej gaśniczej akcji poseł Grzegorz Braun. W wywiadzie dla Michała Cichego nazwał mnie „inicjatorem fałszywego kultu w murach polskiego Sejmu", bo „zdaje się, że za jego urzędowania pierwszy raz do tego skandalu doszło". Nie wiem, co jeszcze „zdaje się" posłowi Braunowi. Od czasu jego wypowiedzi czytam na swój temat bardzo wiele wymysłów publikowanych przez jego entuzjastów. Chętnie dowiem się, które z nich on sam autoryzuje. Niezależnie od tego (powtórzę – z wielkim zainteresowaniem będę czekał, które z wymysłów na mój temat pan Braun autoryzuje) mam wrażenie, że razi go po prostu banalna skądinąd prawda, same świąteczne życzenia. W cytowanym już bowiem wywiadzie oburza się na „celebrowanie świątecznej atmosfery rzekomego braterstwa i miłości".

Katolicyzm przez całą swą historię traktował judaizm jako bezstronnego świadka prawdy i historii

Oczywiście w pewnej wersji „wolnościowości" sam wymóg szacunku jest już ograniczeniem wolności; np. zapalenie przez żydowskich duchownych chanukowych lampek przy tablicy, gdzie pośród innych posłów, ofiar drugiej wojny światowej, widnieją nazwiska zamordowanych i zmarłych żydowskich posłów na Sejm Rzeczypospolitej. Dla Grzegorza Brauna to skandal. Owszem, taki sam jak synagogi w państwie kościelnym czy istnienie Rabinatu Polowego Wojska Polskiego. Jego służba to zapewne „fakt pozorny", taki, „z którego nic nie wynika", podobnie jak wspomnienie mjr. Barucha Steinberga, weterana Polskiej Organizacji Wojskowej, naczelnego rabina Wojska Polskiego, zamordowanego w Katyniu.

PO CZYJEJ STRONIE?

Skoro jednak swej gaśniczej pasji poseł Braun chce nadać charakter religijny, to warto również posłuchać dokładnie, co na ten właśnie temat mówi, bo tu nie chodzi jedynie o chanukowe lampki. Wspominanie powstania Machabeuszy i oczyszczenia Świątyni po ohydzie spustoszenia, gdy seleucyjscy okupanci wprowadzili do niej grecki kult bałwochwalczy, to dla Grzegorza Brauna „świętowanie ludobójstwa", bo – jak to opisuje – kiedy „Machabeusze przeprowadzili zwycięskie powstanie i oczyścili Świątynię Jerozolimską, zanim ją oczyścili wyrżnęli odstępców, niewiernych, Greków, zhellenizowanych Żydów". Kieruje więc rzeczywiście istotne „pytanie do wszystkich" – „po której stronie się plasują, czy są jednymi z tych nielicznych, którzy wzięli w swoje ręce sprawy i wyrżnęli nie-Żydów?".

No cóż, katolicyzm nie tylko przez całą swą historię traktował judaizm jako bezstronnego (bo niestojącego po stronie wiary Kościoła) świadka prawdy i historii Zbawienia, lecz także w samych dziejach narodu wybranego, zapisanych w historycznych księgach Starego Testamentu, widział prefigurację losu narodów chrześcijańskich. Tak wyglądała teologia narodu Skargi, Bossueta, Teodorowicza, Jana Pawła II. I tak właśnie chrześcijaństwo w całej swojej kulturze, aż do „Ksiąg Machabejskich" Justyny Melonowskiej i „Jazona" Pawła Lisickiego, traktowało powstańców machabejskich. Oni są prawzorem licznych katolickich powstań, od jakobitów przez Wandeę do Cristeros. Z prałatami bywało różnie, ale gdy trzeba było bronić wiary, katolicy brali przykład z Machabeuszy. A Kościół czcił ich jako świętych. Tej prawdy nie zgasiła stara antysemicka gnoza Marcjona i nie zgasi jej żadna nowoczesna piana nienawiści i wymysłów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2267720789

Globalgate

Janusz Korwin-Mikke

„Zrównoważony rozwój" nie jest żadną konkurencją dla normalnego rozwoju – podobnie jak „gospodarka socjalistyczna" nie stanowiła żadnej konkurencji dla normalnej. Chodzi o to, by wykonując pozorne działania, rozkraść możliwie dużą część pieniędzy

FOT. ADOBE STOCK

Spiskowcy od 40 lat pracowicie przerabiający zacną Europejską Wspólnotę Gospodarczą na konfederację państw pod nazwą Wspólnota Europejska, potem na federację państw, potem na państwo federacyjne pod nazwą Unia Europejska (a obecnie pracujący nad przerobieniem UE na państwo unitarne) potrzebują pieniędzy. Dużo pieniędzy. Są to jednak ludzie mający łby na karkach.

Najpierw była mała aferka: Ozongate. Trzeba było „walczyć z dziurą ozonową". Dziura ozonowa wisiała nad Antarktydą i pingwinom groziło, że zaczną się zanadto opalać. Wymyślono też powód, dla którego dziura się pojawiła: był nim freon z lodówek i klimatyzacji. Bo trochę freonu jednak się ulatnia – co prawda, głównie nad USA i Europą. Wstawiono do lodówek izobutan (R600a) – stąd pieniądze – a freon... praktycznie w całości wypuszczono w powietrze! A dziura? Raz się pojawia nad Antarktydą, a raz znika. Hurra – pingwiny uratowane!

Jacyś Niemcy próbowali się dowiedzieć, ile i komu zapłaciły firmy dostarczające izobutan, ale sprawie skutecznie ukręcono łeb. Raptem kilka miliardów euro – ile mogli ukraść? Kilkaset milionów.

ŚWIŃSKA SPRAWA

Gdy się okazało, że można bezkarnie kraść, apetyty wzrosły. O wiele bezczelniej zaczęto wciskać ludziom GlOcio („Antropogeniczne globalne ocieplenie") i pojawiła się też Swineflugate. Walka ze świńską grypą to już była afera na kilkadziesiąt miliardów. Jest to niezbyt groźna choroba. Jak podaje „Nowa Farmacja": „Przypadki zakażenia wirusem świńskiej grypy u ludzi zostały po raz pierwszy zaobserwowane w Meksyku i USA w 2009 roku. Amerykańskie Centrum Kontroli i Zapobiegania Chorobom (Centers for Disease Control and Prevention, CDC) oszacowało, że w ciągu jednego roku odnotowano od 43 do 89 milionów przypadków świńskiej grypy (w tym 1799 zgonów) w 178 krajach na całym świecie".

Aby uzmysłowić wszystkim ogrom zagrożenia: 1799 to mniej więcej liczba wszystkich zgonów w ciągu jednego dnia w jednej tylko Polsce. Tym niemniej dr Małgorzata Chan (Kanadyjka z Hongkongu, w rzeczywistości Fù-Zhēn Chén z d. Féng), wybrana w 2006 r. na szefową WHO, w 2009 r. ogłosiła „pandemię świńskiej grypy". Z tej okazji trzy firmy mające akurat nadwyżkę tych szczepionek zarobiły ogromne pieniądze, bo kupowały je rządy na całym świecie. Nic dziwnego: jak udowodnili Niemcy, szczepionka kosztowała ok. dolara, a sprzedawano ją po kilkanaście dolarów we wszystkich większych państwach. Wysokość łapówek była taka, że trzy państwa UE zakupiły po dwie (!) szczepionki na obywatela. Jednak nie proponowano wtedy jeszcze przymusu szczepień, więc w różnych krajach zgodziło się zaszczepić od 1 do 8 proc. ludzi. Resztę szczepionek „utylizowano" (co oznacza, że znów ktoś na tym zarobił...).

Jedynym państwem UE, które nie dało się wrobić w kupno tej szczepionki, była Polska. Bohaterką była Ewa Kopaczowa, ówczesna minister zdrowia – twierdząca potem, że tygodniami nie spała, obawiając się konsekwencji tej odmowy. Jak wiadomo, żadna epidemia w Polsce się nie pojawiła, co jest żywym dowodem, że cała ta Swineflugate to wielka ściema. Doktor Kopacz, która powinna się tym chlubić na prawo i lewo, siedzi cicho. Nie wiem, co jej dano za niechwalenie się tym odważnym przecież czynem, który zdemaskował całe oszustwo.

Jacyś Niemcy znów próbowali się dowiedzieć, kto i ile wziął w łapę za Swineflugate, ale sprawie ukręcono łeb. Chén mimo tego (a może raczej: dzię-

eprasa.pl 2267720789

ki temu?) została ponownie wybrana szefową WHO!

PODEJRZANY KORONAWIRUS

Gdy okazało się, że „na szczepionkę" można głupie d….kratyczne społeczeństwa bezkarnie nacinać, pojawiła się „pandemia COVID-19".

Samo pojawienie się koronawirusa to osobna, tajemnicza i podejrzana sprawa. Wirus zastał opatentowany (!) w USA, a badania nad nim prowadzono poza kontrolą władz amerykańskich w wielkim laboratorium w Wuhan, będącym w większości własnością firm amerykańskich.

Świętej pamięci Dawid Rockefeller powiedział w 2017 r., parę miesięcy przed śmiercią (dzięki przeszczepom serca żył 102 lata!), że nadejdzie wielka epidemia, ale „teraz na nią jeszcze za wcześnie (?!), bo nie jesteśmy gotowi". Podejrzenie budzi też, że gdy epidemia wybuchła, firmą, która już prowadziła badania nad szczepionką, okazał się być Pfizer – firma niemiecko-żydowska, a akurat Rockefellerowie zawarli wtedy sojusz z Rothschildami.

Hipotezą najlepiej tłumaczącą dziwne pojawienie się COVID-19 jest założenie, że „dobroczyńcy ludzkości" (za których uważają się niektóre grupy multimiliarderów amerykańskich) postanowili zaradzić istotnie kłopotliwemu zjawisku, jakim jest starzenie się cywilizacji. Wirus miałby zabijać tylko osoby starsze i chore. I rzeczywiście: młodzi ludzie na COVID-19 nie chorowali (dzieci w ogóle!); praktycznie dopiero po 50. roku życia (o ile nie miało się chorób płuc) można było się obawiać śmierci z powodu tego wirusa.

Niestety, wydostał się z laboratorium przedwcześnie, zanim został ostatecznie udoskonalony.

Niezależnie od sposobu pojawienia się koronawirus był znakomitym pretekstem do zrobienia na nim gigantycznych już pieniędzy, a także karier politycznych. Gdy w Polsce jedynie Konfederacja protestowała przeciwko „walce z COVID-19" – przez maseczki, lockdowny i zakazy wchodzenia do lasów – zastraszone społeczeństwo posłusznie robiło to, co kazał robić PiS-owski rząd, a „d….kratyczna opozycja" zdobywała punkty, domagając się jeszcze ostrzejszej „walki z wirusem".

Wątpię, by udało się przykładnie ukarać macherów od tej „walki". Przypominam, że szefową UE została wtedy wybrana Ursula von der Leyen – nie przypadkiem osoba już przedtem oskarżana o rozmaite przekręty (podobnie Ukraińcy na szefa od programu autostrad wynajęli Sławomira Nowaka, nie przypadkiem człowieka, o którego przekrętach przy budowie polskich szos ćwierkały wróble na dachach).

Von der Leyen odmawia ujawnienia swej korespondencji z Pfizerem, ale przecież prawdziwe układy na pewno nie były zawierane za pośrednictwem legalnej komunikacji. Tu chodzi o przekręt na setki miliardów dolarów i ludzie postawieni przed alternatywą: „Kilka milionów w gotówce – lub tajemnicza śmierć we własnej łazience" raczej nie mają wyboru. Być może coś się posypie od strony amerykańskiej, bo Albert Bourla, dyrektor generalny Pfizera, który 10 października 2022 r. miał zeznawać przed speckomisją Parlamentu Europejskiego do sprawy COVID-19, nie pojawił się w Brukseli i tylko Amerykanie mogą mu coś zrobić.

W Polsce Adam Niedzielski, minister zdrowia, dostał nagrodę od „Wprost" „za wyniki w walce z COVID-19", podczas gdy wyniki były znacznie gorsze niż w krajach, które tak intensywnej „walki" nie prowadziły – np. w Brazylii czy Szwecji. Co gorsza, dzięki tej „walce" uratowano jakieś 15 tys. chorych na COVID-19, ale za to, z powodu zabrania większości środków na walkę z COVID-19, zginęło ponad 160 tys. chorych na nowotwory, serce czy wirusowe zapalenie wątroby... I nie zanosi się na to, by rządy zakazujące wchodzenia do lasów postawiły byłego ministra w stan oskarżenia, bo te 160 tys. zgonów to gigantyczna ulga dla budżetu.

W Brukseli robi raban Krystian Terheș, unioposeł z Rumunii. Nic nie wskórał, ale jego działania odbiły się w Rumunii, gdzie właśnie trafił pod sąd Floryn Cîțu, premier, który najpierw zakupił 37 mln szczepionek, a potem zamówił jeszcze 43 mln – przy czym do szczepienia kwalifikowało się w Rumunii 10,7 mln ludzi. Pod sąd trafią też ministrowie zdrowia Joanna Mihăilă i Wład Voiculescu. Zobaczymy, czy to się spruje dalej. Czy sypną wspólników?

Jednocześnie Pfizer pozwał do sądu III RP, która nie odebrała zamówionych 18 mln dawek. Rząd „polski" tłumaczy, że nie ma pieniędzy, bo wydał na uchodźców z Ukrainy. Z czego wynika, wedle rządowej logiki, że zakup był konieczny, bo inaczej Polacy by pomarli od COVID-19, ale ponieważ trzeba było przyjąć Ukraińców, to trudno – niech Polacy

eprasa.pl 2267720789

umierają! Ciekawe, jak ta sprawa się zakończy. Może by dyrektorom Pfizera dać w łapę, żeby wycofali pozew?

URĄGAJĄCE OCIEPLENIE

Aferą idącą już nie w miliardy, a w biliony euro jest kolejna „walka" – z GlOciem. Każdy, kto zajrzał do jakiegokolwiek naukowego źródła, zauważy, że w historii Ziemi cykle oziębień i ociepleń są bardzo częste i występowały nawet wtedy, gdy człowieka na Ziemi w ogóle nie było. Tłumaczenie, że to „antropogeniczne globalne ocieplenie", jest bzdurą uwłaczającą inteligencji normalnego człowieka, to oczywiste, ale na łapówkach od producentów wiatraków, fotowoltaiki i innych szamańskich sposobów na pozyskiwanie energii można zrobić gigantyczne pieniądze (jak na każdej wojnie...). Są dotacje, subwencje, „sprzedaż praw do emisji CO_2", a więc i łapówki. Wszelka logika zamiera na widok monstrualnej kupy pieniędzy.

Rozzuchwalona bezkarnością Ursula von der Leyen otwarcie mówi: „Przy finansowaniu działań klimatycznych musimy przejść od miliardów do bilionów. Aby to osiągnąć, potrzebujemy nowych źródeł przychodów. Nowe opłaty, zielone obligacje i oczywiście opodatkowanie emisji CO_2. I bardziej niż kiedykolwiek potrzebujemy silnych partnerstw, takich jak Global Gateway".

Co to jest to Global Gateway, które ma być „partnerstwem" (nie „partnerem"!) dla Unii Europejskiej? Poszukałem w sieci. Wikipedia podaje: „Inicjatywa Global Gateway to ogólnoświatowa strategia Unii Europejskiej, mająca na celu inwestowanie w projekty infrastrukturalne i tworzenie partnerstw gospodarczych na podstawie określonych zasad. Projekt został zainicjowany przez Komisję Europejską pod przewodnictwem Ursuli von der Leyen".

Jak „strategia Unii" może być „partnerstwem Unii"? Czy ktoś wyobraża sobie zdanie: „Strategia Napoleona była partnerstwem Napoleona"? Przecież to kompletny bełkot.

Czytamy dalej. Komisja Europejska „wyjaśnia": „Global Gateway to wkład UE w globalną lukę inwestycyjną na świecie. Jest to strategia zgodna ze zobowiązaniem przywódców G7 z czerwca 2021 r. do zainicjowania opartego na wartościach, wysokiej jakości i przejrzystego partnerstwa infrastrukturalnego, które ma sprostać globalnym potrzebom w zakresie rozwoju infrastruktury. Strategia Global Gateway jest również w pełni zgodna z Agendą ONZ na rzecz zrównoważonego rozwoju 2030 i celami zrównoważonego rozwoju, a także z porozumieniem paryskim".

Tłumaczenie, że to „antropocentryczne globalne ocieplenie", jest bzdurą urągającą inteligencji

Czy widział ktoś „wkład w lukę"? Ma być „inicjowane" partnerstwo – uwaga – „zgodne z celami zrównoważonego rozwoju". Tu wyjaśnienie: „zrównoważony rozwój" to w odróżnieniu od normalnego rozwoju taki „rozwój", który zapewnia „zerowy wzrost". Strategią ludzi, którzy opanowali UE, jest bowiem „Zero growth". Radzę o tym poczytać!

Dalej: „W latach 2021–2027 Drużyna Europy pozyska inwestycje o wartości do 300 mld euro na rzecz zrównoważonych projektów wysokiej jakości, uwzględniających potrzeby krajów partnerskich i zapewniających trwałe korzyści społecznościom lokalnym. Inicjatywa umożliwi partnerom UE rozwój społeczny i gospodarczy, a także stworzy możliwości dla sektora prywatnego państw członkowskich UE w zakresie inwestowania i utrzymania konkurencyjności przy jednoczesnym zapewnieniu najwyższych standardów środowiskowych i norm pracy, a także należytego zarządzania finansami".

Co to są „zrównoważone projekty wysokiej jakości"? Nie wiadomo.

Sama von der Leyen stwierdza: „Będziemy wspierać inteligentne inwestycje w infrastrukturę na wysokim poziomie, przy poszanowaniu najwyższych norm społecznych i standardów środowiskowych, zgodnie z wartościami i normami UE. Strategia Global Gateway to wzór prezentujący sposób, w jaki Europa może stworzyć odporniejsze połączenia z całym światem".

A więc nie chodzi o infrastrukturę, lecz o połączenia? Też nie: „W 2023 r. na całym świecie, w ramach strategii Global Gateway, rozpoczęto realizację 90 projektów w sektorach cyfrowym, energetycznym i transportowym, których celem jest globalne ulepszenie systemów opieki zdrowotnej, edukacji i badań naukowych". Więc co w końcu – edukacja czy lokomotywy? Czytamy: „Europejski model konektywności opartej na zaufaniu w krajach partnerskich ma charakter długoterminowy i jest zgodny z interesami i wartościami UE: praworządnością, prawami człowieka oraz międzynarodowymi normami i standardami. Chodzi o […] łączenie ze sobą towarów, osób i usług na całym świecie w zrównoważony sposób".

„Zrównoważony sposób łączenia" oznacza zapewne, że nie będą mogli się połączyć, jeśli Unia im na to nie pozwoli. Tak to w każdym razie działało w PRL.

Forsal.pl twierdzi, że wie, o co chodzi. Pisze: „Global Gateway, czyli jak Unia Europejska chce zatrzymać chiński Pas i Drogę […]. W ciągu ostatnich kilku lat Chiny nawiązywały nowe kontakty handlowe i dyplomatyczne, które wzmacniały, wydając miliardy na budowę dróg, linii kolejowych i portów na całym świecie. Według amerykańskiego think tanku, Rady ds. Stosunków Międzynarodowych, do marca 2021 r. do inicjatywy Pasa i Drogi dołączyło 139 krajów. Łączna wartość ich gospodarek stanowi 40 proc. światowego PKB".

POWTÓRKA Z PRL

Mam duże doświadczenie. W PRL „naukowe" instytuty pisały dokładnie takie same bełkotliwe projekty – obliczone na to, że głupi urzędnicy, porażeni naukową i politycznie słuszną terminologią, dadzą pieniądze na jakieś poronione projekty, np. na zablokowanie kapitalistów amerykańskich. Wyglądało to dokładnie tak samo. Zamiast „demokratyzacji" trzeba było tylko wstawiać „umocnienie rządów klasy robotniczej" itp.

Spokojnie więc. UE niczego nie zatrzyma, niczego nie zablokuje, chińskie towary będą nadal dopływać. „Zrównoważony rozwój" nie jest żadną konkurencją dla normalnego rozwoju – podobnie jak „gospodarka socjalistyczna" nie stanowiła żadnej konkurencji dla normalnej. Chodzi o to, by wykonując pozorne działania, rozkraść możliwie dużą część tych 300 mld euro i potem przejść na biliony.

A d….kratycznym rządom poszczególnych krajów UE też pozwoli się wziąć udział w tej grabieży. Bo jak coś jest „państwowe", to znaczy – jest niczyje. A jak unijne? To już ho, ho!

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2267720789

Błogosławienie grzechu

Paweł Chmielewski

Papież Franciszek wprowadził do Kościoła błogosławienie par homoseksualnych. Na jego polecenie prefekt Dykasterii Nauki Wiary kard. Victor Manuel Fernández opublikował dokument wysokiej rangi, który przewiduje taką możliwość. Środowiska LGBT są zachwycone, a progejowscy księża już błogosławią gejów. Ponadto narasta bezprecedensowy opór. Kilka episkopatów i dziesiątki indywidualnych biskupów odrzuciły papieskie rozstrzygnięcia, zakazując błogosławienia par jednopłciowych. Zakaz ogłosili również Polacy

Watykan 18 grudnia 2023 r. podjął przełomową decyzję, na którą od lat czekali kościelni liberałowie z całego świata. Kardynał Fernández opublikował deklarację „Fiducia supplicans", której treść można sprowadzić do jednego zdania: „Pojawia się możliwość błogosławienia par homoseksualnych i par w nieregularnych związkach" („nieregularne związki" to po prostu pary żyjące bez ślubu kościelnego). Na tydzień przed świętami Bożego Narodzenia Stolica Apostolska zalegalizowała praktykę, która do tej pory była całkowicie nielegalna. Księży udzielających błogosławieństw parom LGBT nierzadko karano. Teraz ma być wprost przeciwnie: nie tylko nie wolno karać, lecz także zakazuje się zakazywać, o czym Fernández pisze w dokumencie wprost.

Nie mamy do czynienia z samowolą kardynała. Dokument został opublikowany jako „deklaracja doktrynalna", co podkreśla jego powagę i duże znaczenie. „Fiducia supplicans" ma pełne poparcie papieża. We wstępie do tekstu Fernández napisał wprost, że Franciszek deklarację przeczytał i zatwierdził. Gdyby ktoś w to wątpił, Watykan opublikował zdjęcie z podpisem papieża, a on sam publicznie potwierdził, że akceptuje „Fiducia supplicans". Czytelnika „Do Rzeczy" taki fakt oczywiście nie zaskoczy. W jednym z poprzednich numerów pisałem o odpowiedziach, których papież Franciszek udzielił na pytania pięciu kardynałów (tzw. dubia), którzy mieli duże wątpliwości m.in. w sprawie zachowania biskupów zgadzających się na błogosławienie par homoseksualnych. Franciszek napisał wówczas, że jeżeli takie błogosławieństwa nie są udzielane formalnie, to nie widzi problemu – o wszystkim powinien decydować duszpasterz w konkretnym przypadku.

NOWY TYP BŁOGOSŁAWIEŃSTWA

„Fiducia supplicans" ubiera papieską odpowiedź w oficjalne formuły. Zgodnie z literą nowego dokumentu nie można przeprowadzać błogosławieństw par homoseksualnych (albo par nieregularnych, czyli zwłaszcza rozwodników w powtórnych związkach) w taki sposób, żeby symulować sakrament małżeństwa. Biskupi nie powinni też wydawać żadnych oficjalnych rytuałów z tekstem błogosławieństw. Można – a nawet trzeba, bo „nie wolno odmawiać" – ale jakby nieformalnie czy „spontanicznie".

Żeby uzasadnić to nowatorskie rozwiązanie, Fernández wprowadził nowy typ błogosławieństwa. Dotąd w Kościele istniały dwa ich rodzaje: błogosławieństwo powiązane z udzielaniem sakramentu oraz błogosławieństwo niesakramentalne. Problem, który miał z tym stanem rzeczy ruch LGBT, był prosty: zgodnie z nauką Kościoła duszpasterz błogosławi zawsze w imieniu Boga. Skoro tak, to może błogosławić jedynie to, co jest obiektywnie dobre; nie wolno błogosławić tego, co z samej swojej natury jest grzeszne. Dlatego Fernández wymyślił trzeci rodzaj błogosławieństw: takie, których można udzielać dosłownie każdemu i wszystkim.

Nowe rozwiązanie jest jawnie sprzeczne z doktryną Kościoła. Stolica Apostolska zawsze odrzucała możliwość błogosławienia związków homoseksualnych. Wynika to w oczywisty sposób z Pisma Świętego, w którym akty seksualne między osobami tej samej płci są oceniane jako grzech ciężki. Święty Paweł Apostoł w kilku listach przypomina, że aktywni seksualnie homoseksualiści nie wejdą do Królestwa Bożego. To kategoryczna ocena, która nie pozostawia miejsca na dyskusję; dlatego sodomię zgodnie potępiali ojcowie i doktorzy Kościoła, papieże i rzymskie urzędy. W naszych czasach, w związku z narodzinami politycznego ruchu LGBT, Watykan wypowiadał się na ten temat kilka razy, zawsze krytycznie – ostatni raz zaledwie trzy lata temu. Na początku roku 2021 Kongregacja Nauki Wiary wydała krótkie „Responsum": odpowiedź na pytanie dotyczące możliwości błogosławienia związków jednopłciowych. Kongregacja

eprasa.pl 2267720789

napisała, że nie wolno ich błogosławić, bo takie związki są oparte na grzesznej relacji. Dlatego możliwe jest pobłogosławienie pojedynczych ludzi, ale nigdy ich razem jako związku.

Franciszek i kard. Fernández zdają sobie oczywiście sprawę z nauki Kościoła. Dlatego w „Fiducia supplicans" zastosowano kilka manewrów, by zachować pozory ciągłości nauki Kościoła. Po pierwsze, w dokumencie Fernández wielokrotnie zapewnia, że „doktryna Kościoła w ogóle się nie zmienia". Takie zaklinanie rzeczywistości jest wprawdzie bezprzedmiotowe, ale tworzy zasłonę dymną i pozwala wszystkim chętnym udawać, że stoi się w ciągłości z Tradycją. Po drugie kard. Fernández twierdzi, że błogosławienie związków homoseksualnych nadal jest zakazane. Otóż na gruncie „Fiducia supplicans" można błogosławić jedynie… pary, ale nie związki. W efekcie od 18 grudnia wielu w Kościele zastanawia się, jaka jest różnica między „parą" a „związkiem". Różnica naturalnie nie istnieje, bo para z definicji opiera się na związku dwóch osób. Argumentacja Fernándeza jest po prostu obraźliwa dla inteligencji czytelników – i widzą to zarówno krytycy „Fiducia supplicans", jak i zwolennicy błogosławienia związków LGBT. Na łamach portalu Katholisch.de, który finansuje Konferencja Episkopatu Niemiec, pojawił się ciekawy artykuł progejowskiego publicysty Christopha Paula Hartmanna. Autor nie kryje zadowolenia z decyzji Fernándeza. Przyznaje jednak, że „Fiducia supplicans" jest pełna chwytów retorycznych, które mają przedstawić nowe rozwiązanie w zgodzie z Tradycją Kościoła, choć w istocie tekst głosi „dokładne przeciwieństwo" tego, co pisała jeszcze Kongregacja Nauki Wiary w 2021 r. Hartmann wyśmiewa też zapewnienia Fernándeza, zgodnie z którymi mamy do czynienia z „naturalnym rozwojem" nauki Kościoła. Nie, pisze Niemiec; tu chodzi po prostu o – cytuję – „wiele sprytnych posunięć, by przedstawić własne działania nie jako zerwanie, ale jako rozwój".

GEJOWSKI SKRĘT WATYKANU

Hartmann ma całkowitą rację, bo błogosławienia par homoseksualnych nie da się logicznie uzasadnić, jeżeli Kościół nie zmienia jednocześnie swojej negatywnej oceny aktów jednopłciowych. Zwrócił na to uwagę również konserwatywny kardynał Gerhard Müller, poprzednik Fernándeza na urzędzie prefekta Kongregacji Nauki Wiary. W obszernym artykule opublikowanym na łamach „InfoVaticana" (po polsku tekst ukazał się w PCh24.pl) drobiazgowo wykazał wewnętrzną sprzeczność „Fiducia supplicans", dochodząc do tej samej konkluzji, co liberał Hartmann: tu chodzi wyłącznie o sofistykę. Ostatecznie cała sprawa rozbija się o to, jak oceniamy homoseksualizm: w zgodzie z nauką Kościoła czy w zgodzie z rewolucją 1968 r. Każdy dobrze rozumie, że Fernández ocenia homoseksualizm w zgodzie z rewolucją, ale po prostu nie chce tego otwarcie przyznać. Wie, że w praktyce jego argumentacja będzie obchodzić tylko naiwnych, którzy nie chcą dostrzec oczywistych faktów. Rewolucjoniści nie zwracają uwagi na takie głupoty, jak pozorne rozróżnienia pomiędzy „parą" a „związkiem" czy zakazy „hucznego" organizowania ceremonii błogosławieństwa, których nikt nie będzie przestrzegać. Dla nich liczy się tylko przesłanie, które idzie w świat: Kościół katolicki po dwóch tysiącach lat zaakceptował homoseksualizm.

Już następnego dnia po ogłoszeniu „Fiducia supplicans" do dzieła przystąpił o. James Martin SJ, amerykański jezuita, którego papież Franciszek wielokrotnie wychwalał, a nawet stawiał za wzór wszystkim księżom świata. Martin zamieścił w serwisie X.com fotografię z ceremonii błogosławienia dwóch homoseksualistów, którą przeprowadził. Mężczyźni trzymają się za rękę; nikogo nie interesuje, czy Martin formalnie błogosławi ich jako „parę" czy jako „związek". Są uśmiechnięci, cieszą się: czekali na to od dawna.

Martin „skrzętnie" wybrał parę do pobłogosławienia, być może celowo pokazując, że chodzi o praktyczną afirmację kompletnej niemoralności. Pobłogosławieni przez niego mężczyźni to pseudokatoliccy aktywiści gejowscy. Kilka lat temu zawarli homoseksualny „ślub" w jednym z protestanckich kościołów. Jeden z nich publicznie darł fotografie Benedykta XVI oraz szydził z Jana Pawła II. W Internecie publikowali fotografie ukazujące ich a to w damskich strojach, a to na gejowskiej plaży nudystów, gdzie obściskują się z półnagimi kolegami. To, co robili dotąd w jawnej sprzeczności z normami moralnymi Kościoła katolickiego, otrzymało „błogosławieństwo" jezuity Martina, działającego de facto w imieniu papieża Franciszka.

Gejowski skręt Watykanu ma pełne wsparcie całego liberalnego świata. Amerykańscy jezuici wykupili w „The New York Times" dużą reklamę, pisząc w niej,

eprasa.pl 2267720789

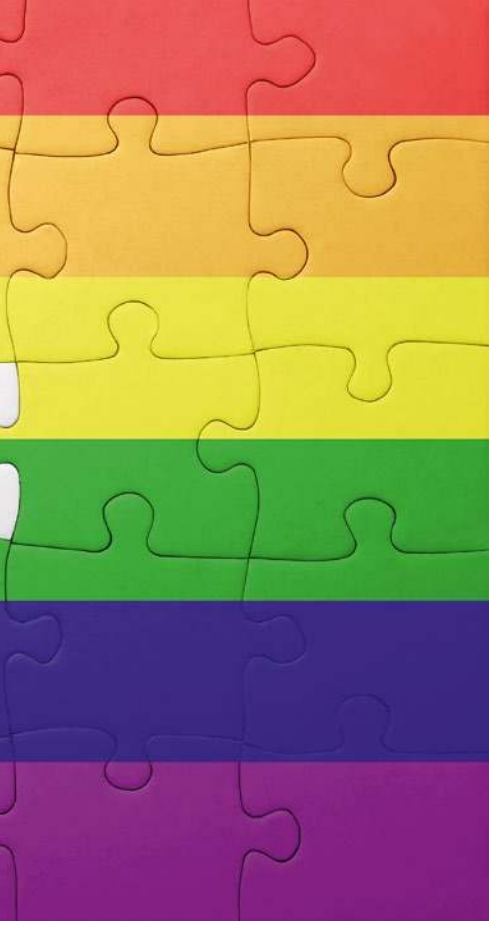

FOT. ADOBE STOCK

że „Kościół dopuszcza błogosławienie par homoseksualnych", a to oznacza, że „zaczął się zmieniać". Ten sam dziennik poświęcił sprawie dwa artykuły, zachwalając zarówno samego Martina, jak i Franciszka. O decyzji Watykanu pozytywnie wypowiedział się nawet Biały Dom. Lesbijska rzecznik prezydenta Joe Bidena powiedziała mediom, że Waszyngton docenia krok Stolicy Apostolskiej w kierunku środowisk LGBTQ. Podobna radość panuje w środowiskach liberalnych na całym świecie w Ameryce Łacińskiej, które prześcigają się w wychwalaniu Franciszka. Najbardziej zadowoleni są oczywiście progresywni Europejczycy, zwłaszcza Niemcy. Kolejny raz pokazali, że Franciszek jest ich papieżem. Tak jak w 2016 r. na wyraźne życzenie Kościoła w RFN dopuścił do Komunii Świętej rozwodników, a w 2018 r. niektórych protestantów – tak teraz pozwolił błogosławić pary jednopłciowe. Niemcy od kilku lat organizowali happeningi, kręcili filmy propagandowe, wydawali dokumenty teologiczne, wprowadzali „nielegalne" błogosławieństwa w swoich diecezjach i parafiach… Inwestycja się zwróciła. Są realistami: deklaracje o „niezmienności nauki" traktują tak, jak wyraził to Hartmann, jako konieczną koncesję na rzecz Afrykanów czy Polaków.

Przeciwko „Fiducia supplicans" narasta bowiem opór – i to na niespotykaną w Kościele katolickim skalę. Z jednoznacznym potępieniem tego dokumentu wypowiedziały się już całe episkopaty, a inne zapowiedziały wprost albo pośrednio, że będą działać tak, jakby tego tekstu w ogóle nie było. Sprzeciw rozpoczął się od Kazachstanu. Biskupi Astany – abp Tomasz Peta i bp Athanasius Schneider – wydali rozporządzenie, w którym całkowicie zakazali udzielania i przyjmowania błogosławieństw dla par homoseksualnych i tzw. nieregularnych. Następnie „Fiducia supplicans" albo odrzuciły, albo „zawiesiły" episkopaty Kamerunu, Kenii, Malawi, Nigerii, Rwandy oraz Zambii. Niemożność błogosławienia związków homoseksualnych stwierdził też rzymskokatolicki episkopat Ukrainy, a episkopat grekokatolicki oznajmił, że „Fiducia supplicans" w ogóle nie dotyczy Kościołów wschodnich. Przeciwko dokumentowi wypowiedziało się też indywidualnie bardzo wielu biskupów z całego świata, od USA przez Amerykę Łacińską i Europę aż do Afryki. Takiego oporu wobec pism z Watykanu nie było jeszcze nigdy.

Konferencja Episkopatu Polski wypowiedziała się 21 grudnia ustami swojego rzecznika ks. Leszka Gęsiaka SJ, który wydał specjalne „Oświadczenie" napisane po konsultacji z Radą Stałą KEP, czyli z grupą najważniejszych polskich hierarchów. Polacy przyjęli nieco paradoksalne stanowisko. W „Oświadczeniu" stwierdzono mianowicie za Fernándezem, że doktryna katolicka w ogóle się nie zmieniła i „Fiducia supplicans" nie wprowadza zasadniczo nic nowego. Następnie ks. Gęsiak zacytował jednak… zgodny z nauką Kościoła dokument „Responsum" z 2021 r. i orzekł, że osoby w związkach homoseksualnych lub nieregularnych po prostu „nie mogą otrzymać błogosławieństwa". Polscy biskupi uznali więc deklarację „Fiducia supplicans" de facto za niebyłą. W najbardziej zainteresowanych rewolucją krajach, takich jak Niemcy i Austria, „Oświadczenie" ks. Gęsiaka odczytano jako jednoznaczne odrzucenie deklaracji Fernándeza.

Konflikt wokół „Fiducia supplicans" będzie niewątpliwie narastać, a możliwe są rozmaite scenariusze. Kardynał Fernández planuje już ofensywę w Afryce, próbując za sprawą instrumentu synodalności narzucić całemu Czarnemu Lądowi jakąś ugładzoną interpretację dokumentu. Większość Afrykanów nie jest jednak naiwna – od dawna walczy z narzucaniem im ideologii LGBT przez liberalne zachodnie rządy, do których teraz dołączył Watykan. Sprawa może zakończyć się nawet rozłamem. W 2023 r. analogiczny problem u anglikanów doprowadził do trwałego podziału. „Kościół Anglii" wprowadził błogosławieństwa związków LGBT, a w reakcji na to anglikanie z Afryki oskarżyli współbraci z Wysp Brytyjskich o zdradę Pisma Świętego i ogłosili, że będą odtąd wyraźnie się od nich oddzielać. Dla mieszkańców krajów Afryki błogosławienie par, których związek opiera się na grzechu potępionym przez samego Boga, jest po prostu nie do pomyślenia.

Co się stanie w Polsce? „Oświadczenie" ks. Leszka Gęsiaka SJ nie jest oficjalnym dokumentem KEP, może więc zostać łatwo „zapomniane", tym bardziej że już wkrótce odbędą się wybory nowego kierownictwa episkopatu, a dotychczasowy przewodniczący, abp Stanisław Gądecki, nie będzie ubiegać się o kolejną kadencję. Prawdopodobna jest powolna oddolna „erozja". Chętni do tego księża i zakonnicy będą błogosławić pary LGBT, a ukarać ich za to będzie trudno: mogą powoływać się na nauczanie Franciszka i Fernándeza. Na „Fiducia supplicans" pozytywnie zareagowały szerokie środowiska kościelne, od portalu „Więź.pl", gdzie błogosławienie par jednopłciowych pochwalał m.in. ks. Dariusz Piórkowski, aż do „Gościa Niedzielnego", gdzie kilku autorów wyrażało głębokie zrozumienie dla decyzji kard. Fernándeza. Liberalizacji polskiego społeczeństwa towarzyszy równoczesna liberalizacja części Kościoła, a to stwarza możliwość relatywnie prostego „wrogiego przejęcia" Kościoła w Polsce przez środowiska rewolucyjne. Ułatwi to jeszcze postępująca budowa kontynentalnego Kościoła europejskiego, o której kilkukrotnie pisałem w „Do Rzeczy". Do stworzenia ogólnoeuropejskich struktur dążą Niemcy i mają pełne wsparcie Watykanu; jeżeli ich plan zostanie ostatecznie zrealizowany, to Polska znajdzie się w kościelnej Unii Europejskiej i będzie zmuszana do przyjmowania kontynentalnych rozwiązań duszpasterskich, np. takich jak udzielanie błogosławieństw homoseksualistom.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dziennikarzem i publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl 2267720789

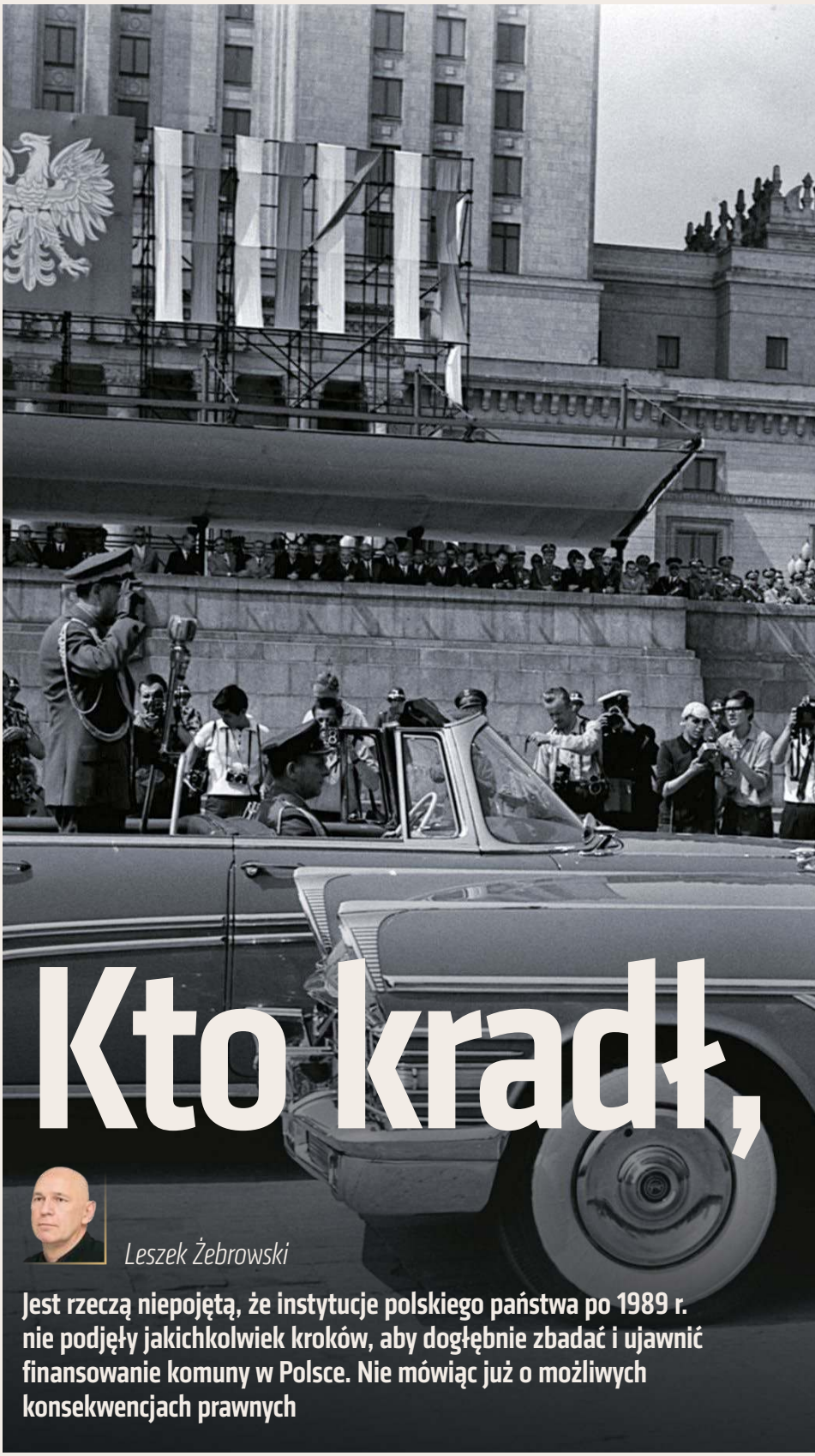

Kto kradł,

Leszek Żebrowski

Jest rzeczą niepojętą, że instytucje polskiego państwa po 1989 r. nie podjęły jakichkolwiek kroków, aby dogłębnie zbadać i ujawnić finansowanie komuny w Polsce. Nie mówiąc już o możliwych konsekwencjach prawnych

Powszechnie wiadomo, że nie może być wojska bez broni; państwa bez administracji; polityków, a także wszelkiej maści rewolucjonistów, terrorystów… bez pieniędzy. Już prastare przysłowie żydowskie głosiło, że trzy rzeczy są najważniejsze na świecie: pieniądze, pieniądze, pieniądze. Bez nich trudno sobie dziś wyobrazić jakąkolwiek działalność.

Nie sięgając daleko wstecz w nasze dzieje (a mamy bardzo wstydliwe zaszłości), weźmy pod lupę tylko ostatni wiek. Choć i wcześniejsza historia potwierdza, że posługiwanie się w I RP jurgieltem (przekupstwem) przez państwa ościenne w stosunku do sprzedawczyków własnego narodu stało się normą.

KOSZTOWNA DZIAŁALNOŚĆ

Od rewolucji bolszewickiej, czyli masowości ruchów rewolucyjnych oraz szybkości rozprzestrzeniania się informacji, wiemy, że pieniądze stały się siłą napędową wszelkich ruchów wywrotowych. Bolszewicy, zmagający się z oporem wewnątrz Rosji w postaci wojny domowej, od początku nie zaniedbywali jednak w swej polityce zagranicznej napędzania rewolucji lub przynajmniej działań dywersyjnych w innych krajach. Potrzebne były do tego naprawdę ogromne fundusze. Poza ograbieniem zapasów państwowych Rosji w następnej kolejności poszli „pod nóż" zasoby arystokracji, ziemiaństwa i mieszczaństwa oraz oni sami. A było na co wydawać. Poza partiami i organizacjami komunistycznymi brali, i to bardzo dużo, „pożyteczni idioci" czy wręcz płatni agenci, czyniący w świecie skuteczną propagandę rewolucyjną, jak np. John Reed (i jego osławione „Dziesięć dni, które wstrząsnęły światem", za co przytulił ponad milion rubli). Sporo informacji na ten temat z zakresu finansowania amerykańskiego i światowego komunizmu w pierwszym okresie istnienia sowieckiej Rosji zawiera dokumentalna praca „The Secret World of American Communizm" Harveya Klehra, Johna Earla Haynesa i Fridrikha Igorewicza Firsowa z 1995 r. Bazuje ona na arcyciekawych źródłach, które zapewne bardzo długo nie będą już dostępne, jeśli w ogóle przetrwają. Finansowano ekspozytury komunistyczne w różnych krajach, w tym również neutralnych, jak np. w Szwajcarii i Szwecji.

eprasa.pl 2267720789

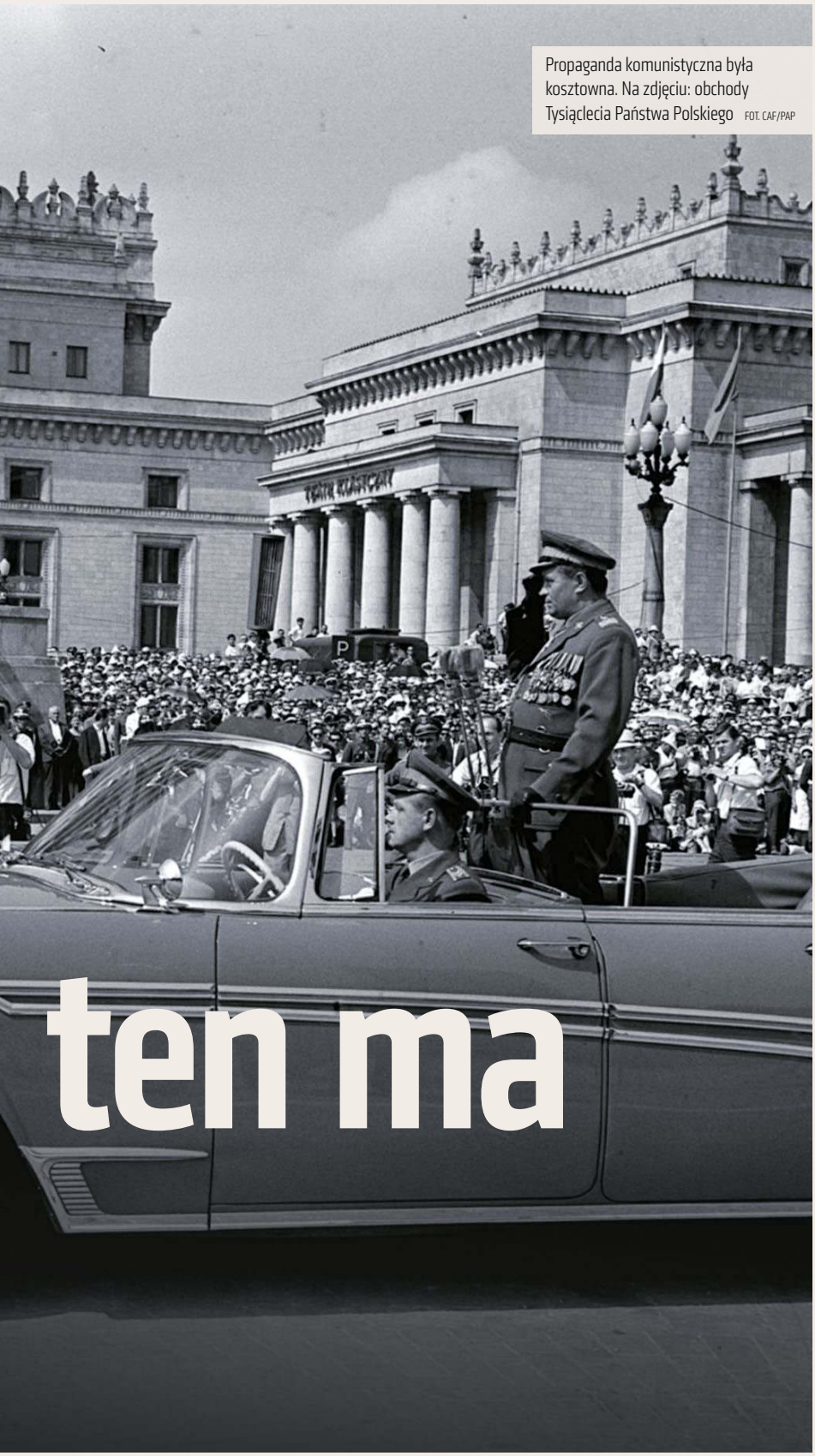

Propaganda komunistyczna była kosztowna. Na zdjęciu: obchody Tysiąclecia Państwa Polskiego FOT. CAF/PAP

ten ma

Po rewolucji (1917 r.) rozpoczęło się w Europie, a także na świecie, tworzenie partii komunistycznych, które z założenia miały być narzędziem sowieckim m.in. do prowadzenia operacji ogłupiania miejscowych społeczeństw. Służyła temu rozgałęziona propaganda, a ta przecież była bardzo kosztowna. W odradzającej się Polsce partia komunistyczna – działająca jako Komunistyczna Partia Robotnicza Polski (KPRP), wraz z odnogami: „ukraińską" i „białoruską", a od 1925 r. już bez przymiotnika „Robotnicza" – powstała 16 grudnia 1918 r., ale decyzja o jej utworzeniu zapadła już 11 listopada 1918 r. Początkowo działała prawie całkiem jawnie (ukrywając jednak starannie dziedziny szpiegowską, sabotażową i wojskową), ale już po trzech miesiącach przeszła do całkowitej konspiracji. Polskie państwo, będące w początkowej fazie tworzenia swych struktur (w tym bezpieczeństwa), nie od razu rozpoznało skalę bolszewickiego zagrożenia od tej strony. Udział w tym mieli liczni uczestnicy i zwolennicy rewolucji (głównie socjaliści i bundowcy) działający w Polsce. Niektórzy z nich w miarę szybko przejrzeli na oczy (jak np. Kazimierz Pużak), inni zaś pozostali w orbicie wpływów Lenina, Trockiego i Dzierżyńskiego.

Już w grudniu 1919 r. KPRP została zasilona okrągłą wielomilionową sumką (10 mln!), co jednak nie było jedynym źródłem jej finansowania. Kosztowna była tzw. centralna technika, czyli drukarnie, produkujące nielegalne broszury, dokumenty i ulotki. Utrzymywani byli kurierzy do „państwa robotników i chłopów" (niektórzy przedostawali się przez inne państwa, np. Szwecję i Finlandię). Nie wiemy, jakie sumy pochłaniała działalność na płaszczyźnie pozyskiwania agentury w polskim wojsku i wśród liczących się urzędników państwowych. Werbowano ich „po linii" obyczajowej oraz wyszukiwano dłużników, uwikłanych np. w kosztowny hazard. Takim chętnie służono materialną pomocą, ale „coś za coś". Sporych środków wymagało utrzymywanie tzw. przejazdówek, czyli konspiracyjnych lokali do obsługi towarzyszy, przemieszczających się po kraju, i kurierów z zagranicy. Z oczywistych względów unikano w ten sposób korzystania przez nich z hoteli, gdzie wymagane było zameldowanie. Niewskazane było również

eprasa.pl 2267720789

korzystanie z miejscowej gastronomii, bo kilkukrotne stołowanie się w tym samym miejscu tego samego towarzysza (dla miejscowych całkowicie obcego) mogło budzić uzasadnione obawy o ich niepotrzebną dekonspirację.

„WSTYDLIWE MIEJSCA" – DOLARY I ZŁOTO

Fatalnie w pierwszych latach strzeżona granica wschodnia II RP była rajem nie tylko dla pospolitych przemytników. Wykorzystywali to również Sowieci do przerzucania funkcjonariuszy, materiałów wywiadowczych i środków finansowych. W tym zakresie ich pomysłowość przekraczała (wówczas) granice wyobraźni. Bela Frenkiel – kurierka KPP i służb sowieckich (która później została żoną osławionego sadysty płk. Józefa Goldberga-Różańskiego z MBP) – przemycała banknoty... 1000-dolarowe (!) we „wstydliwym miejscu". Schowek był szczególny, świadczący o tym, że „pieniądz nie cuchnie". Kuriozalna to była sytuacja, ponieważ ujawnione nominały zostały jej zwrócone! Nie wiemy dziś, jak się tłumaczyła, ale argumenty musiały być wystarczająco skuteczne. Banknoty o takich nominałach nawet dziś nie są spotykane w obiegu, cóż dopiero wówczas. Od czego były jednak odpowiednie znajomości w kręgach bankowych? Dzięki nim można je było rozmienić na drobne…

Ale były jeszcze bardziej kuriozalne sytuacje, związane z przestępczą działalnością finansową komunistów. Oto według meldunku policyjnego z listopada 1926 r. „niejaki PEREL CHIL MOSZEK (zamieszkały w Warszawie przy ul. Elektoralnej 3 dnia 8 XI 1926 r. przewiózł z Gdyni do Warszawy 12.500 rubli w złocie; dnia 28 XI 14.000 rubli w złocie; dnia 25 X 1926 5.000 rubli w złocie i 8 klg złota w sztabach; dnia 28.X.26 13.500 rubli w złocie, dnia 18.X.26 12 klg złota, dnia 13.X 2.000 rubli w złocie i 2 klg złota w sztabach. Niejaki JAKÓB LICHTENBERG zam. w Warszawie przy ul. Wielkiej 3, wspólnik powyższego, dnia 20.X.26 z Gdyni do Warszawy przewiózł 30.000 rubli w złocie […]. Zachodzi uzasadnione podejrzenie, że powyżsi przewożą złoto z Moskwy na cele agitacyjne, działając na tle politycznem, na szkodę Państwa Polskiego" [pisownia oryginalna – przyp. L.Ż.].

Mamy tu zaledwie dwóch kurierów, wąski wycinek czasowy i bardzo pokaźne zasoby finansowe, przeznaczone przez sowieckich mocodawców na walkę z polskim państwem. Burzy to w znacznym stopniu mit o wyjątkowej ideowości komunistów – rewolucjonistów, zdolnych do najwyższych poświęceń z pobudek ideowych. Z takich przecież zasileń finansowani byli tzw. funkowie, czyli centralni i okręgowi funkcjonariusze organizacji komunistycznych. Nie mogli zatrudniać się do legalnej pracy zarobkowej ze względu na całkowitą dyspozycyjność wobec „roboty partyjnej", musieli być zatem stale gotowi do zadań wyznaczanych im przez zwierzchników.

NAPADY BANDYCKIE – INSTRUMENTY FINANSOWE

Zewnętrzne, agenturalne zasilanie w środki finansowe uzupełniane było pospolitymi napadami bandyckimi i rabunkowymi, z których uczestnicy dzielili się „łupem" z partią (ten termin, wywodzący się ze środowisk czysto kryminalnych, stale pojawia się w dokumentach i we wspomnieniach komunistycznych). Takim zdobywaniem środków na działalność osławił się m.in. Mendel Kossoj vel Wacław Komar, funk KPP i późniejszy przedstawiciel „elit" w Polsce Ludowej, czyli oberubek. Podobnie było w przypadku Izraela Ajzenmana (Juliana Kaniewskiego), przedwojennego, wojennego i powojennego bandziora z KPP-PPR. Trzeba przyznać, że wojennym „łupem" dzielił się z partią, inna rzecz, czy rozliczał się uczciwie, ale z jego kwitów wiemy, że brał wszystko, co wartościowe. Nie tylko obrączki, medaliki i krzyżyki, lecz także damskie ubrania i bieliznę. Jego partyjny wojenny przełożony z AL tuż przed wejściem Armii Czerwonej w styczniu 1945 r., zatroskany o jego bezpieczeństwo, ostrzegał go: „Podaję wam do wiadomości, że macie w terenie opinię krwiożercy". W jakiej innej organizacji konspiracyjnej poza PPR można było honorować takiego przestępcę?

Ajzenmanowi tak to weszło w krew, że po wojnie, już jako oficer UB, nie porzucił tego procederu. Mimo że jego ubecki kierownik wystawił mu skrajnie niekorzystną opinię („Analfabeta, zarozumiały w swojej pracy i z tego powodu bardzo często nadużywa swej władzy w sprawach prywatnych. Z tytułu swoich zasług partyzanckich uważa, że sam siebie może wynagradzać"), był tolerowany. Po godzinach służby w Wojewódzkim Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego w Poznaniu jeździł ze swymi przybocznymi w teren, na rabunki. Później uskarżał się do swych patronów z MBP – skoro Niemcy nam tyle zabrali podczas wojny, to skarał się choć trochę odzyskać i wetować straty. Tyle że ofiarami jego napadów nie byli Niemcy, tylko miejscowi Polacy!

Utworzona przez Stalina Polska Partia Robotnicza kontynuowała przedwojenne wzory finansowe. Poza zasilaniem z Kominternu zdobywała środki na działalność (i „godziwe życie") drogą pospolitych napadów rabunkowych. Co więcej, stworzyła w tym celu nawet „grupy specjalne" oraz gloryfikowaną formację „Czwartaków", których zadaniem było zdobywanie gotówki. Co bywało zdobyczą? Ubrania męskie, damskie i dziecięce, ale przede wszystkim złote obrączki, pierścionki, łańcuszki, krzyżyki, numizmaty, zegarki… Wiemy to z pisemnych sprawozdań z ich „akcji" i podziału łupów między partię i bandziorów. Czasem dochodziło do tak kuriozalnych sytuacji, że uczestnicy napadu oczekiwali od partii… dopłaty, wyżej ceniąc swój udział od wartości uzyskanych zdobyczy!

Brali to, co się nadawało do spieniężenia – nawet kalesony, kapoty, skarpety. W publikacjach powojennych były to już… akcje zbrojne przeciwko Niemcom, gdzie trup po stronie okupanta ścielił się gęsto. Byli bezkarni, zatem własną historię fałszowali bezkarnie.

„Czwartacy" nawet we własnych szeregach cieszyli się bardzo ponurą sławą, określani byli jako bandyci. Po latach nie przeszkadzało to jednak propagandystom komunistycznym, aby porównywać ich do elitarnych oddziałów Kedywu KG AK (robił to m.in. Leszek Moczulski).

„MUSIELI Z CZEGOŚ ŻYĆ"

Sprzyjające warunki okupacyjne, załamanie się prawa i porządku (Niemcy dbali o swoje bezpieczeństwo, los Polaków był im obojętny) były wodą na młyn komunistów, nie tylko na poziomie lokalnym, lecz także ich centrali. Przyznawał to nawet Władysław Gomułka w swych pamiętnikach, wydanych w 1994 r., że „funkcjonariusze partyjni i pracownicy aparatu GL musieli przecież z czegoś żyć". Musieli… Źródłem dopływu gotówki na bieżącą działalność miał być tzw. Dar Narodowy,

eprasa.pl 2267720789

czyli dobrowolne wpłaty członków i sympatyków PPR. Ta droga jednak zawiodła, co potwierdził po latach Gomułka, zapisując, że w ogóle takiej akcji nie było! A co zatem było? Eksy, czyli rewolucyjne, przymusowe ekspropriacje („wywłaszczenia"). Ujawnił to w sposób następujący: „Eksów takich, z których nie zdają sprawozdań przed partią, dokonują… organizatorzy i dowódcy grup gwardzistowskich, w ich liczbie nawet ludzie z aparatu Sztabu Głównego GL". Gomułka to usprawiedliwiał, napisał bowiem wprost, że „trudno to było potępiać".

Czasem swą bandycką robotę maskowali, zostawiając na miejscu przestępstwa stosowne pokwitowanie, mające świadczyć, że dokonali tego przedstawiciele organizacji „reakcyjnych", głównie NSZ. Służyły temu nieudolne druki do wypełnienia stosowną treścią. Zostawiano przy tym egzemplarze prasy organizacyjnej (w tym NSZ), a pokwitowania stemplowano zdobycznymi lub też podrabianymi pieczęciami. Po wojnie przyznał to nawet wyjątkowy bandzior (notoryczny morderca Żydów i Polaków, który zrobił oszałamiającą karierę w Polsce Ludowej) Bolesław Kaźmirak vel Bolesław Kowalski „Cień" (pułkownik „ludowego" WP!).

Rozległa akcja podszywania się przez komunistów w podziemiu z bandyckimi napadami pod szyld NSZ wywołała oddźwięk nawet w Dowództwie NSZ. Wydało ono komunikat, w którym stwierdzano: „W szeregu wypadkach organizacje komunistyczne […], wymuszając od Polaków pieniądze na cele organizacyjne lub urządzając napady, używając nazw narodowych, między innymi legitymując się jako Egzekutywa NSZ […]. W związku z tym Dowództwo NSZ stwierdza, że NSZ nie przeprowadzały wśród społeczeństwa polskiego żadnych akcji finansowych pod przymusem. Dobrowolne ofiary na cele NSZ są kwitowane przez pisma narodowe. Wypadki wymuszeń należy meldować Komendantom NSZ".

Powyższe informacje stawiają w zupełnie innym świetle lansowaną przez komunistów (jak również przez „pożytecznych idiotów") wersję o istnieniu w podziemiu „wojny domowej" i likwidacji komunistów jakoby ze zarówno względów ideologicznych, jak i politycznych. A była to przede wszystkim oczywista i konieczna akcja samoobrony społeczeństwa przed mordercami, bandytami i rabusiami, bez względu na ich zabarwienie organizacyjne. Dokumenty polskiego, jak również komunistycznego podziemia zawierają bowiem ogromną liczbę informacji z tego zakresu. I oczywistym mitem są też dywagacje, jakoby komuniści rabowali wyłącznie dwory i bogatych gospodarzy (jak również mieszczan), oszczędzając biednych, którzy mieli stanowić ich potencjalne zaplecze. Typowy przykład? Z meldunku komuny: „Zabrano świnię, całą nadzieję biedaka, za którą miał kupić zboża na siew, jak również zostawić część dla siebie". Perfidią takich rabunków było również to, że sprawcy nie zostawiali ofiarom nawet kolczyka, przez co biedacy nie mogli się okazać Niemcom, że padli ofiarą bandyckiego napadu, co dawało jakieś nadzieje uniknięcia zesłania do Auschwitz.

Nic dziwnego, że zrozpaczeni chłopi bronili się, jak mogli. Liczyła się tylko skuteczność. Przyznawali to nawet komunistyczni autorzy: „Część chłopów niektórych wsi, uzbrojona w siekiery, widły itp., chwytała ukrywających się członków PPR i GL i oddawała ich w ręce żandarmerii". Byli to zdrajcy i kolaboranci czy jednak obrońcy życia i mienia przed przestępcami o zabarwieniu ideologicznym?

POWOJENNE ECHA

Niektórym gierojom z okresu wojennego tak weszła w krew intratna działalność, że nawet w służbie nowego ustroju nie zaprzestali podobnych praktyk i ich maskowania. Można się o tym dowiedzieć np. z dokumentów sądowych. Oto w 1946 r. grupa funkcjonariuszy MO dokonała napadu rabunkowego na sklep w województwie katowickim. Milicjanci tak się najedli i napili mocnych trunków na miejscu, że nie zdołali uciec z łupem i zostali zatrzymani przez mieszkańców. Okazało się, że mieli przygotowane stosowne rozliczenie: „pokwitowanie na wymienioną sumę podpisali NSZ".

Rabunki podczas pacyfikacji i rewizji, dokonywane przez funkcjonariuszy UB, MO itp., były na porządku dziennym. Czasem ujęci na gorącym uczynku resortowi złodzieje (za brak rozliczeń z przełożonymi!) karani byli… krótkotrwałym aresztem domowym. Czyli nie musieli w tym czasie nawet chodzić „do pracy". Ale znacznie ważniejsze i bardziej intratne były powojenne rewizje u działaczy Delegatury Rządu, wyższych oficerów AK i innych organizacji niepodległościowych, gdy łupem funkcjonariuszy UB padały naprawdę pokaźne kwoty, przeznaczone na działalność organizacyjną i pomoc dla rodzin zabitych i przetrzymywanych w aresztach i więzieniach. Rabowali również ich rodziny, np. żony i córki zatrzymanych, zabierając sobie wartościowe rodzinne pamiątki i precjoza. A nawet jeśli tego typu walory trafiały „do depozytu", to następnie znikały i dochodzeń w celu ich odzyskania nie było.

Z majątku, tak niegodziwie (a często wprost krwawo) zgromadzonego przez przedwojennych, wojennych i powojennych bandytów, korzystały i korzystają również ich dzieci, a teraz już wnuki

*** *** ***

Jest rzeczą niepojętą, że instytucje polskiego państwa po 1989 r. nie podjęły jakichkolwiek kroków, aby to zagadnienie – finansowanie komuny w Polsce – dogłębnie zbadać i ujawnić, już nie mówiąc o możliwych konsekwencjach prawnych. Z majątku, tak niegodziwie (a często wprost krwawo) zgromadzonego przez przedwojennych, wojennych i powojennych bandytów, korzystały i korzystają również ich dzieci, a teraz już wnuki. Konfiskaty willi i okazałych mieszkań zostały w III RP „zalegalizowane" (na skutek kruczków prawnych i przedawnień). Jak została wywłaszczona tzw. niemiecka dzielnica mieszkaniowa, choćby w Warszawie? Najpierw konfiskowali to niemieccy okupanci – w majestacie swego bezprawia. Na ich miejsce w 1945 r. przyszli nowi okupanci, którzy przecież też „musieli" gdzieś mieszkać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2267720789

Z Przemysławem Słowińskim, prawnikiem, pisarzem i autorem książek biograficznych
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Fauna pod bronią

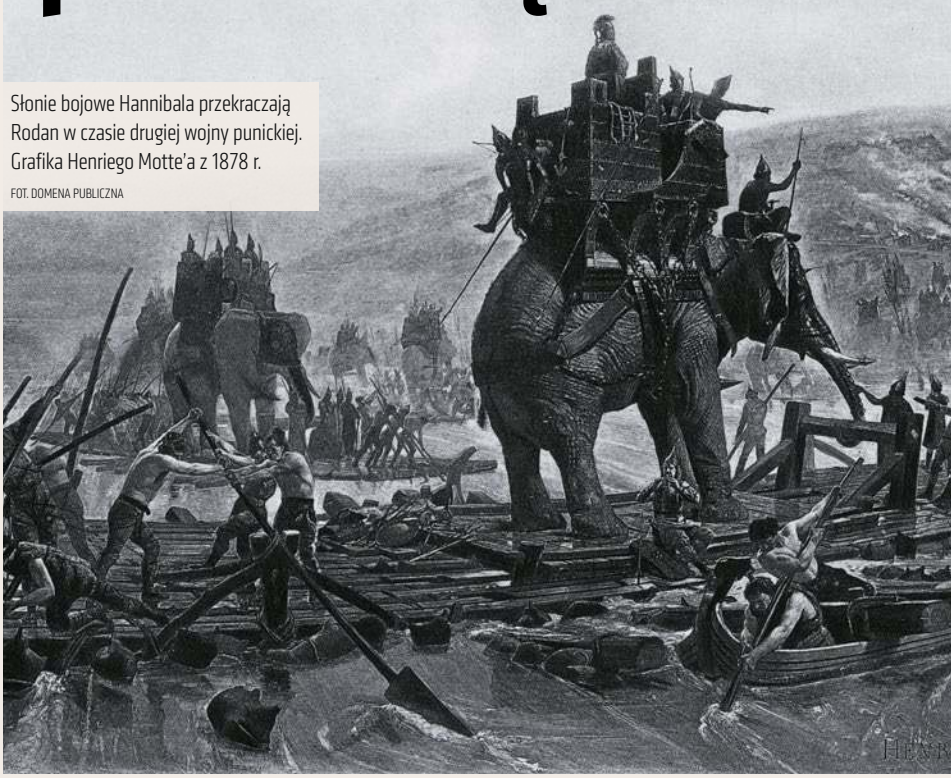

Słonie bojowe Hannibala przekraczają Rodan w czasie drugiej wojny punickiej. Grafika Henriego Motte'a z 1878 r.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

TOMASZ Z. ZAPERT: Szarik z załogi czołgu „Rudy 102" miał realny odpowiednik?

PRZEMYSŁAW SŁOWIŃSKI: Nie, chociaż Janusz Przymanowski, autor powieści, na podstawie której nakręcono popularny serial, wiele wątków zaczerpnął zapewne z historii 1. Brygady Pancernej im. Bohaterów Westerplatte. Usiłował nadać rys autentyzmu własnym bohaterom. Jednak „Czterej pancerni i pies" to bajka, a właściwie propaganda, mająca na celu umocnić przyjaźń polsko-sowiecką.

Jakieś psie rasy wykazywały szczególne predylekcje militarne?

Rozmaite sprawdzały się przy różnych zadaniach. Na przykład ulubionymi psami marines były dobermany, ale na przestrzeni dziejów wojsko szkoliło do swych potrzeb wiele innych ras: owczarki niemieckie, collie, bernardyny, airedale terriery, a nawet pudle. Znakomicie sprawdzały się również mieszańce. Każdy pies ma przecież indywidualne cechy charakteru.

Przez wieki w bojach stałym towarzyszem człowieka był koń. Andrew Nagorski w książce „Największa bitwa. Moskwa 1941–1942" akcentuje, że w pierwszych miesiącach wojny niemiecko-sowieckiej ginęło ich tysiąc… dziennie!

Konie to chyba najbardziej znaczący przykład udziału zwierząt w wojnach. Od starożytności niemalże do dziś nieodzowny element wszelkich militarnych sporów, eksploatowany przez liczne armie świata. Nic zatem dziwnego, że masowo ginęły podczas konfliktów zbrojnych. Śmierć spotykały na każdym kroku. Często nie w wyniku działań wroga, lecz kiepskiego traktowania przez „swoich". Liczbę końskich ofiar pierwszej wojny światowej szacuje się na 8–11 mln (dla porównania: ludzi zginęło niemal 15 mln.). Wojskom alianckim w pewnym momencie dostarczano mniej więcej tysiąc koni dziennie, aby uzupełnić ponoszone straty. W lazaretach odnotowano obecność ok. 2,5 mln zwierząt. Trafiały tam wycieńczone, schorowane, ranne. Trzy czwarte po rekonwalescencji wracały na front.

Kawaleria stanowiła dumę polskiego oręża. Kampania wrześniowa dobitnie jednak wykazała jej anachroniczność.

Zgadza się. W konfrontacji z wojskiem pancernym rumaki okazały się mało przydatne. Choć szarże naszych kawalerzystów na niemieckie czołgi to mit rozpowszechniany przez nazistowską (a po wojnie komunistyczną) propagandę. Pomimo że legenda ta nie znajduje potwierdzenia w faktach, przez wielu ciągle uznawana jest za prawdę i funkcjonuje do dziś. W związku z ogromnym nasyceniem pola walki przez nowoczesne środki ogniowe podczas drugiej wojny światowej konnica odgrywała jedynie rolę pomocniczą. Przydatność zademonstrowała na bliskowschodnim teatrze działań – w bitwie pod Beer Szewą. Począwszy jednak od końca drugiej dekady ubiegłego wieku, zaczęła być zastępowana oddziałami „kawalerii" powietrznej czy pancernej.

Wierzchowce wielu sławnych wodzów przeszły do legendy. Dajmy na to Bucefał czy Marengo.

Ten pierwszy ogier należał do Aleksandra Macedońskiego. Był jego najwierniejszym druhem. Kopał i gryzł wrogów, okazał się niezastąpiony w długiej jeździe, bez lęku wkraczał na każdy teren, wioząc na grzbiecie swego właściciela. Kilkakrotnie uratował mu życie.

Drugi stanowił własność Napoleona. Piękny, biały arab towarzyszył mu pod

eprasa.pl 2267720789

Austerlitz, Jeną, Wagram i Waterloo. Choć był niewielkiego wzrostu (1,45 m), to wyróżniał się sprytem i szybkością. W ciągu pięciu godzin potrafił pokonać 130 km. Służył Napoleonowi przez 16 lat. Zjechał z nim pół świata. Wielokrotnie był ranny, ale zawsze się wylizywał.

Rumaki Stefana Czarnieckiego, Jana III Sobieskiego oraz Józefa Piłsudskiego również obrosły w mity...

Kasztan Sobieskiego – imieniem Pałasz – przebył z nim całą kampanię wiedeńską. Siedząc na nim, król wywinął się z zasadzki przygotowanej przez wojska tureckie w trakcie pierwszej potyczki pod Parkanami. Był mocny i ogromnie wytrzymały, dźwigał bowiem jeźdźca, który do najlżejszych nie należał. To właśnie z grzbietu Pałasza polski monarcha wydawał rozkazy podczas odsieczy Wiednia.

Ogierowi zwanemu Tarantem Czarniecki zawdzięczał sławę niezwykle ruchliwego kawalerzysty. Brali razem udział w wielu bitwach. Jak głosi legenda, dosiadając go, hetman miał przepłynąć cieśninę oddzielającą duńską wyspę Als od Półwyspu Jutlandzkiego, kiedy polsko-brandenburskie wojska walczyły ze Szwedami.

Najpewniej ranking na najsłynniejszego konia w polskiej historii wygrałaby Kasztanka – ulubiona klacz Piłsudskiego. Podarował mu ją hrabia Eugeniusz Romer. Początkowo nosiła imię Fantazja. Marszałek postanowił jednak to zmienić, ponieważ obawiał się złych skojarzeń i żartów ze strony żołnierzy. No bo jak człowiek, który chce wyzwolić Polskę i walczyć w wojnie z Moskalami, może jeździć na Fantazji? Bardzo bała się kanonady, nie znosiła odgłosów strzelaniny ani hałaśliwego entuzjazmu na cześć swego jeźdźca, któremu towarzyszyła na całym szlaku bojowym Pierwszej Brygady.

W dziejach naszej wojskowości zasłynęły też dwa niedźwiedzie...

Historia niedźwiadka syryjskiego zaczęła się w Iranie, gdzie w 1941 r. przyszedł na świat. Szybko stracił matkę, zastrzeloną przez myśliwych podczas polowania. Osieroconym i zabłąkanym w górach Hamadan zwierzęciem zaopiekował się irański chłopiec, zabierając je do swojej wioski. Rok później, w kwietniu 1942 r., na drodze do Kandaharu malec

Józef Piłsudski na Kasztance podczas defilady 11 listopada 1926 r. FOT. NAC

Zwiad lotniczy na początku XX w. zyskał nowego sprzymierzeńca – gołębia fotografa FOT. RORHOF/STADTARCHIV KRONBERG

spotkał polskich żołnierzy z 22. Kompanii Zaopatrywania Artylerii, którzy po opuszczeniu Związku Sowieckiego zmierzali, pod wodzą gen. Andersa, do Palestyny. Wymienili garść pieniędzy, tabliczkę czekolady, szwajcarski nóż oficerski oraz konserwę wołową na mizernego niedźwiadka. Odkarmili go i wychowali. Stał się żywą maskotką 2. Korpusu Polskiego. Wojtek – tak go nazwano – figurował w składzie jednostki zaopatrzeniowej. Jego wyczyny, psoty oraz towarzystwo były świetną odskocznią od trudnej wojennej rzeczywistości, a także rekompensowały tęsknotę wielu Polaków za utraconymi bądź pozostawionymi rodzinami. Gdy skrajnie zmęczeni wojacy wracali do miejsca postoju kompanii, miś zawsze witał ich radośnie, co wszystkim wydatnie poprawiało nastrój. Podczas walk donosił amunicję do ciężkich moździerzy. Nauczył się podnosić 45-kilogramowe skrzynie z pociskami, które zanosił niedaleko stanowisk ogniowych.

Nie był on jednak pierwszym niedźwiedziem w polskim wojsku. Szlaki przetarła niedźwiedzica polarna o imieniu Baśka Murmańska.

Wzruszająco opisana piórem przedwcześnie zmarłego prozaika Eugeniusza Małaczewskiego.

Ta ulubienica polskich żołnierzy walczących z bolszewikami miała zaszczyt uścisnąć dłoń Piłsudskiego. Zwierzę, przygarnięte przez polskich żołnierzy w północnej Rosji, dokooptowano do batalionu murmańczyków, dowodzonego przez płk. Juliana Skokowskiego. Dotarła z tym oddziałem do Polski, gdzie ostatecznie trafiła do Twierdzy Modlin. W 1919 r. odbyła się defilada wojsk polskich na placu Saskim w Warszawie, uczestniczyli w niej również murmańczycy. Baśka wzbudziła sensację, maszerując na dwóch łapach i salutując marszałkowi Piłsudskiemu. Kiedy ten chciał ją pogłaskać, przywitała się z najważniejszą osobą w państwie, podając mu łapę.

Niestety, dzieje obu niedźwiedzi mają smutne zakończenie. Wojtek dokonał żywota w klatce edynburskiego ogrodu

eprasa.pl 2267720789

zoologicznego, Baśkę zaś zakłuli widłami chłopi spod Nowego Dworu Mazowieckiego.

Słonie były protoplastami tanków?

Najwcześniejsze informacje o ich udziale w bitwach pochodzą z roku 1100 p.n.e. Znaleźć je można w zapisanych w wedyjskim sanskrycie pieśniach z obszaru doliny Indusu. Słonie wyposażone w pancerz, tworzony przez napierśniki i ochronne nakrycia głowy, przeznaczone były do przerywania szyków bojowych nieprzyjaciela i wzniecania w jego szeregach paniki. Zwierzęciem kierował usadowiony na jego karku kornak (przewodnik), zmuszający je do przebijania kłami żołnierzy przeciwnika i miażdżenia ich nogami. Oddziały słoni uczestniczyły m.in. w bitwach nad rzeką Hydaspes (326 r. p.n.e.), pod Herakleą (280 r. p.n.e.), Zamą (202 r. p.n.e.) oraz Tapsus (46 r. p.n.e.). Często wpadały w panikę, tratując, co popadnie. Ich strach usiłowano okiełznać, pojąc je alkoholem, pod wpływem którego stawały się nie tylko mniej płochliwe, lecz także bardziej agresywne i znieczulone na zadawane im rany.

Doniosłą rolę w wojskowości odegrało także ptactwo...

Przy tak różnorodnych i masowo rozpowszechnionych środkach przekazu, z którymi obecnie mamy do czynienia, trudno uwierzyć, jak bardzo stratedzy wojskowi w czasie obu wojen globalnych ufali metodzie wykorzystania gołębi pocztowych do celów komunikacji. Ptaki te bardzo zasłużyły się wówczas człowiekowi, wiadomości przenoszone przez nie ratowały tysiące ludzkich istnień. W czasie pierwszej wojny światowej telefon i telegraf stanowiły novum, często zawodząc, toteż masowo mobilizowano do armii gołębie. Z zadaniem zapewnienia łączności i komunikacji między sztabami oraz przekazywania meldunków wywiadowczych. Przeciwko tym militarnym posłańcom wysyłano naturalnych wrogów – jastrzębie.

Zwierzynę wykorzystywano i w potyczkach wodnych?

Wyostrzone zmysły delfinów, zwłaszcza echolokacja, pozwalały im wykrywać

Wojskowa służba łączności, Rembertów, 1934 r. Owczarek szkolony do przenoszenia gołębi meldunkowych FOT. NAC

miny podwodne i inne niebezpieczne przedmioty. Wspomagały również poszukiwania osób zaginionych w akwenach. Wyszkolone odpowiednio morskie ssaki potrafiły podpłynąć niepostrzeżenie pod okręt wojenny przeciwnika, przyczepić mu do burty odpalaną zdalnie minę magnetyczną, po czym spokojnie wrócić „do domu".

W latach 60. ubiegłego stulecia do armii Stanów Zjednoczonych zaczęto także zaciągać lwy morskie. Jako pełnoprawni członkowie U.S. Navy tropią szpiegów i podwodne miny, a znaleziska oznaczają na powierzchni za pomocą chorągiewki.

TERESA KOWALIK, PRZEMYSŁAW SŁOWIŃSKI „ZWIERZĘTA NA WOJNIE" FRONDA 2023

Doskonale sprawdziły się podczas wojny w Wietnamie. Wraz z delfinami skutecznie strzegły amerykańskich składów amunicji na brzegu zatoki Cam Ranh Bay. Cumujące tam jednostki marynarki USA atakowali wietnamscy nurkowie. Nie potrafiono się z tym uporać. Problem zażegnały delfiny i lwy morskie, pełniąc funkcję strażników.

A jaki jest związek nietoperzy z bronią nuklearną?

Najbardziej chyba oryginalna koncepcja wykorzystania zwierząt w działaniach wojennych zrodziła się w Ameryce. Tamtejsi wojskowi w latach drugiej wojny światowej szukali sposobu ataku na Japonię. Z uwagi na tektonikę zabudowania w Kraju Kwitnącej Wiśni tworzono wtedy w znacznej mierze z papieru, drewna i bambusa – tym samym były szalenie łatwopalne. Jeden z planów zakładał spalenie japońskich domostw za pomocą... nietoperzy z napalmem.

Na pomysł wykorzystania latających ssaków w charakterze przenośników tego środka wpadł amerykański dentysta Duck L. Adams. Uważał, że gdyby można było przyczepić do nietoperzy zapalniki czasowe z pojemnikiem substancji zapalającej, zwierzęta doszczętnie spaliłyby Tokio. Projekt zaaprobował prezydent Roosevelt. Samoloty typu B-24, czyli latające fortece, miały transportować zbiorniki z nietoperzami mającymi przyczepione ładunki z napalmem. Wyselekcjonowano zespół specjalistów z zadaniem sprecyzowania szczegółów technicznych. Tajna operacja otrzymała nazwę „X-ray". Więcej testów zaplanowano na połowę 1944 r., ale program, na który wydano 2 mln dol. (!) – nagle odwołano. Projektanci niekonwencjonalnej broni nie kryli rozczarowania. Jak się okazało, wynaleziono dużo skuteczniejszy środek rażenia – bombę atomową. Jej detonacje nad Hiroszimą i Nagasaki zakończyły drugą wojnę światową.

W dobie bujnego rozkwitu techniki militarnej fauna została zdemobilizowana?

W żadnym razie. Można jedynie rzec, że bywa używana rzadziej. Wszystkie oddziały antyterrorystyczne wykorzystują do dzisiaj psy, podobnie jak Służba Celna czy Wojska Ochrony Pogranicza. A na górskich ścieżkach Afganistanu, gdzie nie dotrze żadna maszyna, konie czy muły nadal pełnią służbę wojskową.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Przemysław Słowiński – z wykształcenia prawnik, wykonywał wiele zawodów, m.in. malarza, górnika, barmana, agenta ubezpieczeniowego. Autor książek biograficznych: „Nikola Tesla. Władca piorunów", „Antoni Gaudi. Czarodziej architektury", „Niepokorny bard. Opowieść o Włodzimierzu Wysockim", „Największy. Opowieść o Muhammadzie Alim", „Bracia Kliczko", „Ten drugi Piłsudski. Biografia Bronisława Piłsudskiego", „Książę przygody. Biografia Antoniego Ferdynanda Ossendowskiego" i najnowszej, napisanej wspólnie z Teresą Kowalik: „Zwierzęta na wojnie".

eprasa.pl 2267720789

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Wacław Komar, funk i zabójca

Nazywał się Mendel Kossoj. Był międzynarodowym rewolucjonistą, płatnym funkcjonariuszem KPP i kilku innych kompartii, do tego ideologicznym mordercą. W Polsce Ludowej zrobił zawrotną karierę jako szef wywiadu wojskowego i politycznego oraz dowódca wojsk wewnętrznych.

Zaczynał od syjonistycznego skautingu Haszomer Hacair, aby wkrótce związać się z ruchem komunistycznym. Musiał być towarzyszem szczególnego zaufania, partia zlecała mu bowiem zabójstwa wskazanych osób. Organizował też napady rabunkowe (w tym na bogatych Żydów) w celu zdobywania funduszy. Stawał się coraz bardziej ważny – zaliczono mu staż partyjny w kompartii sowieckiej, co było szczególnym wyróżnieniem. W nagrodę został wysłany do ZSRS, gdzie rozpoczął naukę na kursach dowódczych dla zawodowych rewolucjonistów. Został oficerem OGPU-NKWD.

W 1936 r. Komintern wysłał go do Hiszpanii, gdzie trwała wojna domowa – był m.in. dowódcą wszystkich czerwonych formacji międzynarodowych. Po wojnie został zastępcą szefa wydziału wojskowego przedstawicielstwa Polski Ludowej we Francji, a następnie zastępcą szefa komunistycznej misji wojskowej. Wkrótce został szefem II Oddziału (Wywiadowczego) sztabu generalnego ludowego WP. Rok później otrzymał awans do stopnia generała brygady. Wkrótce objął równoległe stanowisko szefa wywiadu MBP. Zajmował się m.in. szkoleniem członków żydowskiej terrorystycznej Hagany i dostarczaniem broni do brytyjskiej Palestyny. Popadał jednak stopniowo w niełaskę, tracąc wpływy.

Padł ofiarą wewnętrznej dintojry w partii i dwa lata (1952–1954) przebywał w areszcie. Już w 1956 r., wrócił do łask, obejmując dowództwo wojsk wewnętrznych. Nagłośniona później legenda, że zamierzał przeciwstawić się zbrojnie Armii Sowieckiej, nie ma potwierdzenia. Przeczy temu jego późniejsza kariera partyjna i wojskowa. Od 1960 r. był dyrektorem generalnym w MSW. W 1968 r., w związku z walką z „syjonizmem", przeszedł na sowitą rentę specjalną. Był odznaczony m.in. Krzyżem VM IV klasy (!).

Ojciec Komara był windziarzem w MBP, w resorcie służył też jego brat Antoni. Żona Komara, Riwa Cukierman (vel Sokołowska), przed wojną też była funkcjonariuszką struktur komunistycznych. O jej przywiązaniu do ideologii i związanej z tym symboliki świadczy fakt specyficznej zmiany daty urodzenia: „Będąc już na pracy w Komunistycznym Związku Młodzieży, zaczęłam używać daty Rewolucji Październikowej jako dnia mego urodzenia". Jej ojciec i brat działali aż na antypodach, w Komunistycznej Partii Nowej Zelandii. ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Franciszka Krasińska i królewicz

Kariera faworyta na rosyjskim dworze nie należała do najbezpieczniejszych zajęć, o czym miał okazję przekonać się książę kurlandzki, Ernest Biron. W 1740 r., po śmierci swojej kochanki i protektorki, carycy Anny Iwanownej, trafił wraz z rodziną na Syberię. Potem przeniesiono go do Jarosławia nad Wołgą, gdzie prowadził życie arystokraty na emeryturze.

Natomiast Kurlandią przez blisko 20 lat zarządzała Rada Książęca, a chociaż wciąż było to lenno Rzeczypospolitej, to jednak członkowie rady słuchali się tylko carskiego rezydenta. Sytuacja zmieniła się w 1758 r., gdy Petersburg wyraził zgodę, by księstwo objął syn Augusta III, Karol Krystian Wettyn. Nie oszczędzono jednak królewiczowi upokorzenia i wprawdzie oficjalnie miał być polskim lennikiem, jednak musiał udać się do Petersburga, gdzie caryca Elżbieta zatwierdziła inwestyturę.

Nowy książę kurlandzki przeżywał w tym czasie najpiękniejszy okres życia. Na jednym z balów poznał Franciszkę Krasińską, „wysmukłą jak topola, hożą jak rozkwitająca różyczka, z dużymi, czarnymi oczami, z noskiem lekko zadartym". Dziewczyna do tego uroczo prezentowała się „w tej mieszaninie polskiego i francuskiego stroju, modnej natenczas między damami i w polskich pałacach".

Dwa lata później 27-letni Karol Krystian poślubił 18-letnią Franciszkę, ale zakochani ukrywali to w tajemnicy, gdyż August III planował dla syna małżeństwo z arcyksiężniczką austriacką. Nie zmienia to faktu, że jako książę kurlandzki złożył 8 stycznia 1760 r. ojcu hołd lenny w Warszawie.

Tymczasem nowa caryca, Katarzyna II, przywróciła do łask Birona i wysłała go z wojskiem do Mitawy. Karol Krystian musiał skapitulować, a stany kurlandzkie ponownie uznały Birona za księcia. Młody Wettyn powrócił do Warszawy i w stolicy zaczął królewicz prowadzić rozrywkowy tryb życia. Zaniedbywał żonę, a gdy wyjechał na stałe do Saksonii, pozostawił ją w Warszawie. Franciszka tułała się po domach krewnych i „starała się konsekwentnie i wytrwale odzyskać zmienne serce męża" i „zdobyć należną pozycję legalnej żony i status członka panującego domu Wettynów".

Udało się jej to po 10 latach, a po kolejnych dwóch zamieszkali razem w Dreźnie. Doczekali się córki, Marii Krystyny, która została żoną księcia Karola Emanuela z dynastii sabaudzkiej i babką pierwszego króla zjednoczonych Włoch, Wiktora Emanuela II. O losach związku Franciszki i Karola Krystiana opowiada książka Klementyny Tańskiej-Hoffmanowej „Dziennik Franciszki Krasińskiej w ostatnich latach Augusta III pisany". ©℗

eprasa.pl 2267720789

Niemcy ofiarą nazizmu

Wjeżdżający do Polski z Niemiec widzą znak z nazwą Wrocławia także po niemiecku. Ale dla jadących do Drezna jest tylko znak z niemiecką nazwą FOT. SEBASTIAN KAHNERT/DPA/PAP

Jan Bogatko z Berlina

„O 5.45 odpowiedzieliśmy ogniem!" – w tym jednym zdaniu, w przemówieniu Adolfa Hitlera wygłoszonym 1 września 1939 r., znalazły się dwie nieprawdy. Po pierwsze, bomby spadły na Wieluń już o godz. 4.40. Po drugie, nie była to wcale odpowiedź. Z pewnością za to był to początek propagandowej ofensywy kłamstw trwającej do dziś

Za śmierć zaskoczonych mieszkańców i zniszczenie miasta nieposiadającego wartości wojskowej żaden ze sprawców nie poniósł odpowiedzialności. I tak mjr von Dalwigk zu Lichtenfels zginął w roku 1940. Podpułkownik Walter Siegel w 1944 r., a mjr Oskar Dinort, który po ataku na Wieluń chwalił się w niemieckich mediach, że ostatnią bombę zrzucił prosto na rynek, został jako as lotniczy udekorowany Krzyżem Rycerskim. Zmarł w Kolonii w 1965 r. w stopniu generała majora. Lotnicy ci otwierają zastęp niemieckich zbrodniarzy wojennych, których nie dostrzegła ślepa Temida.

JAK HITLER CHCIAŁ POKOJU

Na zaproszenie Leonharda von Kalckreutha pojawiłem się w piątek (4 marca 2011 r.) w düsseldorfskim elitarnym Industrie-Club na wykładzie Stefana Scheila, historyka nowej niemieckiej fali, który uważa, że Hitler chciał pokoju, a Polska parła do wojny. Wykład miał tytuł „Anglia, Polska, Niemcy 1939". Słuchałem z uwagą, a kiedy młody uczony powołał się na znaczek Poczty Polskiej, wydany w Londynie podczas drugiej wojny światowej przez rząd polski, z Wrocławiem w granicach RP – jako dowód na polskie żądania terytorialne przed ową wojną – to moja uwaga nieco osłabła.

Scheil przekonywał doborową publiczność, wypełniającą elegancką salę do ostatniego miejsca, że Polacy czyhali tylko na to, by zabrać Gdańsk i Prusy Wschodnie, a tak się jakoś złożyło, że wyszło inaczej. Zapytałem nieśmiało, czemu Polska nie napadła wreszcie na te Niemcy (a musiała być przecież uzbrojona po zęby, by sobie pozwolić na tę przygodę), za co nawet dostałem oklaski (naprawdę!). Scheil odpowiedział, że nie miała okazji, ale jakby miała, toby uderzyła i dalej coś w tym rodzaju. Następnie

eprasa.pl 2267720789

mówił o strachu Niemiec przed polską agresją. Pewien dyskutant zauważył, że III Rzesza miała przecież niezgorszy wywiad, a więc wiedziała, czy Polacy są dla niej zagrożeniem czy nie. W sumie Scheil nie miał łatwego zadania w Düsseldorfie, a jego tezy – na szczęście – nie przekonały (wówczas) publiczności. Ale to było przecież 12 lat temu!

Pogląd, że Polska szykowała się w latach 30. ubiegłego wieku do napaści na Niemcy, nie był wówczas w Niemczech wcale odosobniony (nie chodziło tu o niepotwierdzony projekt wojny prewencyjnej z Rzeszą po dojściu do władzy Hitlera). Przypomniała mi się wypowiedź pewnego niemieckiego historyka sprzed lat, Gottholda Rhodego (urodzonego pod Poznaniem w 1916 r.), który przekonywał mnie o agresywnych zamiarach Polski wobec III Rzeszy, na polskich mapach bowiem, znalezionych u polskich oficerów w 1939 r., miasta niemieckie miały już polskie nazwy: Gdańsk, Wrocław, Szczecin itp. Powiedziałem mu, że francuskie również: Paryż, Marsylia. – Nie do wiary! – powiedział. – Takie miała Polska apetyty?

Oczywiście, gdy jadę z Drezna do Zgorzelca autostradą, po drodze widzę drogowskaz Breslau (w nawiasie Wrocław), kiedy jadę w przeciwną stronę z Polski, widzę natomiast tylko Dresden, tak że gdyby ktoś nie wiedział, jak się nazywa Drezno po niemiecku, toby nie trafił do celu.

WARSZTAT, KADRY I PIENIĄDZE

Tak dochodzimy niebywałymi skrótami do współczesności. I niemieckiej polityki historycznej, nadzwyczaj dbającej o niedwuznaczność przekazu i pamięć o ziemiach utraconych. Jednym z przykładów jest tablica informująca podróżnych, że oto wjeżdżają na Dolny Śląsk. Tymczasem Dolny Śląsk rozpoczyna się wiele kilometrów dalej na wschód, już na terytorium Polski, za rzeką Kwisą. Jednak Niemcy wolą powołać się na pruską reformę z 1815 r., kiedy to utworzono Prowincję Śląsk, niemającą z geograficznym czy historycznym Śląskiem nic wspólnego. Ten niewinny zabieg pozwala też na zachowanie pamięci o Śląsku – ziemi utraconej.

Jeszcze w późnych latach 70. ubiegłego wieku np. prognoza pogody w zachodnioniemieckiej telewizji publicznej przedstawiana była na tle mapy Rzeszy z 1937 r., z zaznaczeniem granic NRD i ziem wschodnich pod polską administracją. Granica poczdamska na Odrze i Nysie nie była oficjalnie uznana przez Niemcy do 1991 r., kiedy to Bundestag zaakceptował ją w końcu po burzliwych dyskusjach (stawką była zgoda na zjednoczenie Niemiec) przy 13 głosach sprzeciwu ze strony posłów CDU/CSU, w tym „zawodowej wypędzonej" z Rumii, Eriki Steinbach. Wypowiedzi Steinbach na tematy polsko-niemieckie często prowadziły do zadrażnień między Warszawą a Berlinem.

Niemcy, nawet przed utworzeniem Republiki Federalnej Niemiec, pod okupacją amerykańską, brytyjską i francuską mogły zaraz po wojnie przystąpić do realizacji polityki historycznej. Rząd polski na uchodźtwie w Londynie nie miał środków na prowadzenie takiej polityki. Rząd sowiecki w okupowanej i przesuniętej na mapie Europy Polsce miał przed sobą inne cele propagandowe, narzucone jej przez Stalina. Kiedy uniwersytety w Niemczech odzyskiwały wolność, w Polsce ją traciły. Narzucono im w Polsce sowiecki punkt widzenia. Wiele spraw było tabu i dopiero po 1989 r. można było zacząć o nich mówić. Praktycznie po półwieczu! Depatriację z utraconego na rzecz Związku Sowieckiego wschodu określono kłamliwie jako „powrót do ojczyzny" (repatriację). O Katyniu czy innych sowieckich, względnie ukraińskich zbrodniach nie wolno było pisać ani choćby mówić. Polska, pozbawiona przez okupantów elit, które w większości uległy fizycznej eksterminacji, była intelektualnie bezbronna. Wprawdzie na Zachodzie publikowano książki historyczne, ale zabrakło warunków do systematycznej pracy naukowej (aczkolwiek zasług polskiego uniwersytetu PUNA czy wydawcy chociażby „Zeszytów Historycznych" na tym polu nie da się przecenić).

Niemcy miały warsztat naukowy, kadry i pieniądze – ze strony państwa i prywatnych fundacji. Zwłaszcza po tzw. cudzie gospodarczym z inicjatywy Ludwiga Erharda i za amerykańskie pieniądze, o czym dzisiaj się raczej milczy. No i denazyfikacja (jedna z 4 „D": obok demokratyzacji, decentralizacji i demonopolizacji), ten najmniej udany filar cudu, podobnie jak dekomunizacja w Polsce. W niemieckim wymiarze sprawiedliwości latami działali sędziowie z legitymacją NSDAP w biurku. Ich usunięcie było utrudniane przez niemieckie prawo; często na tym tle dochodziło do skandali, jak afera Filbingera, dotycząca sędziego wojskowego w III Rzeszy, który doszedł do stanowiska premiera rządu krajowego w Badenii-Wirtembergii. Ustąpił w niesławie w 1978 r., kiedy wyszła na jaw jego rola w przyśpieszeniu wykonania wyroku kary śmierci na młodym dezerterze w 1945 r. (sprawa Groegera).

O tym, że denazyfikacja była farsą, przekonuje zwłaszcza sprawa Heinza Reinefartha, urodzonego w Gnieźnie późniejszego Gruppenführera SS, kata ludności Woli podczas powstania warszawskiego. Nigdy niepociągnięty do odpowiedzialności esesman został posłem do Landtagu w Szlezwiku-Holsztynie i burmistrzem

eprasa.pl 2267720789

miasta Westerland na wyspie Sylt, kąpielisku pięknych i bogatych.

NIEMCY NIOSĄCY WOLNOŚĆ

Bezkarność zachęcała także coraz bardziej do „kosmetyki" historycznej w kontekście drugiej wojny światowej. Jej apogeum stanowi wypowiedź lewicowego kanclerza Niemiec, Olafa Scholza o… wyzwoleniu spod nazizmu. 8 maja 1945 r. nie było bezwarunkowej kapitulacji Niemiec. „Niemcy i świat zostały wyzwolone spod narodowego socjalizmu. Za to będziemy zawsze wdzięczni" – powiedział socjalista w Berlinie. Ale ukrywa się to, że Hitlera wybrali Niemcy w demokratycznych wyborach.

Niemcy, pierwsza ofiara nazizmu. I alianckich nalotów. I podziału Niemiec. Ale wreszcie udało się im zburzyć mur berliński i obalić komunizm! To stąd, a nie z Gdańska przyszła wolność! Przynieśli ją Niemcy. Każde dziecko o tym w Niemczech wie.

Aczkolwiek uczniowie mają wielkie braki w historii. Wynika to z badań przeprowadzonych przez Fundację Körbera z siedzibą w Hamburgu. Zgodnie z nimi tylko 59 proc. uczniów wie, że Auschwitz-Birkenau był obozem zagłady w III Rzeszy. W grupie 14–16-latków odsetek ten wynosi zaledwie 47 proc. Co jest tego przyczyną? Sven Tetzlaff, szef działu oświaty w Fundacji Körbera, obarcza winą system nauczania historii. W Niemczech nauka leży w gestii landów. Tymczasem spada liczba tych krajów związkowych RFN, w których historia stanowi odrębny przedmiot, do tego zmniejsza się liczbę jego godzin. Wprawdzie termin „polskie obozy koncentracyjne" wymyślili Amerykanie, ale Niemcy długo nie zabiegali o jego korektę. Tłumaczyli to na ogół ich położeniem geograficznym. Z czasem jednak termin ten zaczął żyć własnym życiem, niemającym z geografią nic wspólnego.

Zaczęto stosować go na określenie obozów zakłady na terytorium Niemiec. Na przykład w biuletynie wydanym w Bostonie 16 września 1994 r. napisano: „Irena Weiss z Waszyngtonu opowiada historię lat przeżytych w polskim obozie koncentracyjnym w Buchenwaldzie" (pod Weimarem).

Takich przypadków było wiele. „New York Times" uznał w artykule na temat wizyty amerykańskiego imama Yasira Qadhiego w sierpniu 2010 r. w Niemczech zgoła za polski obóz koncentracyjny Dachau pod Monachium! Z danych zgromadzonych przez MSZ w Polsce wynika, że tylko w 2009 r. w zagranicznych mediach ponad 100 razy użyto określenia „polskie obozy koncentracyjne". Pojawiło się ono jednak najczęściej nie w USA, ale w Niemczech, gdzie wrażliwość powinna być jednak wyższa – aż 20 razy! W USA i w Hiszpanii po 16 razy, osiem razy w Austrii, sześciokrotnie w Kanadzie i we Włoszech, we Francji pięć razy. Sporadycznie pojawiło się także na Słowacji, będącej sojuszniczką Niemiec w agresji na Polskę w 1939 r., w Serbii i Irlandii.

Najbardziej oburzający przypadek użycia określenia „polish death camp" znalazł się w wystąpieniu prezydenta USA Baracka Obamy, podczas odbywającej się w Białym Domu uroczystości uhonorowania Jana Karskiego Prezydenckim Medalem Wolności 29 maja 2012 r. Może się to wydać dziwne, ale ówczesny ambasador Polski w USA, Robert Kupiecki, nie opuścił zgromadzenia na znak protestu. Po tym skandalu Obama przeprosił ówczesnego prezydenta Polski, Bronisława Komorowskiego.

W latach 90. ubiegłego wieku brałem udział w polsko-niemieckich spotkaniach w Akademii Ewangelickiej w Mülheim nad Ruhrą. Nie omijano tam trudnych tematów. Na jednym ze spotkań rabin Kolonii wystąpił z tezą, że dlatego ulokowano Auschwitz w Oświęcimiu, by obóz się znalazł w antysemickim – to znaczy polskim – otoczeniu. Odpowiedziałem mu, że obóz planowano wówczas dla Polaków, że zlokalizowano go na terenie włączonym do Rzeszy (czyli w Niemczech, nie zaś w Generalnym Gubernatorstwie), czego konsekwencją było wypędzenie z miasta inteligencji i mieszkańców z otoczenia obozu. Choć nie wydawał się przekonany, to jednak nie posunął się do określenia go „polskim obozem zagłady".

„UTRACONE" ZIEMIE

Henryk Broder, doskonałe pióro z redakcji „Die Welt", zajął się kontrowersyjnym plakatem SPD ilustrującym tekst o niedokończonym jakoby zjednoczeniu Niemiec. Zamieszczona tam grafika jest co najmniej dwuznaczna, na prawo od mapy RFN (z dołączonym kawałkiem Czech) znajdują się strzałki zbieżne z „utraconymi ziemiami Rzeszy na wschodzie". Czyli co? Wbrew zapowiedziom byłego ambasadora Niemiec w Polsce, Arndta Freytaga von Loringhovena, budujemy jednak IV Rzeszę? Czyżby miały spełnić się marzenia potomków wypędzonych? Broder w tylko jemu właściwy, ironiczny sposób zachęca Polaków, którym wcale nie jest do śmiechu, do wykazania poczucia humoru. No ale z czego mieliby się tutaj śmiać ci Polacy, których tak mocno ukarała najnowsza historia? Ci przepędzani przez kontynent jak bydło najpierw z Poznania do Kielc, a potem spod Kamieńca pod Świnoujście? Naśmiewając się z plakatu SPD, Broder pisze, a w zasadzie cytuje bohatera popularnego serialu „Ein Herz und eine Seele" Alfreda Tetzlaffa (w tej roli Heinz Schubert): „Socjalista nie jest zasadniczo głupi, ma tylko pecha z rozumowaniem".

Tymczasem Niemcy młodszego pokolenia wierzą w powszechną narrację, że są ofiarami nazistów. Wskazują na to badania przeprowadzone przez instytut w Bielefeldzie, z których wynika, że 37 proc. Niemców uważa się za ofiary nazizmu, a niemal 70 proc. jest przekonanych o tym, że ich przodkowie nie byli sprawcami. Szukają oni w rodzinie członków ruchu oporu, jak polscy celebryci szlacheckich korzeni.

Echem w Polsce odbiła się afera wokół wypowiedzi deputowanej do Bundestagu współprzewodniczącej przeżywającej w Niemczech wielki wzrost poparcia konserwatywnej partii AfD (Alternatywa dla Niemiec) – Alice Weidel. Wskazała ona na doskonałe wyniki jej partii w sondażach we wschodnich landach. Określiła je mianem „środkowych Niemiec", co zaowocowało zarzutem rewizjonizmu. Tymczasem zarzut ten dotyczy tych polityków, którzy mianem „Niemiec Środkowych" określają ten region od zjednoczenia Niemiec. Także wielka stacja radiowo-telewizyjna w Saksonii nazywa się „Mitteldeutsche Rundfunk" (MDR), czyli „środkowoniemiecka". Polityczny testament Helmuta Kohla?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2267720789

FOT. MARYAM MAJID/GETTY IMAGES

SYLWESTER PO NIEMIECKU

W Niemczech służby nie kryją zadowolenia z sylwestrowej nocy. Rzecznik straży pożarnej powiedział nawet mediom, że sylwester „wreszcie był normalny". Policjanci są zaś dumni z tego, że udało im się dobrze chronić strażaków podczas zamieszek. Normalność dla Niemców oznaczała ataki na służby, w sumie 390 zatrzymanych agresorów oraz 54 rannych policjantów. Tego sukcesu mogłoby nie być, gdyby nie apel berlińskiej policji, która przed zabawą na platformie X postulowała: „Prosimy o uszanowanie naszej pracy i nieatakowanie nas".

HOMOMAŁŻEŃSTWA W ESTONII

Od 1 stycznia 2024 r. w Estonii weszło w życie nowe prawo. Od dawna pary jednopłciowe mogły tam rejestrować „związki partnerskie", ale nowelizacja pozwala teraz na więcej – na zawieranie „związków małżeńskich". Dzięki temu pary jednopłciowe jako „małżeństwa" uzyskały właśnie m.in. prawo do adopcji dzieci.

UKRAIŃSKA KORUPCJA POCHŁANIA POCISKI

Służba Bezpieczeństwa Ukrainy zatrzymała szefa jednego z departamentów resortu obrony. Urzędnik podpisał umowę z firmą eksportową na dostawę broni na Ukrainę – hurtową dostawę pocisków artyleryjskich. Jednak 1,5 mld hrywien zamiast zostać wydane na ten cel, trafiło na zagraniczne konto bankowe. Tymczasem Ukraińcy coraz częściej raportują, że brakuje im amunicji na froncie.

ROSJANIE ZAATAKOWALI WŁASNĄ WIEŚ

Rosyjskie Siły Powietrzno-Kosmiczne 2 stycznia próbowały, jak co dzień, zrzucić pociski na Ukraińców. Tym razem jednak kosmicznie się pomyliły. Amunicję lotniczą spuściły na obywateli własnego kraju. Zbombardowana została wieś Pietropawłowka, położona 150 km od granicy z Ukrainą. Zniszczonych zostało siedem budynków.

FRYZJERZY STRACENI

W Mir Ali, dawnej twierdzy pakistańskich talibów, nieustaleni napastnicy zamordowali sześciu lokalnych fryzjerów. Powód? Złamali lokalny obyczaj. Pakistańscy bojownicy oraz afgańscy talibowie lata temu zakazali strzyżenia się na zachodnią modłę. Według nich islam poleca, by mężczyzna miał brodę, i to minimalnej długości, odpowiadającej zaciśniętej pięści. Wąsy za to mogą być krótkie. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Trudna dyskusja o euro

Nadszedł czas, aby podjąć kroki w celu przyjęcia euro – ogłosił w swoim pierwszym noworocznym orędziu prezydent Czech, Petr Pavel, wzywając rząd w Pradze do podjęcia działań w celu „wywiązania się z naszego zobowiązania" dotyczącego przyjęcia wspólnej waluty.

W 2024 r. zarówno Czechy, jak i Polska obchodzić będą 20. rocznicę wejścia do UE. Jest już więc sporo danych i przykładów państw regionu, które do strefy euro dołączyły. Potrzebna jest więc rzetelna debata ekspertów o potencjalnych korzyściach i możliwych stratach wynikających z decyzji o porzuceniu narodowej waluty. Wielu ekonomistów argumentuje, że przystąpienie do europejskiej unii walutowej wpłynęłoby pozytywnie na polską gospodarkę. Lista potencjalnych plusów jest długa: brak ryzyka kursowego, niższe stopy procentowe, tańsze kredyty etc.

Warto jednak spojrzeć na przykład Słowacji, największej gospodarki naszego regionu, która weszła do strefy euro. Doświadczenia Słowaków w ciągu ostatnich kilkunastu lat wyraźnie przeczą tezie, że przyjęcie wspólnej waluty automatycznie oznacza szybszy wzrost gospodarczy. Spójrzmy na tempo doganiania poziomu życia w bogatszych krajach UE. W 2009 r., gdy Słowacy przyjmowali euro, wynosił on w tym kraju 72 proc. unijnej średniej, a na koniec 2021 r. był na poziomie zaledwie 69,4 proc. Tymczasem Polska z 59,9 proc. w 2009 r. skoczyła do 77,1 proc. unijnej średniej.

Własna waluta może się więc opłacać. Dlatego tak ważne jest, aby nie ulegać presji niektórych publicystów oraz polityków i bardzo dokładnie policzyć, czy Polska powinna przyjąć euro, a jeśli tak, to kiedy mogłoby się to nam opłacać.

eprasa.pl 2267720789

Ukraińscy realiści

Maciej Pieczyński

Nad Dnieprem rośnie niezadowolenie z sytuacji na froncie. Ukraińcy wciąż nie są gotowi rozmawiać z Rosją, ale wiara w odzyskanie utraconych terytoriów powoli maleje. Hurrapatriotyczny romantyzm ustępuje miejsca realizmowi

W ostatnich miesiącach realizm wśród ukraińskich elit wykazuje ten, kto najwięcej może wiedzieć o faktycznej sytuacji na froncie i najlepiej ją rozumieć. Czyli gen. Wałerij Załużny. W listopadzie na łamach „The Economist" przyznał, że kontrofensywa się nie udała, a wojna z Rosją weszła w fazę pozycyjną. Chciał w ten sposób zmotywować Zachód do zwiększenia pomocy dla Kijowa. Zełenski obawiał się, że szczerość Załużnego, przeciwnie, raczej zniechęci partnerów do dalszych inwestycji bez pokrycia w ukraiński wysiłek zbrojny.

Stąd konflikt na linii prezydent – naczelny wódz armii. Załużny przyznał również, że źle ocenił nawet nie tyle zdolności bojowe armii rosyjskiej, ile mentalność jej dowódców i żołnierzy. Myślał, że agresora zatrzymają straty, które poniósł, że wystarczy wykrwawić wrogą armię, żeby Kreml zadecydował o zaprzestaniu działań wojennych. „To był mój błąd. Rosyjskie straty wyniosły co najmniej 150 tys. zabitych. W każdym innym kraju takie straty zatrzymałyby wojnę. Ale nie w Rosji, gdzie życie ludzkie ma bardzo niską cenę" – stwierdził.

Z jednej strony, dla armii ukraińskiej dobrze, że jej głównodowodzący zrozumiał tę prawdę. Lepiej późno niż wcale. Z drugiej strony, dla każdego, kto choć pobieżnie zna historię Rosji i jej wojskowości, nie powinno być żadnym zaskoczeniem, że straty nie robią na Moskwie żadnego wrażenia. A już szczególnie powinien to rozumieć ukraiński generał.

KRYTYKA WŁADZY, KRYTYKA NARODU

Nie tylko Załużny optymistycznie zakładał, że wystarczy wykrwawić rosyjską armię, aby ją zatrzymać. Takie nadzieje przez wiele miesięcy wyrażali zarówno ukraińscy, jak i zachodni komentatorzy. Dziś nie ma już żadnych wątpliwości, że te nadzieje okazały się płonne. Według Ołeksija Arestowycza, byłego doradcy szefa biura prezydenta Ukrainy Andrija Jermaka, zrozumieć ten fakt pomaga „prosta matematyka". Rosja, tracąc (mniej więcej) 350 tys. żołnierzy, zdobyła terytorium, które, według szacunków Kijowa, zamieszkuje co najmniej 1,2 mln ludzi. Z tego połowa to mężczyźni. Mniej więcej połowa z nich jest w wieku poborowym. „Federacja Rosyjska co najmniej zrekompensowała sobie poniesione straty, wychodząc na zero. Ale za to zdobyła terytorium, przemysł, surowce i ludność żeńską" – pisze były współpracownik Zełenskiego.

Były doradca Jermaka krytykuje władzę i naród Ukrainy. Władzę za to, że krzewiła bezpodstawną wiarę w zwycię-

eprasa.pl 2267720789

Generał Wałerij Załużny (na zdjęciu), naczelny dowódca Sił Zbrojnych Ukrainy, przyznał, że kontrofensywa się nie udała, a wojna z Rosją weszła w fazę pozycyjną

FOT. GLOBAL IMAGES UKRAINE/GETTY IMAGES

stwo, a teraz nie ma czym walczyć, z czego wypłacić emerytury i jak sfinansować mobilizację. Naród, bo chętnie dawał się oszukiwać tejże władzy. W jednym ze swoich wpisów na Telegramie, opublikowanych pod koniec ubiegłego roku, Ołeksij Arestowycz przedstawił tok myślenia władz w Kijowie, który doprowadził, w jego ocenie, do obecnej sytuacji.

„Najpierw chcecie wejść do UE i NATO. (Rosjanie) ostrzegają was, że ceną za kurs na UE i NATO jest wielka wojna z Rosją. Mówicie »w porządku« i wpisujecie UE i NATO do konstytucji. I nie przygotowujecie się do wielkiej wojny, dlatego że przecież taka wojna nie może wybuchnąć w XXI w., prawda? A jednak wybucha wielka wojna" – pisze Arestowycz.

Dalej stwierdza, że przewidywalną ceną właśnie za euroatlantyckie ambicje Kijowa jest „krwawa wojna, bardzo możliwe, że do ostatniego Ukraińca". To ostatnie sformułowanie często używane jest przez rosyjską propagandę, która przedstawia wojnę jako agresję Zachodu na Rosję. Agresję, dokonywaną rękami Ukraińców, którzy jakoby służą „jankesom" jako mięso armatnie. Arestowycz aż tak daleko idących wniosków nie wyciąga. Sugeruje natomiast, że skoro już Ukraina podjęła ryzykowną decyzję kursu na Zachód, to powinna się przygotować na wojnę z Rosją, czego jednak nie zrobiła. I w efekcie była skazana na pomoc Zachodu. Ten zaś nie zamierza zapłacić daniny krwi i bić się z Rosją o Ukrainę w NATO i UE „do ostatniego Europejczyka". „I co, synku, pomogły tobie twoje Lachy?" – pyta retorycznie Arestowycz, cytując powieść „Taras Bulba" Nikołaja Gogola. Tymi słowami tytułowy bohater, dowódca kozacki, zwraca się do własnego syna przed wykonaniem na nim wyroku śmierci za przejście na stronę Polaków. Ten cytat też chętnie eksploatuje rosyjska propaganda. Jego współczesna, antyzachodnia wymowa jest oczywista. Szczególnie że Gogol był Ukraińcem, który stał się rosyjskim pisarzem i piewcą Imperium Rosyjskiego. Sam Arestowycz jednak wiele razy krytykował Kijów za psucie relacji z Warszawą, więc przypisywanie mu antypolskich poglądów byłoby absurdem. Niemniej Zachód jako taki (a głównie zachodnie struktury ponadnarodowe – NATO i UE) krytykuje często.

Arestowycz obecnie przebywa poza granicami Ukrainy. Jesienią ubiegłego roku oznajmił, że zamierza wystartować w najbliższych wyborach prezydenckich (choć nie wiadomo, kiedy się odbędą) i przedstawił swój program. Zaproponował rezygnację z walki zbrojnej o okupowane terytoria w zamian za przystąpienie Ukrainy do NATO. „Nawet jeśli dotrzemy do granic z 1991 r., co jest absolutnie nieprawdopodobne, kto zagwarantuje, że wojna na tym się skończy? Wojna może trwać i trwać. Musimy zatrzymać wojnę. O granicach możemy porozmawiać. Nie proponuję, by po prostu oddać okupowane terytoria Rosji, ale by Ukraina wstąpiła do NATO, uzyskała gwarancje polityczne i wojskowe od bloku, miała możliwość pokojowego rozwoju, (wzrostu) gospodarki, kultury. A potem spokojnie powinniśmy doczekać się zmiany reżimu w Rosji" – przekonywał.

Tezę tę rozwinął również w wywiadzie, który przeprowadziłem z nim dla „Do Rzeczy" (nr 43/2023). Mówił wówczas, że rezygnacja z walki o odzyskanie okupowanych terenów miałaby być czasowa. Ukraina zobowiązałaby się ich nie odbijać przez 10 czy 15 lat. W ten sposób zyskałaby czas na odbudowę gospodarki i wzmocnienie armii. W tym okresie zapewne zmarłby Putin, co otworzyłoby szansę na uzyskanie ustępstw od nowych władz na Kremlu. „Większość Ukraińców wciąż nie wyobraża sobie porozumienia z agresorem. Coraz większa jest jednak świadomość, że takie porozumienie w końcu trzeba będzie podpisać, bo wojna nie może wiecznie trwać. Trzeźwa ocena sytuacji przychodzi zazwyczaj w momencie, gdy przychodzi wezwanie do wojska… Czym innym jest kibicowanie armii sprzed telewizora, a czym innym pójście na front. A że mobilizacja zatacza coraz szersze kręgi, to i świadomość, że w końcu trzeba będzie wojnę zakończyć, rośnie" – mówił były współpracownik Zełenskiego.

CENA ZA INFANTYLNOŚĆ

Realizm Arestowycza w warunkach wojny budzi zrozumiałe kontrowersje. Jednak jego pesymistyczna ocena sytuacji bardzo powoli staje się mainstreamem. Świadczą o tym nie tylko cytowane wyżej wypowiedzi gen. Załużnego, lecz także powolna zmiana nastrojów opinii publicznej, wyrażana w przekazie medialnym. Jak zauważa opozycyjna dziennikarka Wiktoria Siumar, przez prawie dwa lata wojny władze w Kijowie opowiadały Ukraińcom o „słabej Rosji", zapraszały na „kawę na promenadzie na Krymie" i obiecywały zwycięstwo jeszcze w 2023 r. Tym hurraoptymistycznym przekazem odbiorcy karmieni byli głównie za pośrednictwem Telemaratonu, czyli połączonego przekazu największych telewizji w kraju.

„Nowy rok 2024 wita nas zimnym prysznicem rzeczywistości" – stwierdza gorzko dziennikarka. I wymienia problemy oraz kontrowersyjne zmiany, z którymi przyjdzie się Ukrainie mierzyć w najbliższych miesiącach. Po pierwsze, nowe, bardziej rygorystyczne niż wcześniej, zasady mobilizacji. Po drugie, odroczenie demobilizacji o co najmniej 14 miesięcy. Po trzecie, mogą wystąpić

eprasa.pl 2267720789

problemy z wypłatami pensji i emerytur. Po czwarte, ministerstwo finansów przyznało, że nie wie, skąd wziąć pieniądze na utrzymanie 500 tys. poborowych, których Kijów zamierza objąć nową falą mobilizacji. Tymczasem przedstawiciele armii zaczęli otwarcie mówić o „silnej Rosji", która uczy się i wyciąga wnioski ze swoich błędów, o ukraińskich stratach. „Pomimo propagandowych wysiłków Telemaratonu czy kanałów na Telegramie, związanych z Jermakiem [szefem biura prezydenta – przyp. M.P.] rzeczywistość bierze górę. A po uspokajających kąpielach relaksacyjnych ta rzeczywistość jest wyjątkowo bolesna" – pisze Siumar. W jej ocenie za brutalne zderzenie Ukrainy z faktami, ukrywanymi przez propagandę władz, odpowiada nie tylko sama polityka informacyjna, lecz także generalnie polityka. Ekipa Zełenskiego nie doceniła potencjału agresora. Wiktoria Siumar podejrzewa, że władze ukraińskie nie tyle nawet pomyliły się w swoich analizach, ile nie dokonały żadnych analiz. Nie odrobiły podstawowej lekcji, którą powinno być oparte na racjonalnych przesłankach porównanie sił i możliwości obu stron konfliktu. Dziennikarka ironizuje, nawiązując do aktorskiej przeszłości prezydenta, że wojna to nie kino, a strategia działań polityka w tak trudnej sytuacji nie może być „imitacją, realizującą gotowy scenariusz".

Ukraina płaci więc najwyższą cenę za infantylność. Za wiarę w propagandę. Dlatego – przekonuje dziennikarka – czas, by zająć się opracowaniem realistycznych strategii. Strategii dalszej walki z Rosją, a nie rozmów pokojowych. Pod tym względem Wiktoria Siumar reprezentuje typowy nad Dnieprem punkt widzenia, który można streścić następująco: „Nie radzimy sobie na froncie, jest coraz gorzej, zamiast kontrofensywy jest wojna pozycyjna, jesteśmy niezadowoleni z polityki Zełenskiego, który zajmuje się bardziej PR i umacnianiem swojej władzy niż walką z wrogiem. Ale nie chcemy słyszeć o rozmowach pokojowych, musimy po prostu lepiej przygotowywać się do wojny".

Podobną opinię wyraził Pyłyp Duchlij, weteran Sił Zbrojnych Ukrainy, psycholog kliniczny zajmujący się pomocą dla weteranów. W obszernym wpisie na Facebooku zauważył to, co staje się jasne dla większości jego rodaków: „Czeka nas wojna na wyniszczenie, która może trwać dziesiątki lat". A im dłużej będzie trwał konflikt, tym większe będzie zmęczenie Zachodu, który w końcu przestanie wspierać Kijów. Dlatego – przekonuje Duchlij – Ukraina musi nauczyć się liczyć na siebie. Na własny przemysł zbrojeniowy, na własną gospodarkę i na własną gotowość umierania na froncie. Duchlij kreśli prognozę, która jeszcze parę miesięcy temu uznana zostałaby za wyraz szkodliwego defetyzmu: „Musimy być gotowi na to, że będziemy kontynuować tę wojnę w osamotnieniu, a tereny, które obecnie są okupowane, pozostaną pod okupacją na długie lata. A to i tak najbardziej optymistyczny scenariusz. Najbardziej pesymistyczny oznaczałby utratę środków do prowadzenia wojny, wewnętrzną destabilizację i utratę państwowości". Nadmierny optymizm był potrzebny, gdy trzeba było podnieść naród na duchu. Jednak w dłuższej perspektywie tylko uniemożliwiał realną ocenę sytuacji.

Coraz częściej i głośniej wybrzmiewają pod adresem Zełenskiego zarzuty o niedostateczne przygotowanie kraju do wojny

ROSNĄCE NIEZADOWOLENIE

Jak widać, sami Ukraińcy zaczynają rozumieć, że perspektywa odzyskania granic sprzed 2014 r. to w tej chwili geopolitical fiction. Nie oznacza to jednak, że są gotowi otwarcie zrezygnować z osiągnięcia tego celu w przyszłości. Przeciwnie. Ukraińscy „realiści" nie proponują kapitulacji, tylko zmianę taktyki. W ich ocenie, zamiast za wszelką cenę walczyć tu i teraz o odzyskanie wszystkich utraconych terytoriów, należy raczej skupić się na wzmocnieniu państwa ukraińskiego.

Z jednej strony, ukraińskie władze odrzucają możliwość negocjacji z Rosją, argumentując, że ewentualne zawieszenie broni byłoby dla Moskwy szansą na przegrupowanie sił i przygotowanie do kolejnej inwazji. Z drugiej strony, te same władze w praktyce pogodziły się do pewnego stopnia z zamrożeniem konfliktu. Tak można rozumieć decyzje o przyspieszonej budowie fortyfikacji i zapór inżynieryjnych. Obecnie władze już sprawiają wrażenie pogodzonych z faktem, że zamiast szybkiego marszu wyzwoleńczego czekają Ukrainę długie lata wojny pozycyjnej. Czyli obrony aktualnego stanu posiadania z jedynie deklaratywną nadzieją na osiągnięcie dawnych granic. O nowych kontrofensywach nie słychać. Ale nawet skuteczna obrona aktualnego stanu posiadania jest niemożliwa bez wsparcia Zachodu. A do tego oznaczać będzie pogłębiający się kryzys państwa i gospodarki ukraińskiej. Niewiele wskazuje na to, by Ukraina w szybkim tempie zwalczyła korupcję, dostosowała się do standardów zachodnich i wstąpiła do Unii Europejskiej czy NATO.

Nad Dnieprem rośnie niezadowolenie z rządów obecnej ekipy. Przy czym Zełenski nie traci poparcia dlatego, że chce dalej walczyć z Rosją. Traci poparcie dlatego, że jego dotychczasowa walka z Rosją nie przyniosła oczekiwanego efektu. Części Ukraińców przestaje wystarczać, że ich prezydent nie uciekł z Kijowa, a nawet to, że pod jego rządami Ukraina praktycznie obroniła niepodległość. Coraz częściej i głośniej wybrzmiewają pod adresem Zełenskiego zarzuty o niedostateczne przygotowanie kraju do wojny. Rośnie też niezadowolenie spowodowane cenzurą i autorytarnymi ciągotami prezydenta. Ukraina nie jest Rosją i nie toleruje rządów silnej ręki. Próby zaprowadzenia dyktatury kończą się tutaj zazwyczaj rewolucją. Dlatego Zełenski wykazał się słabym wyczuciem ukraińskiej kultury politycznej, gdy stwierdził, że Rosja chce go obalić za pomocą Majdanu. Nie, Majdan obala prorosyjskich autokratów, a nie wrogów Moskwy. Zełenski, wyrażając obawę przed „kolorową rewolucją", sam dał powód swoim przeciwnikom do sarkastycznych uwag o powrocie Zełenskiego sprzed wojny – ugodowego wobec Rosji. A zatem ukraińskie społeczeństwo na razie narzeka nie tyle na wojnę, ile na wodza, który nie potrafi tej wojny wygrać. Frustracja będzie jednak rosnąć, a poparcie Zachodu i poziom życia zwykłych Ukraińców – spadać. W końcu więc, jeśli sytuacja nie zmieni się znacząco na korzyść Kijowa, poglądy Arestowycza przestaną być kontrowersyjnym marginesem.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2267720789

Program interwencyjny Telewizji Republika pt. „Na pomoc” to cykl reportaży i rozmów dotyczących codziennych problemów Polaków. Staniemy po stronie słabszych. Pomożemy rozwiązać piętrzące się problemy. Nagłośnimy ważne sprawy i pozytywne inicjatywy. Zaprasza autorka i prowadząca Ilona Januszewska.

REPUBLIKA

NA POMOC!

niedziela

21:10

w Telewizji Republika

Czekamy na maile od osób, które chcą podzielić się swoją historią:
napomoc@telewizjarepublika.pl

RepublikaTV | @RepublikaTV | Telewizja Republika | @RepublikaTV

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz przez dostępną telewizję naziemną z lokalnych nadajników MUX w Katowicach, Warszawie, Gdańsku i Wrocławiu, a także w Internecie na stronie www.tvrepublika.pl.

eprasa.pl 2267720789

Transbiznes

Jakub Wozinski

Ideologia transgenderyzmu tworzy dla sektora farmaceutycznego i stojących za nim gigantów świata finansów okazję do pokaźnych zarobków. Transbiznes to dziś jedna z najbardziej dynamicznie rosnących branż medycznych na świecie

FOT. ADOBE STOCK

Co najmniej od kilku lat widać wyraźnie, że pierwszy rzut tęczowej rewolucji, czyli promocja „zwykłego" homoseksualizmu, ustępuje wyraźnie agresywnemu forsowaniu transseksualizmu. Fakt ten można odczytywać jako normalny przejaw każdej rewolucji, która szuka dla siebie wciąż nowych i bardziej radykalnych form wyrazu oraz terroryzowania oponentów. Bardziej zasadne wydaje się jednak stwierdzenie, że zmiana ta jest w znacznej mierze podyktowana wyższą stopą zwrotu z inwestycji dla sponsorów tęczowego ruchu.

JAK TO SIĘ KRĘCI

Wspieranie „homoseksualnego" etapu rewolucji LGBT miało dla sektora korporacyjno-biznesowego znaczenie ekonomiczne z co najmniej kilku powodów. Po pierwsze, promowanie gejów i lesbijek w miejscach pracy pozwalało skruszyć hierarchię płacową, na której czele stali dotąd zawsze heteroseksualni mężczyźni, zmniejszyć tym samym koszty płacowe oraz pomnożyć populację korpoludków, którzy nie posiadając tradycyjnych rodzin, są w stanie bez reszty oddać się pracy. Na całym świecie tęczowa ideologia służy także niezmien-

eprasa.pl 2267720789

nie do walki z siłami zdolnymi przeciwstawić się naporowi międzynarodowego kapitału, opierając się na tradycyjnych wartościach.

Wszystkie korzyści, które można było odnieść z upolitycznienia homoseksualizmu, bledną jednak coraz mocniej w porównaniu z profitami, które wielki biznes jest w stanie czerpać z teorii głoszącej, że płeć jest jedynie kwestią wyboru. Osoby określające się jako transseksualne, które decydują się na daleko posuniętą ingerencję w swoje ciało, uruchamiają przy okazji lawinę wydatków, których zagospodarowaniem zajmuje się rosnący zastęp firm i specjalistów. W samym tylko 2022 r. wartość światowego „rynku zmiany płci" oszacowano na ok. 4,2 mld dol.

Pozornie mogłoby się wydawać, że fanaberia zmiany płci, której w znacznej mierze oddają się nastoletnie dziewczynki lub osoby, które dopiero wkroczyły w dorosłość, nie może być szczególnie dochodowa ze względu na to, że dotyczy ludzi nieposiadających jeszcze wielkiego majątku. Jeśli jednak wziąć pod uwagę to, że w Stanach Zjednoczonych już nawet 50–60 proc. osób w wieku szkolno-uniwersyteckim identyfikuje się jako przynależące do społeczności LGBT, to łatwo zauważyć, że rosnąca w siłę tęczowa mniejszość będzie w stanie zmusić społeczeństwo do finansowania przemysłu transseksualnego z podatków. Tak już się zresztą dzieje w wielu miejscach na świecie.

LOGIKA BIG PHARMY

Odwiecznym marzeniem środowiska wielkich firm farmaceutycznych jest posiadanie szerokiej bazy przewlekle chorych klientów. Największe zyski nie przynoszą lekarstwa pozwalające wyleczyć z danej choroby raz na całe życie, lecz preparaty zażywane regularnie, praktycznie aż do śmierci. Osoby decydujące się na terapię hormonalną lub operację upodobnienia do płci przeciwnej nie zawsze zdają sobie sprawę z tego, że cała reszta ich życia będzie stała pod znakiem różnego rodzaju dolegliwości i znacznych wydatków. W mediach nie mówi się dziś w ogóle o tym, że osoby transseksualne żyją średnio nawet 15 lat krócej niż reszta społeczeństwa. Stosowanie posiadających mnóstwo efektów ubocznych preparatów – czy też operacyjne usuwanie narządów – i naruszanie tym samym naturalnego stanu równowagi organizmu naraża pacjentów na wielką liczbę powikłań, począwszy od pogorszenia wzorku, poprzez choroby zakrzepowe, a skończywszy na nowotworach. Transgenderyzm przemienia tym samym osoby zdrowe w przewlekle chore, wzmacniając popyt na wszelkiego rodzaju specyfiki.

Zanim jednak akt rzekomej tranzycji się dokona, potrzebne jest poniesienie największego wydatku na skomplikowaną niekiedy serię operacji. W zależności od tego, czy dana osoba (lub jej rodzice) zamierza dokonać zmian tylko w obrębie genitaliów i klatki piersiowej, czy też zdecyduje się także na zabieg feminizacji lub maskulinizacji twarzy, musi się liczyć z wydatkiem rzędu 15–60 tys. zł (w Stanach Zjednoczonych od 10 tys. dol. do nawet 140 tys. dol.). Sama operacja to zresztą jedynie wstęp do dalszych wydatków, na które składają się częste konsultacje psychologiczne, uzupełniające zabiegi oraz farmakoterapia. Z tego powodu jeszcze 10 lat temu uważało się powszechnie, że na bycie transseksualistą mogą sobie pozwolić tylko ludzie bogaci. Upowszechnienie się tego rodzaju praktyk doprowadziło jednak stopniowo do obniżenia cen.

Dobre pojęcie o tym, jak wiele można zarobić na skomplikowanych nieraz operacjach, dają wyniki finansowe kontrolującej ok. 8 proc. amerykańskiego rynku firmy Cedars Sinai Health System z Beverly Hills (Kalifornia jest pierwszym stanem finansującym tzw. operację zmiany płci nawet więźniom). Sprawozdanie firmy z 2022 r. wykazało, że działająca w jej obrębie klinika gender zarobiła ponad 200 mln dol., a w tym roku znacznie ją rozbudowano.

SKUTKI UBOCZNE

W ostatnich kilku latach transgenderyzm stał się zjawiskiem masowym i w związku z tym na całym świecie lawinowo przybywa rozmaitych efektów ubocznych przeprowadzonych już operacji. Sterroryzowane ustawodawstwem o tzw. mowie nienawiści media i publicyści boją się o tym informować, lecz zjawisko to stale przybiera na sile. Pojedyncze operacje upodabniające do płci przeciwnej przeprowadzono już nawet przed drugą wojną światową, lecz na dobre przemysł okaleczenia w imię tęczowej ideologii ruszył dopiero niedawno. Z tego właśnie powodu nie jest jeszcze znane pełne spektrum powikłań, choć wiadomo już, że jest ono nader obfite.

Trudno zresztą sobie wyobrazić, aby mogło być inaczej, skoro część leków podawanych osobom deklarującym się jako transseksualne była przez lata wykorzystywana do zupełnie innych celów. Gdy rok temu w Stanach Zjednoczonych prokurator generalny stanu Teksas Ken Paxton wszczął śledztwo przeciwko firmie farmaceutycznej AbbVie, zarzucając jej sprzedawanie leku blokującego proces dojrzewania do niewłaściwych celów, w mediach głównego nurtu zapanowało wielkie oburzenie. Lupron był pierwotnie stosowany przy raku prostaty oraz przedwczesnym dojrzewaniu, lecz stał się jednym z najbardziej popularnych preparatów stosowanych u osób deklarujących się jako cierpiące na tzw. dysforię płciową (co ciekawe, od dziesięcioleci dysforię stwierdzano w śladowej liczbie przypadków, obecnie diagnozuje się ją w sposób fałszywy masowo). W ciągu minionej dekady Lupron wygenerował zysk na czysto w wysokości aż 5,7 mld dol.

Śledztwo Paxtona nie przyniosło jak dotąd żadnych rezultatów, jednakże znaczna część stosowanych dziś powszechnie blokerów to środki, które stosowano dotąd m.in. do kastracji chemicznej przestępców seksualnych. Z dnia na dzień okazało się jednak, że mają zupełnie nowe zastosowanie i niepotrzebne są żadne nowe i długotrwałe badania kliniczne.

Dla firm produkujących stosowane powszechnie blokery dojrzewania ostatnie lata stanowią doskonałą okazję do zarobku. W latach 2017–2021 liczba osób przyjmujących je podwoiła się, a w ostatnich miesiącach wzrosła jeszcze bardziej. Próbując zrozumieć, kto dokładnie odnosi z tego tytuły największe korzyści, warto przyjrzeć się strukturze właścicielskiej firm produkujących specyfiki blokujące procesy dojrzewania. W przypadku ulokowanej w Chicago firmy AbbVie wielka trójka firm inwestycyjnych (czyli BlackRock, StateStreet i Vanguard) posiada łącznie

eprasa.pl 2267720789

aż 21,3 proc. wszystkich udziałów. Podobny skład właścicielski można zaobserwować także w przypadku innych spółek odpowiadających za farmakologiczną część transideologii.

ZACZĘŁO SIĘ OD OBAMY

Niestety, wielki biznes związany z transgenderyzmem nie ogranicza się jedynie do pieniędzy wydawanych przez samych zainteresowanych okaleczaniem się. W niektórych krajach zachodnich wszystkie środki niezbędne do przeprowadzenia procesu tranzycji pobierane są z ubezpieczenia zdrowotnego rodziców zaburzonych dzieci. Co więcej, rodzicom surowo zabrania się podnoszenia jakiegokolwiek protestu przeciwko takim praktykom, nawet pod karą więzienia. Przemysł transgenderyzmu znalazł tym samym sposób na przywłaszczanie sobie cudzych środków pieniężnych w wielkich ilościach.

Naprawdę wielkie pieniądze dla biznesu okaleczania zaczynają się jednak w momencie, gdy lobby transseksualnemu udaje się wprowadzić przywilej finansowania całej „opieki afirmatywnej" z podatków. W Stanach Zjednoczonych trwa wciąż zaciekła batalia, w ramach której republikańskie stany, na czele z Teksasem i Florydą, wręcz zakazują zmiany płci u osób niepełnoletnich, lecz w stanach zdominowanych przez demokratów jest już zupełnie inaczej.

Wysiłki konserwatywnych stanów nie są jednak w stanie zmienić tego, że od czasu uchwalenia w 2010 r. tzw. ustawy Obamacare finansowanie zabiegów dla osób deklarujących się jako transseksualne przez ubezpieczycieli jest zagwarantowane w przepisach federalnych. Akt prawny podpisany przez Barracka Obamę dał początek serii podobnych zarządzeń na całym świecie. Obecnie w Kanadzie koszty związane z tzw. operacją zmiany płci można sobie nawet odpisać od podatku.

Rosnąca liczba osób deklarujących się jako transseksualne czyni coraz bardziej prawdopodobnym scenariusz, w którym koszty leczenia, operacji, terapii i opieki nad osobami decydującymi się na samookaleczenie zostaną najszwyczajniej w świecie uspołecznione. Zyski natomiast będą nadal czerpane przez wybrane podmioty kontrolujące patenty na leki hormonalne, blokery dojrzewania i antydepresanty.

Osobną kwestią jest bowiem to, w jak bardzo kiepskiej kondycji psychicznej znajdują się – nawet pomimo przeprowadzenia najbardziej zaawansowanych operacji – osoby deklarujące się jako transseksualne. Co prawda, przeprowadzenie tranzycji jest zawsze przedstawiane jako niezbędne w celu osiągnięcia szczęścia i odkrycia swojego prawdziwego „ja", lecz fatalny stan psychiczny całej społeczności tego nie potwierdza. Transseksualiści są także zdecydowanie bardziej narażeni od innych grup społecznych na uzależnienie od narkotyków, alkoholu i innych używek.

Naprawdę wielkie pieniądze dla biznesu okaleczania zaczynają się, gdy udaje się finansować to z podatków

Prezentowane na początku szacunki dotyczące obecnej wartości transgenderowego rynku nie oddają więc w pełni prawdziwego potencjału dochodowości całej branży. Jeśli tęczowemu lobby uda się podporządkować swoim totalitarnym zapędom systemy prawne, tak jak w Kanadzie czy Australii, to branży farmaceutycznej będzie stale przybywało szczególnie cennych pacjentów. W przeciwieństwie bowiem do schorzeń, które spotykają ludzi bez ich woli, transgenderyzm jest związany ze świadomym okaleczaniem się i poddawaniem wieloletniemu leczeniu z definicji dokonywanych na cudzy koszt. Nie od dzisiaj wiadomo bowiem, że przedstawiciele tęczowej mniejszości uważają, iż prawdziwą przyczyną ich nieszczęść jest rzekomo nietolerancyjna i fobiczna większość, która w dorozumiany sposób ma zapłacić za swój wielki grzech braku akceptacji.

INSTRUMENTALNE TRAKTOWANIE

Taktyką wielkich firm i inwestorów współodpowiedzialnych za promowanie transgenderyzmu jest maskowanie swoich zysków oraz apetytów na przyszłe apanaże poprzez podkreślanie na każdym kroku swojego wsparcia dla całego ruchu. W sposób ewidentny Big Pharma oraz wielki biznes traktują tęczowy ruch w sposób bardzo instrumentalny, czyniąc z niego machinę służącą do zwiększania swoich zarobków. Nie trzeba przy tym zakładać, że dzieje się to w sposób odgórnie zaplanowany i celowy, rozpisany szczegółowo wedle określonego schematu. To sam charakter współczesnego systemu finansowego sprawia, że korporacyjna machina niejako automatycznie namierza obszar pozwalający osiągnąć wielkie zyski i czyni później wszystko, aby go jak najbardziej poszerzyć. Poruszająca się coraz mocniej w oparach absurdu ideologia transgenderyzmu dostarcza zaś wyjątkowo elastycznego uzasadnienia dla machiny do zarabiania pieniędzy.

Według raportu firmy inwestycyjnej The Insight Partners wartość całego światowego rynku operacji zmiany płci będzie rosła do końca dekady w średnim tempie 10,1 proc. rocznie. Jeszcze szybciej będzie rósł cały rynek operacji plastycznych (ok. 11 proc.), którego częścią jest przemysł rzekomej zmiany płci. Dla porównania: w tym samym czasie rynek onkologiczny przyniesie stopę zwrotu na poziomie jedynie 7,1 proc., choć przecież nowotwory uważane są wciąż za najważniejszą chorobę XXI w. Nawet rynek opieki nad starszymi, przy katastrofalnych prognozach demokratycznych, będzie rósł w tempie 6,8 proc.

Nie trzeba być mistrzem matematyki, aby zauważyć, że dysponujący miliardami czy wręcz bilionami dolarów możni tego świata nie omieszkają skorzystać z nadarzającej się okazji. Inflacja w świecie aktywów finansowych jest znacznie wyższa niż w świecie klientów Żabki czy Biedronki, dlatego kapitał będzie wciąż zasilał tęczowy ruch dopóty, dopóki będzie pozwalał osiągać wyjątkowo duże zyski.

Wypada tylko ubolewać, że mając pełną świadomość coraz częstszego występowania tego rodzaju problemów również w Polsce, rząd Zjednoczonej Prawicy nie przygotował w porę odpowiednich rozwiązań prawnych, które ograniczyłyby możliwość dokonywania eksperymentów z własną płciowością. Za to wielkie zaniechanie przyjdzie nam wszystkim zapłacić dosłownie i w przenośni.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2267720789

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

„Rynki" dają kredyt. Niestety

To naprawdę fatalna wiadomość – „rynki" dają kredyt zaufania nowemu rządowi.

Strach się bać, bo o ile rozdawniczym i etatystycznym planom rządów PiS „rynki" od początku dawały kredyt potężnej nieufności, od razu zapalając czerwoną lampkę i wszem wobec obwieszczając, że będą się ich działaniom przyglądały z ogromną, podszytą wielkim niepokojem, uwagą, o tyle teraz wcale nie mniej rozdawniczym i etatystycznym planom Platformy i jej akolitów te same „rynki" od samego początku dają kredyt zaufania. Na domiar złego: duży kredyt zaufania!

A, jak wiadomo, nawet ta kontrola ze strony „rynków" i tak nie na wiele się zdała i PiS, co mógł w gospodarce zepsuć, to koncertowo zepsuł. Do cna zniszczył i tak nie najwyższej jakości przejrzystość w finansach publicznych, wyprowadzając grube setki miliardów złotych rocznie poza kontrolę parlamentu – do pozabudżetowych funduszy. Niemal o jedną czwartą zmniejszył wskaźnik inwestycji w relacji do PKB, jeszcze bardziej wpychając Polskę w pułapkę średniego rozwoju. Pod flagą repolonizacji znacjonalizował wiele firm. Znacząco ograniczył konkurencję w kluczowych obszarach gospodarczych, np. tworząc giganta w postaci Orlenu, któremu pozwolił wchłonąć Energę, PGNiG i co tam jeszcze. I na koniec w bonusie dorzucił mega inflację.

A co dopiero będzie się działo teraz, gdy „rynki" tak ochoczo podniosły ręce do góry? „Jest duży kredyt zaufania na rynkach, jest przekonanie, że pieniądze z UE zostaną odblokowane, ale jest też świadomość, że część obietnic wyborczych musi być spełniona, natomiast potem, w kolejnych latach, ten deficyt będzie zmniejszany" – ogłosił radośnie główny ekonomista Credit Agricole Jakub Borowski.

A tymczasem deficyt budżetu Polski – doprowadzony do granic wytrzymałości w 2023 r. przez Morawieckiego, mimo że „rynki" patrzyły mu na ręce – pod rządami Tuska, w 2024 r., gdy „rynki" będą nań patrzeć przez palce – ma sięgnąć aż ponad 5 proc. Rozdawnicze plany Tuska są wszak ogromne – już od 2024 r. będzie on zalewać Polskę dodatkowymi niemal 50 mld zł (podwyżki dla budżetówki, babciowe itd.), a potem planuje kolejne akcje rozdawnicze. Podobnie – nic nie zwiastuje rozbicia monopolu Orlenu i pozbawienia go kontroli nad PGNiG i Energą ani odbudowania przejrzystości w finansach publicznych, ani dekartelizacji polskiej gospodarki i jej prywatyzacji.

I co? I… nic! Wszak „rynki" dały rządowi Tuska „duży kredyt zaufania". I, na nasze nieszczęście, w pobłażaniu mu, z „rynkami" sprzysięgła się Komisja Europejska, „spełniając postulat Polski" „w sprawie dyscypliny budżetowej". Strach się bać. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Nie ma takich błędów

Nie wiem, ile osób w Polsce w pełni zdało sobie sprawę, jakie mogły być konsekwencje zadziwiającego błędu (?) Google dotyczącego kursu polskiej waluty, gdyby wydarzył się on nie 1 stycznia, kiedy ogromna część Polaków odsypiała sylwestra, a giełdy były zamknięte, ale choćby następnego dnia. Zanim do setek tysięcy ludzi zainteresowanych kursem złotego dotarłaby informacja, że to błąd dostawcy danych, mogłaby już zacząć się realizować samospełniająca się przepowiednia: posiadacze oszczędności, przerażeni spadającym kursem i bojąc się, że to dopiero początek jakiegoś kompletnego upadku, mogliby zacząć masowo wyprzedawać złotówki, co z kolei przełożyłoby się na faktyczny, dramatyczny spadek ich kursu względem głównych walut.

Sprawa śmierdzi na kilometr. Nie wystarczą tutaj zdawkowe tłumaczenia

Google od tej sytuacji umył ręce, twierdząc, że jest jedynie pośrednikiem w dostarczaniu danych. To bardzo wygodna postawa. A jednak przed oczami stają sytuacje z początku lat 90., gdy w epoce przedinternetowej posiadacze wcześniejszej wiedzy o jakichś poważnych rozwiązaniach prawnych, takich jak choćby uwolnienie kursu złotego, mogli na tej informacji zbić majątek. I zbijali. Czy to nie powtórka tego mechanizmu, tyle że w świecie cyfrowym?

Sprawa śmierdzi na kilometr. Nie wystarczą tutaj zdawkowe tłumaczenia amerykańskiego giganta ani lakoniczne wyjaśnienia ministra finansów. Ten „błąd" powinien być już teraz przedmiotem badania przez polskie służby. Doprawdy bowiem trudno uwierzyć w tego typu przypadek. Może był to rodzaj próby generalnej przed czymś poważniejszym? Może mieliśmy do czynienia z cybersabotażem, którego źródło leżało poza Polską? Po krachu Lehman Brothers z 2008 r. żadne tego typu zjawisko nie powinno być lekceważone.

Ta sprawa powinna nam też przypomnieć, jak gigantyczną władzą – pozbawioną całkowicie demokratycznej kontroli – dysponuje cyfrowy oligopol: przede wszystkim dwaj najwięksi gracze, czyli Google i Facebook. Akt o usługach cyfrowych UE (wchodzi w życie w lutym tego roku) nie jest tu rozwiązaniem. A, jak widać, jednym przyciśnięciem klawisza można by podtopić system walutowy sporego kraju. ©℗

eprasa.pl 2267720789

MITSUBISHI COLT

FOT. JAP

Testowany model wygląda jak bliźniak Renault Clio, bo... to jest bliźniak Clio. W sprawdzonej francuskiej konstrukcji Japończycy wprowadzili drobne zmiany i wypuścili na rynek fajne miejskie auto.

Nowy Colt siódmej generacji opiera się na nowoczesnej platformie CMF-B, którą dzieli z pojazdami sojuszu motoryzacyjnego Renault-Nissan-Mitsubishi. Zupełnie nie przypomina więc dawnych japońskich coltów, które pierwszy raz wjechały na rynek europejski w 1978 r. i stały się niezwykle popularne (łącznie sprzedano ponad 1,2 mln egzemplarzy). Tworząc Colta siódmej generacji, Japończycy sięgnęli po Clio. Zmienili logo, podrasowali przód, dodali nowoczesne światła do jazdy dziennej w technologii LED, zmienili też nieco tył oraz kierownicę. Podobne zabiegi nie są niczym nowym. Wcześniej to francuscy producenci pożyczyli od Japończyków starego dobrego Outlandera.

Colt to typowo miejskie auto o długości 4047 mm. Kabina jest jednak dość przestronna. Z przodu miejsca jest naprawdę sporo, z tyłu jest już ciasnawo, ale miejsca jest wystarczająco, aby coltem w miarę wygodnie mogła podróżować nie tylko para z dziećmi i psem, lecz także np. czterech dorosłych. Na pochwałę zasługuje również 9,3-calowy panel dotykowy z bardzo dobrą jakością grafik i intuicyjną obsługą, który bez problemu współpracuje z Android Auto. W testowanej wersji Instyle również za kierownicą znajduje się 10-calowy wyświetlacz z cyfrowymi zegarami.

Mitsubishi daje nabywcom colta do wyboru trzy wersje napędu. Nasze auto testowe wyposażone było w trzycylindrowy silnik benzynowy 1.0, który dzięki pomocy turbiny ma moc 91 KM i moment obrotowy 160 Nm. Ten właśnie wariant wybierze zapewne zdecydowana większość kupujących. Wspomniany układ napędowy współpracuje z sześciobiegową manualną skrzynią biegów. Auto nie jest demonem prędkości – na przyspieszenie od zera do setki potrzebuje 12,2 s. W miejskiej dżungli jest jednak wystarczająco dynamiczne, a i w trasie pozwala na bezstresowe wyprzedzanie. Colt jest też dość cichy nawet przy prędkościach autostradowych. Spalanie na trasie wyniosło 5,3 l/100 km. W cyklu mieszanym (miasto, trasa, autostrada) średni apetyt na paliwo wyniósł podczas testu 6,7 l/100 km. Przyzwoicie.

Również bagażnik jest większy, niż można by się spodziewać, patrząc na auto z zewnątrz. Pojemność kufra wynosi 391 l, co pozwala nie tylko na przewiezienie aktówki i zakupów. Do foremnego bagażnika colta można włożyć dwie walizki kabinowe i kilka plecaków albo np. jedną dużą walizkę lotniczą wraz z mniejszymi torbami. Niezrozumiałą wadą jest umieszczenie przycisku do otwierania bagażnika nad tablicą rejestracyjną. To niewygodne i niepraktyczne.

Auto jest też wyposażone w wiele systemów bezpieczeństwa (ostrzeganie przez niezamierzoną zmianą pasa ruchu i utrzymania na pasie, monitorowanie martwego pola lusterek etc.), automatyczne światła drogowe oraz w system nagłośnienia marki Bose.

Cena bazowa wydaje się atrakcyjna. W najtańszej wersji z silnikiem 1.0 o mocy 66 KM i pięciobiegową skrzynią biegów auto kosztuje 71,9 tys. zł. Wersja z silnikiem 1.0 T o mocy 91 KM i sześciobiegową skrzynią w wersji podstawowej kosztuje 86,8 tys. zł, a w testowanej wersji Instyle 108,3 tys. zł. Wersja hybrydowa z silnikiem 1,6 to wydatek co najmniej 126,3 tys. zł.

MYSZ HAMA EMW-700

Ergonomiczny kształt, nowoczesny wygląd, ładowalny akumulator, podświetlenie RGB oraz bardzo dobry stosunek jakości do ceny – to największe zalety wertykalnej myszy niemieckiej firmy Hama.
Pionowe myszki stają się coraz popularniejsze i wchodzą do oferty kolejnych producentów, ponieważ potrafią uwolnić od bólu nadgarstka czy ramienia osoby, które muszą godzinami pracować przy komputerze. Nowoczesne, wertykalne myszy nie męczą bowiem dłoni w przeciwieństwie do tradycyjnych gryzoni, których wieloletnie intensywne używanie może prowadzić do różnych schorzeń (np. bolesnego zespołu cieśni nadgarstka).

Ważąca 135 g mysz EMW-700 została zaprojektowana w taki sposób, aby można było trzymać ją pionowo. Ergonomiczne położenie ręki sprawia, że nadgarstek oraz palce mniej się męczą, co zapobiega bolesnym dolegliwościom. I to jest największa zaleta testowanego gryzonia.

Projektantom Hamy udało się przy tym sprawić, że mysz wygląda nowocześnie. Gryzoń został wyposażony w cienki pasek z podświetleniem RGB, które ułatwia pracę w nocy (i które na szczęście można łatwo wyłączyć lub włączyć za pomocą jednego przycisku). W codziennej pracy przydać się może aż osiem przycisków. W konstrukcji brakuje mi jedynie gumowanych elementów, dzięki którym mysz byłaby wygodniejsza w obsłudze.

Bezprzewodowy gryzoń łączy się z komputerem (tabletem lub smartfonem) za pomocą technologii Bluetooth 4.2 oraz przy użyciu klasycznego odbiornika USB typu A. W sumie można połączyć mysz z trzema urządzeniami jednocześnie (i błyskawicznie przełączać się między nimi za pomocą jednego przycisku). Zasięg wynosi do 10 m.

Zaletą testowanego modelu jest również możliwość prostej regulacji rozdzielczości DPI (do wyboru mamy 1000, 1600 oraz 2400 DPI). Zastosowany sensor jest bardziej niż wystarczająco precyzyjny do pracy w domowym biurze. Plusem jest też wbudowany akumulator litowo-jonowy, który ładuje się za pomocą dołączonego kabla USB-C (podczas ładowania również można używać myszy, więc użytkownikowi nie grozi sytuacja, że nagle bateria wyładuje się podczas ważnej prezentacji).

Biorąc jednak pod uwagę stosunek jakości i możliwości do ceny testowanego modelu, ergonomiczny gryzoń z pewnością wart jest uwagi. Za EMW-700 trzeba zapłacić 144,99 zł. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl 2267720789

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Podróże staropolskich bibliotek

JACEK KOMUDA

W XVII w. zbiory ksiąg były tak samo ważną częścią pałacu lub dworu, jak zbrojownia czy piwniczka. Elementem majętności, które przekazywano w darach lub testamentach. Magnaci, jak podają Władysław Czapliński i Józef Długosz, często kupowali książki; zwykle dzieła tłoczone przez holenderskich drukarzy Elzevierów lub drukarnię królewską w Paryżu. Nabywali je od drukarza gdańskiego Jerzego Foerstera, rzadko od lokalnych księgarzy. „Istniał wśród magnatów zwyczaj obdarowywania książkami przyjaciół i pokrewnych" – piszą autorzy „Życia codziennego magnaterii polskiej". Książki zapisywano sobie po śmierci, a nawet rabowano w czasie zajazdów. Kolekcje przechodziły z rąk do rąk jak posagi, wsie i miasteczka.

RYS. MART

W połowie XVII w. istniało w Rzeczypospolitej ok. 110 bibliotek magnackich. Zbiory te bywały pokaźne – jak kolekcja Rafała Leszczyńskiego w Baranowie Sandomierskim, która liczyła ok. 2 tys. tomów; albo biblioteka Krzysztofa i Łukasza Opalińskich mająca ponad 500 pozycji. Często powstawały drogą łączenia różnych zbiorów odziedziczonych po krewnych. Na przykład biblioteka ks. Zasławskiego powstała z połączonych i rozbudowywanych bibliotek: Konstantego Wasyla Ostrogskiego (wojewody kijowskiego), Janusza Ostrogskiego (kasztelana krakowskiego), Aleksandra Zasławskiego (wojewody kijowskiego), a na koniec ze zbiorów odziedziczonych po Jerzym Zasławskim i Mikołaju Spytku Ligęzie. W 1656 r. liczyła ponad 800 tomów. Znacznie

FOT. DOMENA PUBLICZNA

mniej posiadał Aleksander Lubomirski, bo tylko 400 woluminów. Król Jan Kazimierz miał ponad 300 książek, jednak żadnej, jak powiadali złośliwi, nie doczytał do końca.

Co znajdowało się w bibliotekach? Dzieła starożytnych autorów: Herodota, Plutarcha, Tukidydesa, Cezara, Tacyta, Liwiusza, Cycerona, Swetoniusza. Książki historyczne, opatrzone komentarzami. Historia była bowiem jedną z najważniejszych dziedzin naukowych; z niej elity czerpały inspirację do prowadzenia polityki i życia. Z dzieł antycznych kopiowano cytaty, na nich wzorowano sejmowe i sejmikowe mowy, listy, publikacje.

Jednak zbiory nie zawierały tylko dzieł antycznych. „Niemal w każdym księgozbiorze były egzemplarze Kaspra Contariniego poświęconego Republice Weneckiej i często wznawianego w oryginale i przekładach" – podają Długosz i Czapliński. Inne książki traktowały o dziejach Niderlandów, jak Strady o walce Stanów Generalnych z Habsburgami, były też rozprawy Hugona Grocjusza i historia Rzeszy Niemieckiej oraz państwa Habsburgów. Lubomirscy w Wiśniczu posiadali księgi opisujące historie wypraw kolonialnych i Indii Wschodnich. Zdarzały się książki wpisane do indeksu ksiąg zakazanych – jak dzieła francuskiego historyka J.A. de Thou, antypapieskie utwory M.A. Saint-Amanda. Oprócz tego pozycje z historii Polski i Litwy – Kadłubka, Kromera, kronikę Pawła Piaseckiego i współczesne – jak „Pamiętniki o wojnie chocimskiej" Jakuba Sobieskiego. Większość była po łacinie albo w obcych językach: niemieckim, francuskim i włoskim, najmniej po polsku – dlatego XVII-wieczny bibliofil musiał być zarazem tęgim poliglotą.

Oprócz dzieł historycznych były tam – zwykle w rękopisach – mowy i dokumenty związane z przodkami rodu, w dawnych czasach bowiem nie rozgraniczano archiwum rodowego i biblioteki. Rękopiśmienne odpisy pamiętników, przemówień, a nawet ksiąg, które nie zostały wydane drukiem. W rękopisach krążyły teksty kontrowersyjne, niecenzuralne wiersze i pamflety.

Kolejną kategorią były traktaty polityczne – zwykle pisma Arystotelesa, Cycerona, Seneki oraz Machiavellego, Botera, Bodina, Lipsiusa. A także całe wydania i odpisy konstytucji sejmowych. Najmniej miejsca zajmowała na półkach bibliotecznych literatura piękna, natomiast wiele było dzieł religijnych i naukowych. Z ciekawostek należy wspomnieć reprodukcje – miedzioryty dzieł Rubensa i innych malarzy, które służyły potem jako wzorce dla obrazów malowanych przez lokalnych malarzy.

Od połowy XVII stulecia pojawiły się w bibliotekach romanse – głównie francuskie – jak „Kleopatra" La Calprenede'a. A także „Wielki Cyrus, czyli Artamenes" panny de Scudery, pierwowzór dzisiejszych Harlequinów i sag miłosnych. „Cyrusa" czytał zresztą sam hetman Jan Sobieski i podesłał go swojej ukochanej Marysieńce, podczas gdy sam zachwycał się „Astreą", pasterskim romansem napisanym przez Honore d'Urfe. Z tych romansideł zaczerpnął pseudonimy dla siebie i ukochanej. Był to już jednak zwiastun nowych czasów. ©℗

eprasa.pl 2267720789

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Czas na carnevale

Styczeń to czas karnawału, zimowych zabaw, spotkań, imprez integracyjnych i hucznych balów. Kiedyś w Polsce nazywany „zapustami" lub „mięsopustem" zaczyna się od Święta Trzech Króli i trwa do Środy Popielcowej. Karnawał wywodzi się z Włoch (z połowy X w.), gdzie po raz pierwszy organizowano publiczne zabawy. Publiczne, czyli dla każdego, a gwarancją anonimowości były kostiumy i maski, dzięki czemu każdy na balu mógł się czuć swobodnie.

Do Polski tradycję przywiozła królowa Bona. Były to bale przebierańców przy suto nakrytym stole. Zgodnie z tradycją w karnawale powinno się jadać tłusto i obficie. Jadano placki z tartych ziemniaków, mięsiwa, dziczyznę, dzikie ptactwo (w dawnych czasach popularne były bale z polowaniem włącznie), jadano drób, ozory, szynki i pasztety. Oczywiście na deser ciasta i torty z kremem na bazie masła. Wszystko podlane wykwintnym alkoholem.

Bale mogły być mniejsze lub większe, bardziej wykwintne lub mniej, ale zasada była jedna – jedzenie zawsze musiało być wyborowe i w dużej ilości, aby dań wystarczyło dla wszystkich do białego rana. W naszym rodzinnym domu w karnawale mama zawsze piekła pączki i smażyła faworki, a pączki angielskie, delikatne z dodatkiem sera – te zawsze smakowały najmłodszym. Faworki obowiązkowo smażyła na smalcu, a do ciasta dodawała spirytus, aby faworki nie były tłuste. Często podawała flaczki na rosole wołowym czy boeuf Strogonow z pieczarkami.

FOT. ADOBE STOCK

My dziś polecamy boeuf Strogonow – doskonałe danie nie tylko na karnawałową kolację. Możemy wykorzystać rostbef wołowy lub ligawę.

• ½ kg mięsa wołowego • 600 ml bulionu warzywnego lub wołowego • 2 ogórki kiszone • 1 duża cebula • 1 czerwona papryka • 1 marchewka • 20 dag pieczarek lub grzybów wcześniej namoczonych • 2 łyżki mąki pszennej • 2 łyżki pełne przecieru pomidorowego

Przyprawy:

• 1 łyżeczka soli • 1 łyżeczka płaska pieprzu • 1 łyżeczka słodkiej papryki • liść laurowy • kilka ziaren ziela angielskiego • kwaśna śmietana gęsta • zielona pietruszka do posypania

Mięso kroimy na mniejsze kawałeczki, posypujemy mąką. W garnku zagotowujemy bulion.

Na dużej patelni podgrzewamy olej i obsmażamy mięso, zdejmujemy z patelni. Na pozostałym oleju przez ok. 5 min podsmażamy pokrojoną cebulę, następnie dodajemy pokrojone w plasterki marchew i pieczarki, ziele angielskie, liść laurowy oraz paprykę. Smażymy wszystko ok. 20 min. Następnie dodajemy mięso i zalewamy bulionem, dodajemy pokrojony ogórek kiszony. Wszystko gotujemy ok. 40 min. Na końcu dodajemy przecier pomidorowy. Doprawiamy do smaku solą i pieprzem. Podajemy z kleksem kwaśnej śmietany i zieloną pietruszką. Smacznego! ©℗

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

La dolce Italia

Nie znam nikogo, kto z Włoch nie wróciłby zachwycony. Ja też podzielam tę powszechną opinię, ale... Od lat zwiedzamy z panem Bojańczykiem różne regiony Włoch. I po raz pierwszy, jadąc taksówką z lotniska do domu, pomyślałam, że całkiem przyjemnie mamy w tej Polsce. Czysto i nawet jakiś porządek architektoniczny, co piszę, nie wierząc własnym słowom...

Wracaliśmy z rzadko odwiedzanej w celach turystycznych krainy: położonej na obcasie włoskiego buta Apulii. Nie jest tam ładnie. Krajobraz zdegradowany, przemysłowy, chaotyczny. Ciągnące się kilometrami przedmieścia, hale, baraki, warsztaty, garaże, dzikie parkingi. Wzdłuż szos stosy butelek, papierów, puszek. Nawet krajobraz rolniczy, czyli wszechobecne gaje oliwkowe, wydaje się monotonny, choć to wytchnienie po przedmieściach. Tylko morze daje oczom odpoczynek.

– Za Normanów było tam ładniej – powiedział pan Bojańczyk. I rzeczywiście: w każdym miasteczku wspaniała katedra z XII w. Wokół pięknie odnowione starożytne mury zabudowań miejskich. Niektóre z czasów rzymskich, jak kolumny Terentu wielkie i dostojne, ale niczego już niepodtrzymujące. Poza tym twierdze, zamki, czarowne zaułki miasteczek, podwórka obsadzone roślinnością. Tyle tylko, że w tych uroczych zakątkach starego miasta oświetlonych złotymi latarniami i na święta dodatkowo wystrojonych najlepiej czują się turyści. Współcześni Włosi nie chcą tam żyć. Jak mieszkać w ciasnych, niskich klitkach? Dobre do zachwycenia jednodniowego spacerowicza. Do życia się nie nadaje. Ale trzeba gdzieś mieszkać, Italia jest ludnym krajem. I dlatego to wszystko obudowano nowym; bloczydła, apartamenty, kamienice, osiedla z lat 50., 60., 70., 80., w niczym nieładniejsze niż Radom, obrosły szczelnie te stare piękne miasta.

FOT. ADOBE STOCK

Tylko w święta historyczne dzielnice doznają reanimacji. Z nowych dzielnic ściągają tu tłumy Włochów i zapełniają restauracje, pizzerie, kawiarnie. Panuje odświętna atmosfera spokoju, a eleganccy ludzie spacerują całymi rodzinami. Ale odnowienie historycznej części kosztuje fortunę i nie wszędzie konserwacja się zakończyła. W starożytnym mieście Terent przeszliśmy via Duomo, ulicą katedralną. To długa i wąska ulica wspaniałych renesansowych i barokowych pałaców – ruder. Oczodoły okien, bramy zabite dechami lub zardzewiałą blachą, odpadające kawałki murów. Kręcą się nieliczni mieszkańcy: żebraczki, menele i narkomani. To także jest dolce Italia. ©℗

eprasa.pl 2267720789

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Rewanżyzm jako kompensacja?

Dostaję bęcki od każdej ze stron plemiennego podziału kiedy mówię, że Polska ma przechlapane bez względu na wyniki wyborów. Kierunek wychodzi na taki sam, tylko tempo jest większe po zwycięstwie Jagodzian. Tłumaczy mi się, bym nie stawiał plemiennego znaku równości, bo jednak PiS to nie to samo co Tuski, ale ja nie stawiam żadnych równań, tylko dodaję jeden minus do drugiego, co – jak wiadomo – zwiększa tylko debet perspektyw Najjaśniejszej.

Ale ostatnio zafrapowała mnie jedna rzecz: konsekwencje wzmożenia rozrachunkowej części triumfującego elektoratu. Ja wiem, że frustracja odkładała się tam przez osiem lat upokorzeń (głównie wyobrażonych) i dzisiaj tryska rewanżyzmem na poziomie wprost zaprzeczającym postulowanym rządom prawa, koegzystencji w narodzie odmiennych poglądów politycznych, aż do wyzucia części społeczeństwa z praw obywatelskich. I muszę sobie powiedzieć, że wyobraziłem sobie wcale nieteoretyczną możliwość innej sytuacji: że Tuski przegrywają te wybory. Gdzie i w jakich formach miałaby ujście ta frustracja?

To już musiałby być stan jakiejś aberracji frustracyjnej na poziomie wręcz społecznym. Jak reagowaliby ludzie? Co mówiliby eksperci? Co posuwałyby media? PiS to wiadomo. Ale co zrobiłby lud opozycji totalnej? Czy mógłby być jeszcze bardziej totalny? A może jeszcze bardziej (jeszcze?!) sfrustrowany? Jakie miałoby to przejawy? Społeczne, a może polityczne? A może wręcz… psychologiczne?

Istnieje dziedzina psychologii tłumu, ale czy jest psychiatria społeczna, czyli nie specjalizacja pozwalająca na zrozumienie mechanizmów kierujących społeczeństwem, ale nauka lecząca patologie zachowań na poziomie masowym, takich frustracji w skali narodu? Jeśli nie, to trzeba ją chyba powołać. Dziś, poprzez wynik wyborów, odeszliśmy od nieuchronnej konfrontacji z takim stanem, bo sfrustrowani ośmioma latami siedzenia w oślej ławce dostali satysfakcję. Patologiczne objawy przeniosły się więc z frustracji na triumfalizm, a właściwie tropienie pisizmu i wyciąganie z tego wniosków wręcz antywspólnotowych. Ostatnio byłem uczestnikiem dyskusji o systemie sądowniczym i dowiedziałem się, że funkcja ławników sądowych jest niebezpieczna, bo mogą się wśród nich znaleźć zwolennicy PiS. Jest to lżejszy chyba objaw, niż byłby w przypadku frustracji z powodu kolejnej przegranej opozycji, ale muszę stwierdzić, że daleko zaszliśmy.

Może jest to poziom, na którym już nie trzeba politycznie reprezentować suwerena, ale raczej poddać go terapii leczącej go ze strachów wmuszanych przez system polityczny III RP. Nie Najjaśniejszej, ale Psychopatycznej? ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Pomoc, czyli nienawiść

Utyskiwania na cenzurę na YouTube już nikogo nie wzruszają. Szczególnie drażliwymi tematami są szczepienia, aborcja, LGBT, a ostatnio mamy kuriozalną interwencję dotyczącą tematu tranzycji płci.

Stowarzyszenie Psychologów Chrześcijańskich opracowało (jedyne jak do tej pory w Polsce) standardy postępowania z młodzieżą deklarującą zaburzenia identyfikacji płci. Standardy są wszechstronne, bardzo profesjonalne, obszernie poparte literaturą naukową.

Jedną z autorek jest psycholog Agnieszka Marianowicz-Szczygieł, prezes Instytutu Ona i On, ekspert portalu Afirmacja.info. Kilka dni temu rozmawiałem z nią w studiu o tych standardach, a w trakcie rozmowy odnieśliśmy się do opisywanych, m.in. na łamach „Do Rzeczy", konkretnych przykładów swoistej epidemii. Chodzi o tzw. nagłą dysforię płci, zgłaszaną przede wszystkim przez nastoletnie dziewczyny. Agnieszka Marianowicz-Szczygieł, tłumacząc nadużycia części psychologów zajmujących się takimi pacjentkami, użyła następującego sformułowania: „Model afirmacyjny, czyli tej tzw. zmiany płci, jest ścieżką medykalizacji podejścia, czyli problemy natury psychicznej, które nie są wrodzone, które są przeważająco nabyte – na te problemy, niezdiagnozowane do końca, o które nie pytamy, których nie sprawdzamy do końca, co tam się dzieje, jest aplikowane rozwiązanie medyczne".

Nagranie zostało przesłane niepublicznym kanałem tylko do wglądu redakcji, a mimo to zamiast obrazu pokazał się czarny kadr z informacją „Ten film został usunięty z powodu naruszenia zasad YouTube dotyczących szerzenia nienawiści. Dowiedz się więcej o zwalczaniu mowy nienawiści w Twoim kraju". Nasze odwołanie zostało odrzucone, a w uzasadnieniu otrzymaliśmy wskazanie właśnie tego akapitu i informacje, że nasz materiał zawiera „treści, które podżegają do nienawiści (sic!) wobec osób lub grup na podstawie ich przynależności do grupy chronionej".

Dzieje się to dokładnie w dniach, gdy wreszcie na Zachodzie widać znamiona opamiętania. Kilkanaście krajów już wprowadza ograniczenia dotyczące stosowania u młodzieży blokerów dojrzewania. Wielka Brytania wprowadza w szkołach zakaz stosowania przez nauczycieli imion innych niż te, które wynikają z biologii i metryki. W sądowych postępowaniach przeciw zamkniętej przez rząd klinice Tavistock (ok. 1 tys. pozwów!) wychodzą na jaw zatrważające nadużycia personelu wobec kilkuletnich dzieci. I oto na straży tej często przestępczej działalności, prowadzącej do nieodwracalnych okaleczeń młodych ludzi, stoi prywatna platforma technologicznego giganta. ©℗

eprasa.pl 2267720789

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Pierwsze kaniony

Najbardziej znanemu deklamatorowi orędzi Tomaszowi Grodzkiemu zeżarło nazwisko i zostało tylko G. Stop. Sprawą pożarcia nie zajmie się jednak prokuratura, bo zajmowała się tymi, którzy za dużo jedli. Stop. Prokuratura ustaliła, że Tomasz ze spałaszowanym nazwiskiem, szefując w szpitalu, miał wymyślić patent dotyczący grubasków. Stop. Jak chciał grubasek mieć żołądek zmniejszony, to wpłacał 10 tys. zł na specjalną fundację i rach-ciach, szybciuteńko operacja. Stop. Jak nie wpłacił, to czekał grubcio nawet dwa lata i się pocił. Stop. Ponoć pieniądzem niemałym fundacji dość dowolnie rządzić miał nasz deklamator, ale się nie przyznaje, bo mówi, że wszystko to zemsta prokuratury Ziobrowej. Stop. Ja panu marszałkowi wierzę, ale podobno płatnicy na fundację mniej. Stop.

Ruszyła wreszcie TVP Info w całkiem nowej odsłonie. Stop. Relację z Berlina nadała nowa korespondentka Magdalena Gwóźdź-Pallokat. Stop. Z podpisu wynikało, że jest dziennikarką niemieckiej telewizji Deutsche Welle. Stop. Po co nam TVP, jak mamy Deutsche Welle? Stop.

Pojawiają się pierwsze Wielkie Kaniony na wizerunku koalicji. Stop. „Choć jesteśmy w koalicji, to w moim odczuciu od niektórych decyzji i zachowań Platformy Obywatelskiej trzeba się dystansować" – powiedział w wywiadzie Marek Sawicki z PSL. Stop. Po stolicy to chodzą plotkarze i mówią, że teren PSL to nie bardzo przyklaskuje siłowym i na bakier z prawem przejęciom mediów. Stop. Do tego wszystkiego Adrian Zandberg z Razem publicznie się nie uśmiechał, komentując sposób działania ministra pułkownika kultury Sienkiewicza. Stop. A w tym brakującym uśmiechu widoczny był kanion... Stop.

Robert Mazurek napisał, że zatelefonował do niego telefonem Giertych, ale nie ten Giertych, tylko brat tego. Stop. Chciał, aby z nim wywiad przeprowadzono, a Mazurek na to: „Matko, jacy oni są żałośni". Stop. Ale to nie koniec, bo wtenczas napisał ten Giertych do Mazurka na ostro: „Ktoś jeszcze dzwoni, żeby u pana mieć wywiad? Niech pan takie osoby hołubi, poważa, ceni i rozpieszcza, a nie obraża. To ostatni Mohikanie". Stop. I jeszcze nazwał Mazurka pisowcem. Stop. Silne wzburzenie u mnie też całkiem blokuje rozum. Stop.

Marianna Schreiber pobiła kobietę przy świadkach, na zlecenie. Stop. Tak, tak, ta od pisowskiego ministra. Pobita miała sińce okularowe i obrażenia powyżej siedmiu dni. Stop. Żeby całą sprawę wyciszyć, podano, że było to w ramach tzw. freak fightów i że strony podpisały umowy i dostały za występy pieniądze, i że nie ma afery. Stop. Swoją drogą, czy mąż pani Marianny, Łukasz Schreiber, nie powinien zostać beatyfikowany subito? ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Patrioci – wystąp!

Ciekawe rozterki trapiły w ostatnich dniach prezydenckiego doradcę, prof. Andrzeja Zybertowicza. „Mam poważne wątpliwości, czy Tusk jest patriotą" – zwierzył się w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej". „Czy premier Tusk ordery od pani Merkel i premię w postaci funkcji przewodniczącego Rady Europejskiej dostał za umacnianie podmiotowości Polski w Europie? Jeżeli tak, to jak to robił?" – rozbudzał ciekawość dziennikarza niestrudzony w poszukiwaniu prawdy socjolog.

Podobnego rodzaju wątpliwości drążą zapewne nie tylko prof. Zybertowicza. Wyszło im naprzeciw krakowskie środowisko akademickie. Tamtejszy Akademicki Klub Obywatelski im. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego przyznawał już po raz dziewiąty nagrodę Patriota Roku im. Kazimierza Odnowiciela. W pielęgnującym tytulaturę Krakowie nigdy nie dość splendorów, którymi można się wzajemnie okrywać. Jeśli inicjatywa ta upowszechni się w środowisku politycznym, to prof. Zybertowicz, miast retorycznych dociekań, zażąda od premiera Tuska okazania stosownych poświadczeń.

Inicjatywa „certyfikowania" patriotów bliska jest zamierzeniom Jarosława Kaczyńskiego. W styczniu zamierza on zorganizować ogólnopolską „konferencję wszystkich sił patriotycznych". W wygłoszonym w krakowskiej hali klubu Sokół przemówieniu prezes Kaczyński wezwał na konferencję przedstawicieli „nawet takich (sił), które są patriotyczne, ale w szerszym tego słowa znaczeniu". Jak oddzielani będą patrioci „węższi" od „szerszych"? Na pewno nie posłuży temu pospolity centymetr krawiecki, który oddzieliłby co najwyżej prawicowych patriotów, od dawna zasiedziałych na lukratywnych posadach, od tych, którzy dopiero do nich aspirują.

W złożonej sytuacji legitymacje i dyplomy wydają się rozwiązaniem problemu. Pytanie tylko, czy krakowscy akademicy nadążą z pośpiesznym nadawaniem stosownych tytułów? Czy procedury certyfikacyjne uda się przeprowadzić przed styczniowym kongresem? W razie potrzeby pomóc może Kancelaria Prezydenta, a także szczególnie utytułowani posłowie. Prezydent doktor Andrzej Duda przyznawać winien tytuły im. Henryka Pobożnego, a były minister, prof. dr hab. Piotr Gliński, wskazywać może Patriotów im. Bolesława Wstydliwego. Jeśli autorytety zakaszą rękawy, to do stycznia cała akcja powinna iść pełną parą. Po ośmiu latach „kulturalnej polityki historycznej" prawicy procedura taka będzie nie tylko jej naturalną kontynuacją, lecz także stosownym upamiętnieniem i ukoronowaniem. ©℗

eprasa.pl 2267720789

WOJCIECH ROSZKOWSKI

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Jedynie słuszna ideologia

Zapytano mnie niedawno, czy jestem konserwatystą. Mocno mnie to zakłopotało, gdyż wszystkie ideologie mają znaczenie instrumentalne, a ja tylko staram się nie kłamać. Konserwatyzm kojarzy się poza tym z frakcją konserwatywną w PZPR, a świat idzie naprzód, więc nie można czepiać się przeszłości, żeby nie zamienić się w „dziadersa". Przypisywanie komuś jakiejś ideologii jest oczywiście wygodne, bo można wtedy przypisać adwersarzowi wszystkie luki każdej ideologii, a nawet odległe złe konsekwencje jej stosowania.

Co więc pozostaje jako metoda myślenia i działania w świecie wolnoamerykanki słownej, na której opiera się dzisiejsza „debata" publiczna? Słowa, jak statystyka, mogą czasem opisać prawdę, ale w debacie tej nieważne, co się mówi, ale kto to mówi i gdzie umieszcza swoje wypowiedzi. Są przecież media, które są tak niewiarygodne, że nawet nie wiadomo, czy ich nazwa jest prawdziwa. Powiedzieć dziś można wszystko, bo pojutrze już nikt nie będzie pamiętał, że to było kłamstwo. Jesteśmy spętani kłamstwem i manipulacjami do tego stopnia, że strach cokolwiek powiedzieć publicznie. Przesada?

Kacper Płażyński pisze, że za jakąś wypowiedź został pozwany przez marszałka pewnego województwa o obrazę dóbr osobistych… tego województwa. Za żadne skarby nie powiem, o które województwo chodzi, bo straszny gniew tego województwa mógłby spaść i na mnie. Oczywiście trudno sobie wyobrazić, żeby całe to województwo spadło mi na głowę, bo mieszka tam na pewno wielu zacnych ludzi, ale pan marszałek najwyraźniej sądzi na wzór Ludwika XIV, że „województwo to ja" i lepiej nie wchodzić mu w drogę.

Idą doprawdy ciężkie czasy. Komuś nie spodoba się jakieś zarządzenie nowego rządu? Nie daj Boże je skrytykować. Proces sądowy gotowy, bo przecież rząd upomni się o swoje dobra osobiste.

Dlatego określanie swoich poglądów jako konserwatywne, narodowe, liberalne, demokratyczne, a nawet lewicowe lub prawicowe traci sens. Większy sens mają próby rozszyfrowywania używanych pojęć i zdań przez odnoszenie ich do rzeczywistości. Mistrzem tej metody był swego czasu Gilbert K. Chesterton.

Słyszy się np. bardzo często, że w obronie godności kobiet trzeba bronić ich „praw reprodukcyjnych". Słowo „produkcja" określało dotąd czysto materialną sferę życia. Tak rozumiał je zresztą patriarcha współczesnego relatywizmu Karol Marks. Czy więc kobieta jest materialną maszyną, która wytwarza materialne produkty w postaci dzieci? Nie wiem, która z pań by się z tym zgodziła i która nie czułaby w związku z tym pewnego dyskomfortu. Poza tym „produkt" ten dość wcześnie, bo jeszcze w łonie matki, tak jak każdy i każda z nas x lat temu, zaczyna wykonywać różne ruchy i nabywać różne umiejętności, bez których po wyjściu na świat by sobie nie poradził. Bądźmy więc ściśli w operowaniu pojęciami. Każde USG pokazuje, że to nie jest „produkt" i że można by bronić jego dóbr osobistych. Czy jednak sąd odniesie się do tych faktów? Tego nie wiem, ponieważ w orzecznictwie systematycznie likwiduje się pojęcia „prawdy materialnej".

Dziwny kraj ta Polska. Faszyści oddali władzę w sposób demokratyczny, bo połowie naszej ludności nie spodobały się wzrost gospodarczy, skuteczna polityka społeczna czy ściganie przestępców

Dziwny kraj ta Polska. Faszyści oddali władzę w sposób demokratyczny, bo połowie naszej ludności nie spodobały się wzrost gospodarczy, skuteczna polityka społeczna czy ściganie przestępców. Po wyborach niektórzy znani zwolennicy demokracji cieszyli się, że wreszcie nastanie spokój. Tymczasem demokraci napadli na telewizję, skazali za łapanie złodziei, rządzą przy pomocy uchwał, zgodzili się na napływ nielegalnych migrantów i poddają naszą prokuraturę prokuraturze europejskiej. W sumie ograniczają naszą suwerenność. Czy o to chodziło tej połowie ludności? Nie wygląda to poważnie. Wydaje mi się, że jedyne, co nas może uratować od domu wariatów, to przywiązywanie wagi do precyzji słów i prawdy jako zgodności słów z rzeczywistością. Czy jest to jakaś ideologia? Jeśli koniecznie ktoś chce, to można by ją nazwać realizmem. Czy przywiązanie do precyzji i prawdy może być skuteczne? A która ideologia jest skuteczna? Być może tylko ta jest najmniej szkodliwa. ©℗

eprasa.pl 2267720789

FURMANKA

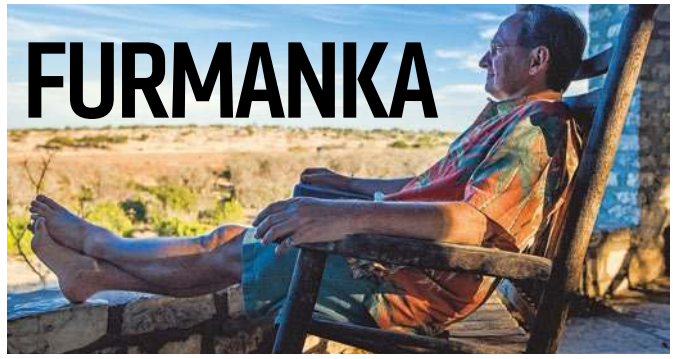

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Za komuny było powiedzonko: „Im gorzej, tym lepiej". Cieszyliśmy się, gdy się coś waliło. Nie byliśmy świrami, lecz patriotami – Polska była nasza, ale jednocześnie była pod okupacją, czyli im gorzej, tym lepiej, bo znaczy, że okupantowi coś się rypło. Tamto państwo nie było nasze. Terytorium było nasze, tradycja i historia były nasze i język, ale władze państwa i przepisy były nam obce – narzucone i skierowane przeciwko obywatelom.

Gdy wtedy coś się rypło, to zawsze IM, a nie nam. IM, czyli władzy. Przy okazji nam też było od tego gorzej, ale… mieliśmy stale nadzieję, że jakoś to przeczekamy i doczekamy wolności, gdy już się okupantowi wszystko rypnie, posypie, zawali – czekaliśmy na upadek systemu. SYSTEM – słowo kluczowe.

Polska była nasza, a my byliśmy patriotami, ale system nie był nasz. Jaki system? Wtedy mówiliśmy „system komunistyczny", a dzisiaj można powiedzieć, że chodzi o „system operacyjny", za pomocą którego jesteśmy zarządzani jako społeczeństwo. Wtedy był „blok państw socjalistycznych", dziś jest „Unia Europejska" ze swoim narzucanym siłą „systemem wartości europejskich" i dostosowywaniem przepisów lokalnych do tego, co zarządzą w Brukseli. Praca Sejmu od chwili przystąpienia do UE nie polega na budowaniu państwa polskiego, lecz na dostosowywaniu Polski do obcych dyrektyw.

***

Im gorzej, tym lepiej. Dobrą ilustracją, o co wtedy chodziło, jest walka z Kościołem. Komuniści w pewnym momencie zakazali peregrynacji obrazu MB Częstochowskiej. Obraz miał objechać wszystkie parafie w kraju jako symbol tego, że Polska jest katolicka od tysiąca lat, a nowy system ateistyczny ma zaledwie lat 20. Komuniści zatrzymali obraz. Święta ikona została aresztowana czy internowana – nie wiadomo, jak to nazywać. W tym momencie zrobiło się „gorzej", ale zaraz potem zrobiło się „tym lepiej", bo skoro sam obraz nie mógł jeździć, to… pielgrzymkę po kraju kontynuowały puste ramy od tego obrazu.

Dziś w sieci są memy – wtedy takim memem były tamte puste ramy. Niesione pod baldachimem, a ludzie klękają i głowy chylą do pustych ram, pieśni śpiewają, ministrant macha kadzidłem, a bielanki kwiatki sypią…

Ateiści nie wierzą w Boga, ale przeszkadza im obraz przedstawiający coś, co według nich nie istnieje. My w Boga wierzymy, więc nie przeszkadza nam, że obrazu fizycznie tu nie ma i zostały puste ramy. Modlitwa do pustych ram – symbol mocnej wiary w istnienie Kogoś, Kogo nie widać, ale JEST.

***

Dziś robi się coraz gorzej, coraz szybciej. Ale ciesz się, Człowieku, bo im gorzej, tym lepiej! Gdy robi się gorzej, to znaczy, że ten opresyjny system się szybciej zawali. Systemu zbudowanego na idiotyzmach nie da się utrzymać – w końcu padnie i oby szybciej. Chcę tego doczekać – drugiego upadku marksistów z ich koncepcją świata równości.

Świata równości nie ma i nie będzie, bo nie da się ludzi zmienić tak, by wszyscy byli równi. Nie da się wydłużyć kurdupla ani dodać rozumu głupkowi. Można jedynie obciąć głowę temu, który wyrósł zbyt wysoki, i ogłupić tego, który myśli samodzielnie. Nie da się zrobić tak, by wszyscy byli bogaci; łatwo natomiast uczynić wszystkich biednymi. Dlatego marksizm zawsze kończy się ruiną. Bogactwo znika, tak jak teraz w Europie – coraz więcej biednych, coraz mniej wolno, coraz więcej kontroli, coraz więcej przepisów, a za każdym przepisem coraz więcej kar. Przykład pierwszy z brzegu: podwyższanie płacy minimalnej prowadzi do tego, że jest coraz mniej ofert pracy, a coraz więcej bezrobotnych na zasiłkach. Podwyższanie płacy minimalnej prowadzi też do drożyzny, co z kolei prowadzi do tego, że jest coraz więcej ludzi, których nie stać na coraz więcej rzeczy. Zaczynają kupować rzeczy coraz tańsze, czyli coraz gorsze. Kiedyś pralka chodziła 20 lat i się nie psuła, dzisiaj kupujesz co chwilę nową pralkę, na raty lub na kredyt, i zanim spłacisz, ona już przestaje działać. A gdyby działała, to… Unia wprowadzi przepis o emisji CO_2, który spowoduje, że i tak musisz wywalić tę pralkę i kupić mniej emisyjną.

Papierosów palić nie wolno – w Nowym Jorku aresztowali gościa za palenie w parku, gdy jego pies poszedł sikać, ale jednocześnie marksiści walczą o legalizację palenia marychy i… w tym samym parku, na tej samej ławeczce jednego gościa aresztują, bo pali jak mężczyzna – tytoń w fajce, a drugi obok ma tęczowy wzrok, gdyż pali marychę rekreacyjnie, więc jego nie aresztują. Taki system musi upaść. Przy każdym upadku trochę boli, ale warto znieść ten ból.

***

Na razie łatwiej nie będzie. Docisną nas. Kościół ma zniknąć, tradycja ma zniknąć i prywaciarze też mają zniknąć. Władza chce mieć najemnych pracowników w korporacji i najlepiej, aby to była jedna korporacja ogólnoświatowa, płaca gwarantowana, bez auta, a przemieszczanie się z miasta do miasta tylko z przepustką celową.

Przykład: Jaki macie cel, obywatelu, że chcecie emitować CO_2 w drodze do innego 15-minutowego miasta? Odwiedziny na grobie matki? Przecież wasza nieżyjąca matka już nie istnieje, więc po co emitować CO_2 na bezproduktywne odwiedziny nagrobka? A do tego znicz emituje CO_2. Kupiliście ten znicz za pomocą karty, bo na szczęście zlikwidowaliśmy gotówkę, i po zakupieniu znicza mamy zarejestrowany w systemie wasz ślad węglowy, który przekroczył normę unijną, za co będzie kara.

Pamiętam z wizyty w Związku Sowieckim, że nie dało się kupić biletu na pociąg Leningrad – Moskwa bez okazania stosownej przepustki celowej. A teraz w UE nam urządzają obozy 15-minutowe, czyli to samo: wszędzie piechotą lub rowerem. A furmanki będą zakazane, bo koń to lejce i wędzidło, czyli jazda furmanką to prześladowanie zwierzęcia...

Jestem optymistą – ten system padnie. ©℗

eprasa.pl 2267720789

Uwaga: nowe ceny na rok 2024

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

W PREZENCIE

KSIĄŻKI

TEKSTY Z DODATKÓW SPECJALNYCH TYGODNIKA „DO RZECZY": „PRAWNA OBRONA PRZED POLONOFOBIĄ" + „PRAWNA OBRONA WOLNOŚCI SUMIENIA I IDEOLOGIA LGBT"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~711 ZŁ~~

249,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 462 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 2267720789

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

POTĘGA POLSKIEGO RYCERSTWA – ZAWISZA CZARNY I INNI LEGENDARNI RYCERZE

Ostatni sprawiedliwy jesieni średniowiecza – Jacek Komuda o słynnym Sulimczyku z Garbowa

Czaszki w niemieckich magazynach – Na początku XX w., zanim ktokolwiek pomyślał o Hitlerze, Niemcy dokonali w Afryce dwóch ludobójstw i zbudowali tam obozy koncentracyjne

Bezczelny „ateński lew" – Ateński arystokrata Alkibiades zdominował swoją osobowością drugą połowę wojny peloponeskiej

Niemiecki pociąg Lenina – Pomysł Aleksandra Parvusa przekuty został w jedną z najbardziej błyskotliwych i udanych operacji niemieckiego wywiadu

Apokalipsa Jerozolimy – Ostatnia rozpaczliwa walka z Rzymianami miała zadecydować nie tylko o losie miasta i jego mieszkańców, lecz także o przyszłości dwóch religii...

Egzekucja rosyjskiego „Białego Domu" – Zachód poparł wówczas brutalną akcję Jelcyna, co dziś odbija się czkawką całemu NATO

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 2267720789